I 128.616 Kotarbiński

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Tom I.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.

	złr.	ct.
Aër. Pierwszy romantyk, powieść	2	60
Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie	3	—
— Opowiadania historyczne, 1 tom. 1) Pod pół księżycem. 2) Książę Sarmacyi. 3) Odwiedziny monarsze. 4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknéj kobiéty. 7) Tynna w końcu XVIII. wieku.	3	—
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5	60
Bełza. Wanda. Opera w czterech aktach	—	60
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct., w opraw. T. I II. **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. III. — VI. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII – X. **Zaleski B.** Poezye. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego. — XII. **Niemcewicz J.** Jan z Tęczyna, Powieść histor. — XIII.—XVI. **Słowacki Juliusz.** Dzieła. Wyd. przej. przez prof. dra A. Małeckego. XVII.—XIX. **El...y,** (Asnyk Adam). Poezye, 3 tomy. XX. — XXII. **Małecki A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wyd. drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. **J. Wybicki,** Pamiętniki. — XXIV. — XXV. **Mickiewicz A.** Dzieła. V. VI. — XXVI — XXVIII. **Mickiewicz A.** Korespondencya, 3 t. — XXIX—XXXI. **Kitowicz X.** Pamiętniki i pisma historyczne 3 t. — XXXII.—XXXIII. **Kitowicz X.** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 t. XXXIV — XXXVII. **Romanowski M.,** Pisma. 4 t. — XXXVIII. XXXIX. **Słowacki J.** Listy 2 t. wydanie II. znacznie pomnożone. **Słowacki J.** Pisma pośmiertne 3 tomy, wydanie II znacznie pomnożone.	2	30
Bolesławita B. Hybrydy, powieść współczesna	2	40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna	2	40
— Nad modrym Dunajem. Nowella	2	40
Bronikowski. Listy Jana III króla polskiego, pisane do królowej Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń w roku 1683	2	80
— Jan III Sobieski i dwór jego czyli Polska w XVIII. w. 2 t.	4	20
Chłędowski J. Sylwetki społeczne	2	40
El...y. Gałązka heliotropu. Komedya	—	60
Estreicher. W. Pol, jego młodość i otoczenie	2	80
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnéj	2	40
Kaczkowski K. gen. szt. lekarz wojsk polskich. Wspomnienia 1808—1831, wydał T. O. Orzechowski, 2 tomy	4	20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły	1	20
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie 2 tomy	3	60
Kubala L. Dr Szkice historyczne, dwie serye każda po	3	40
— Jerzy Ossoliński, 2 tomy	6	80
Lemcke K. Estetyka, 2 tomy	6	40
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4	20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, przez L. Siemieńskiego	2	80
Lorkiewicz A. Bunt Gdański w r. 1825	1	80
Monumenta historiae polonica. Pomniki dziejowe Polski, t. III. Wydanie nakład. Akad. Umiejęt.	12	—
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2	20
Pamiętnik damy polskiéj z XVIII wieku	1	80
Przyborowski W. Rubin wezyrski. Powieść	1	80
— Księżniczka z Minsterbergu	1	50
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy	2	40
Sass Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy	3	80
Sewer. Bratnie dusze. Powieść	2	40
Wilczyński A. Kłopoty starego komendanta. Opowiadania, 3 tomy z illustracyami	5	40
— Pamiętniki plotkarza, 2 tomy	4	20
— Medytacye kawalerskie	2	40
Wilkońska P. Na teraz, P wieść	2	20
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli Warszawskiej i na Syberyi	2	40
Zieliński. August II. i Aurora Königsmark, powieść historyczna, 2 tomy	2	60
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus	3	60

J. SŁOWACKI

PISMA POŚMIERTNE.

WYDANIE DRUGIE, ZNACZNIE POMNOŻONE

staraniem

Dra A. MAŁECKIEGO.

TOM I.

W rocznicę pożegnania przed laty 16 [illegible]

[illegible]

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.
1885.

19/III 90 r.

Zastrzega się prawo własności na rzecz utworzonego stypendyum imienia Słowackiego dla młodzieży.

I 128. 616

A

I. ak. 5242

1941 D. 1505

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001005088192

POEZYE LIRYCZNE i ULOTNE.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

DUMA UKRAIŃSKA [1]).

Czemuś smutny, Ruńko młody?
Słyniesz z wdzięków i z urody,
Szybko biega koń twój wrony,
I w pierścienie włos trefiony,
Bystre, czarne twoje oko
W sercach dziewic tkwi głęboko...

Jesteś paziem wojewody,
Lecz nie ciężka twa niewola;
Na stepowe lecisz pola,
Tam wyścigasz wiatr w zawody,
Lub w przyjaciół wiernych gronie
Śpiewasz, brzdąkasz na bardonie...

Ruńko! cóż ci smutek nada,
Jakiej w życiu płaczesz straty?
Źle, gdy wiosną liść opada,
Źle, gdy młode więdną kwiaty:
Kozak zrodzon w Ukrainie
Wesołością, męstwem słynie...

Czemuś smutna, o dziewczyno?
Czemuś smutna, Hanko młoda?..

[1]) Powyższa Duma, następujące po niej cztery Sonety, jako też zamieszczony daléj poemat Szanfary — są to piérwsze próby poetyckie Juliusza Słowackiego. Były pisane w r. 1826, 1827 i 1828, kiedy autor miał lat 17, 18 i 19. Lubo nie dorównywają wartości późniejszych płodów poety, zdawało mi się jednak, że powinny znaleść pomieszczenie w tym zbiorze. *(Przyp. Wyd.)*

W cichém szczęściu dni twe płyną,
Jak ta czysta Dniepru woda;
Wśród przyjaciół, wśród rodziny
Nie doznałaś trosk przyczyny.

Ach! czyliż tylko od burzy
Więdnie kwiatek polnéj róży?
Gdy jéj rosa nie poleje,
Gdy jéj wietrzyk nie obwieje,
Patrz, jak zaraz smutna, blada,
Patrz, jaka bliska skonania:
Listek po listku opada
I do ziemi głowę skłania.

Pod dąbrową, na dolinie
Widna zdala chatka biała;
Przy niéj Dniepr szumiący płynie,
Nad nią brzoza wybujała.
I księżyca światłość blada
Na samotną chatkę pada;
To się srebrną mgłą zasłoni,
To się kryje za obłoki,
Igra w bystréj Dniepru toni,
Lub wśród cichéj lśkni zatoki.

Siedzi Hanka na kamieniu,
Sercem jéj przeczucie miota,
Lica blade — a w spojrzeniu
Niespokojność i tęsknota.
Znika Ruńko ukochany,
Coraz słabszy tętent dzwoni;
Zniknął — i tylko po błoni
Gęste snują się tumany.
Smutna chwila rozłączenia,
Smutna Hanki młodéj dola,
Wzrok jéj tylko i westchnienia
Na samotne lecą pola.

Hanko! słońce szczęścia znika
I na niebie i w twéj duszy,

Smutek serce twe przenika,
Ach! któż twoje łzy osuszy?
Znikły, znikły szczęścia ślady,
Lecz widać jeszcze nadzieję;
Choć jéj promień tak jaśnieje,
Taki drżący — taki blady,
Tak słabo błyszczy dokoła,
Jak nieśmiały blask księżyca,
Co ciemne niebo oświéca,
Lecz go rozjaśnić nie zdoła.

Hanko! Hanko! wstań z kamienia,
Słuchaj — czy to szum téj rzeki?
Czyli mnogich rot tętnienia,
Albo ludu gwar daleki?..
Gęsta mgła okrywa błonie,
Księżyc w krwawym kurzu ginie;
Słuchaj, słuchaj, tam w dolinie
Coraz mocniéj chrzęszczą bronie...

Spojrzyj — Hanko nieszczęśliwa!
I spojrzała — cała zbladła,
Do swéj chatki drżąca wpadła,
Ojca, matki z trwogą wzywa. —
Coraz bardziéj rośnie wrzawa,
Głośne „Allach“ grzmi po błoni;
I już dzicz Tatarów krwawa
Leci z wrzaskiem, z rżeniem koni. —
Dzika w sercach ich uciecha,
Przez wyparte lecą wrota.
Zewsząd Tatar ogień miota,
Płonie chaty niska strzecha. —
. . . . . .
. . . . . .
Ledwie błysnął świt na niebie,
Już po stepach, już po błoniu
Leci Ruńko na swym koniu,
Hanko! Hanko! to do ciebie. —
Prędzéj od dnieprowéj wody
Spieszy wrony koń wesoło;

Lecz weselszy kozak młody,
Pogodniejsze Ruńka czoło. —

Czemuż? czemuż tak, kozacze
Przez parowy dzikie skaczesz?
Wkrótce gorżko ty zapłaczesz,
Już po tobie Hanka płacze.

Leci kozak — a dokoła
Smutne stepy, puste pole,
Na niém dzikie rosną zioła,
Chwasty, głogi i kąkole.
Wicher bujną trawą miota
I ponuro w stepach szumi...
Bojaźń jakaś i tęsknota
Radość w sercu Ruńka tłumi...

I już słońca blask na niebie
Złoci stepów puste niwy. —
Cóż, czy czeka Hanka ciebie?
Że tak lecisz niecierpliwy. —
Pędzi, leci pośród błonia,
Włos mu czarny z wiatrem płynie,
Równy, grzmiący tętent konia
Razem z echem zwolna ginie...
Patrz! mogiła i kamienie,
Na mogile krzyż wysoko,
A Ruńko westchnął głęboko —
Powiedz, powiedz, to westchnienie
Czy w tym grobie pozostało,
Czy za Hanką uleciało? —

Rzucił kozak szlak stepowy,
Wziął się w prawo na bezdroże,
Między krzaki i parowy,
Gdzie Dniepr więzi ciasne łoże.
Wyprężony w szybkim biegu
Śmiga koń po krętym brzegu,
Po manowcach i w gęstwinie
To się mignie, to znów ginie,

Tak jak płomień z pod ogniska.
Ze szkarlatu czapka błyska. —
. . . . . .
. . . . . .
Patrz! już Ruńko na dolinie,
Już z rozpaczy łamie dłonie,
Żadna z oka łza nie płynie,
Chociaż serce we łzach tonie.
Patrz, i czegoż on wygląda
Błędném okiem po téj błoni?
Czy wzrok jego spocząć żąda?
Czy za zbiegłém szczęściem goni?..

Ruńko! biedny, nieszczęśliwy,
W złéj rodziłeś się godzinie;
Jak bluszcz dziki w Ukrainie,
Gdy wśród polnéj błyśnie niwy,
Bez podpory w stepach ginie:
Lub go słońca skwar wypali,
Lub, gdy wzrośnie, gdy zakwitnie,
To go z trawą kosa wytnie,
Lub z podporą wiatr obali. —
Pobiegł kozak nad brzeg rzeki...
Ponura cichość na błoni...
Cóż to? słychać jęk daleki!
Ach to bardon w Dniepru toni,
Tłukąc się o skały z brzękiem,
Konającym zabrzmiał jękiem.
. . . . . .
I już koń powraca wrony
Zadyszany, zapieniony,
Grzywa z wiatrem rozigrana —
Wbiegł pod zamek wojewody. —
Koniu! gdzieżto Ruńko młody,
Gdzieś ty podział twego pana? —

Nad brzeg Dniepru lud się zbiega,
Coraz bardziéj tłum się mnoży,
Smutny okrzyk się rozlega:
„Zginął! zginął kozak hoży!“

Ruńko burką swą okryty
W ponadbrzeżnym leżał piasku,
A włos czarny, wodą zmyty
W hebanowym lśknił się blasku.
Ruńko! świetniałeś jak zorza,
Byłeś chlubą Zaporoża,
Teraz kopią grób dla ciebie;
Teraz zbladły twoje lica,
Tak jak blednie twarz księżyca,
Gdy spotka słońce na niebie. —

Gdzieżeś płynął, o kozacze,
Z zapienioną Dniepru wodą?...
Czy się złączyć z Hanką młodą,
Która gdzieś w Jassyrze płacze?...
. . . . . .
Tam, gdzie dawniéj chatka stała,
Stoi mogiła w dolinie,
Przy niéj Dniepr szumiący płynie,
Nad nią brzoza wybujała. —
Gdzie głos Hance ulubiony
Nieraz głuchą budził ciszę,
Teraz brzozą wiatr kołysze,
Posępnymi jęcząc tony. —
Ani jednéj łzy, wspomnienia,
Ani żalu, ni westchnienia,
Cicho — jak w północną chwilę:
Samo niebo smutne, mgliste,
Lejąc krople rosy czyste,
Odświeża darń na mogile. —
Takie tylko łzy niestety,
Skoro świt zabłyśnie złoty,
Roszą smutny grób sieroty,
Grób kozaka — grób poety.

Wilno, 1826. 26 sierpnia.

SONETY.

I.

Ledwo słońce na wschodzie odsłoni swe lica,
Ledwo spojrzy po cichéj, samotnéj dolinie,
Mgła się mieni w łzy róży i na kwiaty spłynie,
Chyli się pod perłami róża krasnolica.

Zaledwo w serce moje spojrzała dziewica,
Ledwom zaczął żyć dla niéj i dla niéj jedynie,
Szczęście w łzy się zmieniło, mgła omamień ginie,
Błyszczy gorzkiemi łzami zalana źrenica.

Luba! szczęścia nie znajdzie, kto w twém sercu skona,
I moich cierpień nigdy wątek się nie skończy;
Bo chociaż lotném skrzydłem czas przeminie rączy,

Choć nasze dusze przejdą do wieczności łona,
Gdy twoja tak spokojna, moja tak zwichrzona,
W niebie się nawet dusza z duszą nie połączy.

II.

Zwarzyła jesień kwiaty nad brzegiem strumyka,
Wiatr szumiąc zeschłych liści tumanami miota;
Błyszczy dąb koralowy, błyszczy brzoza złota,
A jaskółkę wewnętrzny niepokój przenika.

Już czas leciéć — gdzie? w sercu znajdziesz przewodnika.
Już czas leciéć, wewnętrzna uczy cię tęsknota.
Siedzi smutna nad gniazdem, skrzydełkiem trzepota,
Zrywa się — podleciała — mignęła i znika.

Jaskółka miała wrócić, nim zefir zawionie,
Pod strzechę, któréj nieraz doznała opieki,
Lecz ją w przelocie morskie pochłonęły tonie.

Lauro, — ja nieszczęśliwy, idąc w kraj daleki,
Myślę, że wrócę kiedyś spocząć na twém łonie...
Próżne marzenia — żegnam, żegnam cię na wieki.

III.

Duszo! śpij duszo moja, coś cierpiała tyle.
Twój Anioł cię opuścił i szczęście się zmienia.
Śpij! ach śpij, duszo moja, dopóki z uśpienia
Nieśmiertelny głos Boga nie wyrwie cię mile.

Śpij serce, już dla ciebie znikły szczęścia chwile,
I na cóż się masz budzić na same cierpienia?
Śpij lutni! próżne, próżne twoje smutne brzmienia,
Ja sam zasnę niedługo w głębokiéj mogile.

Tak wędrowiec grożącéj śmierci niedaleki,
Choć już do dna wychylił trucizny napoje,
Jednak długo się męczy, nim zawrze powieki.

Ja, co piłem tak słodkie, zgubne szczęścia zdroje,
Piłem śmierć z rozkosz czary i zasnę na wieki!
Lecz nim zasnę — ach biédne, biédne serce moje!

IV.

Czyliż kto duszy mojéj wrócić szczęście zdoła?
Czyliż kiedy z łez gorzkich oschnie ma źrenica?
Ta, którą tak kochałem, anielska dziewica
Litością już nie spędzi smutków z mego czoła.

Może kiedyś na łonie innego anioła
Czoło moje rozjaśni szczęścia błyskawica,
Lecz szczęście to nie potrwa! znów ściemnieją lica,
A serce chwil przeszłości z rozpaczą zawoła.

Choć róża raz na wiosnę kwitnie i opada,
Zdarza się, że w jesieni znowu się rozwija,
Lecz wtenczas taka wątła, wysilona, blada.

Tak choć szczęście nie wraca, gdy raz człeka mija,
Czasem przed zgonem uśmiéch na licu osiada,
Ale i w tym uśmiéchu już się śmierć przebija.

1827 r. Wilno.

SZANFARY.

UŁAMKI POEMATU ARABSKIEGO.

I.

Szczęśliwe stepy, ziemia ta szczęśliwa,
Gdzie dniem tak cicho, jak w północnéj dobie.
Tu jeśli serce snów mych nie przerywa,
Zdala od ludzi zasypiam jak w grobie;
Tu mnie nie budzą Muezinów wrzaski,
Ani mię wiążą ostre Ramazany.
Spojrzę po stepie — widzę, jak przez piaski
Tak jak po morzu płyną karawany —
Patrzę i w sercu dawna chęć odżywa —
Dawniéj z Araby ścigałem je zbrojnie,
Dziś już Szanfary nad grobem spoczywa,
I karawany wędrują spokojnie. —
Nim zajdzie słońce, obaczą zdaleka
Ostre Medyny minaretów szczyty.
Tam na nich rozkosz i zbawienie czeka,
Tam każden z grzéchów zostanie obmyty. —
Lecz Arab prędko témi modły syty
W swoje pustynie i skały ucieka;
Bo tam choć ludzie dążą dla pokuty,
Lica ich zdradne i oddech zatruty.
Tam człowiek nędzny bardziéj nikczemnieje
I czołem prochy meczetów zamiata,
Prosi proroka o rozkosze świata,
Bo wyżéj sięgnąć nie śmieją nadzieje.

II.

Ach! któż opisze ten cud niepojęty,
Cud, który nawet u niewiernych słynie:
Możeś był kiedy i widział w Medynie
Grób Mahometa odwieczny i święty?
W tym grobie ciało proroka spoczywa,
A trumna jego, z ciężkiéj kuta stali,

W lekkiéj powietrza unosząc się fali,
Wśród nieba, ziemi waha się i pływa.
Chcąc w cud ten wierzyć, widzieć go potrzeba;
Ale któż zdoła dojść przyczyny cudu? —
Pewnie, gdy anioł niósł trumnę do nieba,
Modły wiernego wstrzymały ją ludu...
Są w świecie serca, które w młode lata
Straciwszy szczęście w samym życia kwiecie,
Nie mogąc w niebo uleciéć ze świata,
Żyją, a przecież nie żyją na świecie:
Lecz nim śmierć więzy cielesne rozkruszy,
Pomiędzy niebem a ziemią się ważą,
Tworzą świat nowy, świat serca i duszy;
W tym świecie żyją, kochają i marzą.

III.

Motyl błyszczący skrzydłami bławatu
Piérwszy dzień, piérwszą godzinę na świecie
Usiadł na łąki najpiękniéjszym kwiecie,
Usiadł — i nigdy nie uleciał z kwiatu.
Krótka niestety jego szczęścia chwila,
Zatruty napój pije z kwiatów łona;
Piérwszy raz stałym widziano motyla,
I wiecznie stały, bo na kwiecie kona. —
Ty, co jak motyl nad kwiatów kobiercem
Do jednéj przylgniesz i duszą i sercem,
Strzeż się; bo ona, choć ma lica cudne,
Nie mając duszy [1]), ma serce obłudne,
A okiem swojém tak prędko zabija,
Tak prędko truje ustami z koralu,
Że życie twoje jak chwila przemija,
A potém wieczność pełna mąk i żalu.
Bo smutne gorzkiéj miłości ofiary
Podług proroka nie idą do raju —
Raj tylko dla tych, co bronią swéj wiary,
Co życie łożą dla swojego kraju;

---

[1]) Mahomet kobiétom w Alkoranie duszy odmówił. *(Przyp. Aut.)*

A ci, co żyją w istocie bez duszy,
Co ją kochają nad kraj i nad wiarę
I nad proroka, ci za zbrodni karę
Wiecznych Eblisa doświadczą katuszy.

IV.

Patrz, jakie bole z przyrodzenia ręki
Ponosi ślimak w muszli swéj zamknięty: [1])
Owocem cierpień, owocem téj męki
Są drogie perły, dla dziewic ponęty.
Skoro im w oczach perła zajaśnieje,
Oddadzą za nią i cnotę i serce,
Byle dogodzić téj dumy iskierce,
Co wiecznie skryta w sercach kobiét tleje. —
Ale są jeszcze, są pereł rodzaje,
Które dziewica zręcznie łudzić umie;
Perły te równie cierpienie wydaje,
I równie dziewic pochlebiają dumie:
Są to łzy, które leje nieszczęśliwy,
Gdy sercem w sercu dziewicy utonie,
I tak silnymi związany ogniwy,
Nim zerwie łańcuch, wprzód duszę wyzionie...

V.

W ustawnéj burzy nieszczęsny Szanfary
Zasnąć nie może lub zasnąć się boi,
Bo we śnie straszne snują mu się mary;
Lub gdy się serce chwilę uspokoi,
Wtenczas téj chwili, tak rzadkiéj w mém życiu,
Snowi za żadne nie poświęcę skarby:
Bo wtenczas w sercu, jak w niebios odbiciu,
Młodość żywymi maluje się farby;

---

[1]) Wielu z pisarzów historyi naturalnéj dowodzi, że tworzenie się pereł, tak jak innych ciał narośli, jest skutkiem choroby, a témsamém cierpienia zawartego w muszli ślimaka. *(Przyp. Aut.)*

Gwiazda młodości znów błyszczy nademną —
Niegdyś jéj promień w sercu się objawił,
Chwilę oświecił duszę moję ciemną,
Zagasł i jeszcze ciemniejszą zostawił. —
Widzę ją: — płynie jak postać anioła,
Od słońca skryte musselinem lice,
Lecz z pod zasłony widna białość czoła
I czarnych oczu jasne błyskawice,
A lekki smutek, jak ranna mgła maju,
Długimi rzęsy kryje blask jéj oka...
Jeszczebym teraz przysiągł na proroka,
Że Zara była jedną z dziewic raju,
Które wygnane za swe lekkie winy,
Są tak jak obce dla ludzi i świata;
Zmuszone błądzą wśród ziemskiéj krainy,
Lecz ich myśl ciągle do nieba ulata.

VI.

Brylant największy w koronie Mogoła
Świetnie jaśnieje, pali się i błyska;
Rzekłbyś, że z łona te płomienie ciska,
Których śmiertelne oko znieść nie zdoła.
Jednak pomimo takiéj ognia mocy,
Pomimo tego, że świéci tak jasno,
Gdy słońce zgaśnie, gdy pochodnie zgasną,
I brylant niknie tonąc w cieniach nocy. —
Tysiącznym ogniem oko Zary świéci,
I blaskiem całe olśniło oblicze;
Rzekłbyś, że z serca ten ogień się nieci,
Lecz spojrzyj w serce, a serce zwodnicze;
W łonie piekielne skrywały się jędze,
I zwodnym blaskiem źrenica się lśniła;
Napróżnom wierzył miłości przysiędze:
Żeby kochała, toby nie zdradziła...
Nie! — jam tak często patrzał w Zary lica,
Śledząc najmniejsze jéj poruszeń ślady,
Kiedy miłością jaśniała źrenica:
Jabym tam dostrzegł najmniejszy cień zdrady.

Nie! szczére były jéj słodkie wyrazy,
Serce mówiło jéj oka spojrzeniem:
Brylant, co błyszczy tak silnym płomieniem,
Musi być czysty i bez żadnéj skazy. —
Potém te ognie zgasły po iskierce,
Potém zwodnicze zmieniło się serce.

VII.

Kiedy dopieką słońcem skwary letnie,
Ożywa w stepach szarańcza skrzydlata,
Wzbija się w chmurę i migocąc świetnie
W inne, żyźniejsze krainy ulata;
Bo te pustynie i te dzikie skały
Dały jéj życie, lecz żywić nie mogą.
Tak i my, nędzą przemożeni srogą,
W oszczepy, w strute uzbrojeni strzały,
Spadliśmy nagle na łąki Iranu;
Zadrżeli Persy, bladą zdjęci trwogą,
W haremach trwożne dziewice zadrżały,
Zadrżał sam dumny władca Ispahanu. —
O jak dla serca, dla ucha był miły
Jęk, który wróg mój wydawał przed zgonem!
Arab obfitym ucieszył się plonem,
A Pers zapłakał nad swymi mogiły.

VIII.

Miotany szczęściem, trwogą i nadzieją
Spieszę do Zary niecierpliwym krokiem.
Czyż te łzy jeszcze w oku jéj jaśnieją,
Co przy rozstaniu lały się potokiem?
Ach! usta moje zapytać się boją.
Oto już widzę mą rodzinną ziemię:
Gdzież moja Zara? — „Zara już nie twoją,
Zara niewierna w Sudana haremie“. —
Czarna ta zbrodnia nie uszła bezkarnie;
Ale ją karząc jakie czułem bole,

I jakie teraz ponoszę męczarnie,
Czytaj je wszystkie, czytaj na mém czole! —
Świadczy ta bladość, co jej lica kryje! —
Więc wiész już wszystko — już ona nie żyje —
Ostatnia strzała, co była w kołczanie,
Gorzkie dla Zary niosła pożegnanie.

IX.

Noc tę pamiętam. — Jak cicho w haremie! —
Czyste łzy nocy leją się na ziemię;
Jak pełna róża, tak w pełni rozwity
Fingari[1]) niebios przebiega błękity;
Dusza i oko w zachwyceniu ginie,
Widząc szczyt nieba gwiazdami zasiany.
Tak nieraz błyszczą piaszczyste pustynie,
Gdy na nich luźne staną karawany
I palą ognie: błyskają płomyki,
Ani ich rosa, ani wiatr nie niszczy;
Spojrzyj zdaleka, a cały step dziki
Tak, jako niebo, cały w iskry błyszczy. —
Cicho w haremie; — palmy się kołyszą,
A mgły srebrzyste na ich szczytach wiszą;
Pomiędzy palmy dwie meczetu wieże
Aż pod szczyt nieba sięgają wysoki,
Tak jak modlitwy, jak wiernych pacierze,
Rzucając ziemię, lecą pod obłoki.
Księżyc oświéca złoty szczyt meczetu;
Patrz na téj gwiazdy migające lica;
Widząc ją, sądzi złudzona źrenica,
Że tkwi na ostrym szczycie minaretu. —
Śpiewa dla róży słowik zakochany,
Bo zakochany nie zna, co sen cichy;
Tam znów w murawie błyszczą tulipany
I pełne rosy schylając kielichy
Płaczą, bo nazbyt łzami obciążone:
Tak nieraz ciche przy blasku księżyca

---

[1]) Księżyc. *(Przyp. Aut.)*

Łzy długo skryte i długo tajone
Upuszcza z oczu nieszczęsna dziewica.
Nad kwiaty nocnych motylów tysiące,
Nocy spokojnym ucieszone cieniem,
Błyszczą światłości błękitnym płomieniem,
Tak jak po stepach gwiazdy latające.

X.

Téj nocy — rozpacz porywa mię wściekła! —
Te oczy były świadkami jéj zdrady,
Swiadkami gwiazdy, świadkiem księżyc blady,
I blade duchy Edenu i piekła.
Tam pod palmami Sudan i dziewica,
Oboje w rajskiém zachwyceniu toną;
Widzę, jak ogniem palą się ich lica,
Widzę, jak usta łączą się i płoną. —
Cóż to? — czy zbytkiem rozkosz przesyceni
Blednieje Sudan i Zara pobladła,
Głowa jéj zlekka na łono opadła,
I lica z wrzących pogasły płomieni?
O nie! ta bladość jest bladość śmiertelna,
Jak zemsta moja czarna i straszliwa:
Pocisk zatruty powietrze przeszywa,
Pociskiem siła kieruje piekielna;
W zwodnicze serce swe jady wysączył
I w chwilę lice od jadu skościało...
Chcąc ich rozłączyć, jam ich silniéj złączył,
Dwa serca jedną przeszywając strzałą...
To mię zawiodła ręka moja mściwa...
Obudź się! obudź, Zaro nieszczęśliwa:
Jam chciał Sudana wtrącić w grobu cienie,
A ciebie z ludźmi zostawić dla kary:
Z ludźmi i w piekle jednakie cierpienie,
Piekła na ziemi doświadczył Szanfary.

XI.

Patrz, jak ogniowéj podobne kolumnie
W tysiącznych światłach błyszczą minarety;

Lud do meczetów gromadzi się tłumnie,
I brzmią pobożnym odgłosem meczety.
Muezin wstąpił na wieżę wyniosłą,
Allaha święte rozpoczyna pienie;
Naprzód je niebios odbiło sklepienie,
A potém echo na ziemię odniosło,
I daléj drżące, melodyjne śpiewy
Na skrzydłach wiatru po powietrzu płyną,
Brzmią tak jak w palmach zefiru powiewy,
Tak jak westchnienia tłumią się i giną.
Wszakże się jeszcze Bejram nie zaczyna?
Ni Ramazana nocne nabożeństwa? —
Hymn śmierci głoszą usta Muezina,
I na zabójcę miotają przekleństwa.
Próżno przeklina: ja nie żądam raju:
Bo gdy mnie grono hurysek[1]) otoczy,
Lękać się będę nawet w niebios kraju,
Żeby kobiéce nie zdradziły oczy.
Nie chcę ja raju, lecz proszę proroka:
Niech da méj duszy taki step bez końca,
Step dziki, pusty, bezbrzeżny dla oka,
I wiecznie wrzący promieniami słońca;
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia
Na me skinienie niech źródło wypływa;
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach ruchomych spoczywa;
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia
Step ten okryją mych wrogów mogiły,
Niech mi się wrócą méj młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia!
O takiém szczęściu serce moje marzy,
Ach! wtenczas będę zupełnie szczęśliwy;
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy
Téj samotności przerwać się nie waży!

XII.

Patrz, jak te twarde dzikich skał ogromy
Nad fale groźne wysuwają czoła;

---

[1]) Piękne dziewice, które w raju Turkom usługują. *(Przyp. Aut.)*

Próżno nad niemi ryczy wiatr i gromy,
Grom ich i fala poruszyć nie zdoła!
Każda ta skała złożona z korali,
A każdy koral pod wody ukryciem
Niedawno jeszcze obdarzony życiem,
Czuł jak najleksze poruszenie fali:
Lecz późniéj wszystkie te cząstki żyjące
Szukając wsparcia przylgnęły do skały,
Wśród zimnych głazów wiecznie czuciem drżące
Pośród kamieni same skamieniały. —
Tak, kiedy na świat rzucisz szybko okiem,
Ileż serc zimnych oko napotyka:
Ten patrzy na świat obojętnym wzrokiem,
Ten zimnych ludzi jak gadzin unika. —
A jednak każde, każde z tych serc biło
Żądzą wielkości, potęgi i sławy,
Albo z wojennéj ochłonąwszy wrzawy,
Wrzącym się ogniem miłości paliło.
W przyjaźni stałe, w miłości niezmienne
Długo cierpiały na téj nieszczęść ziemi,
Ale trafiając na serca kamienne,
Same się wkrótce stały kamiennymi.

XIII.

W haremie zdala wśród cyprysów cieni
Róża samotna innych róż unika:
Nie jest to czuła kochanka słowika,
Co na słowika pienia się rumieni;
Nie płonie ona tak, jak miłość płonie,
Ani niewinność białym znaczy kwiatem,
Lecz tak, jak ogień przy Eblisa tronie
Błyszczy naprzemian złotem i szkarłatem.
Środek téj róży pozbawionéj liści
Tak czczy i próżny, jak serce dziewicy.
Wszystko w niém mija lotem błyskawicy:
Choć los najsłodsze życzenia uiści,
Nowe i śmielsze powstaną nadzieje;
Zawsze zajęte nowych marzeń snuciem —

I nigdy serce, co tak słabo tleje,
Jedném się stałém nie napełni czuciem. —
Chociaż ta róża tak świetnie się płoni,
Nikogo do niéj nie zwabią jéj wdzięki,
Bo każden pozna, że róża bez woni
Kolce nastawia dla przyjaznéj ręki;
Tam nawet czuły słowik od niéj stroni
I leci daléj rozwodzić swe jęki. —
To godło serca, co serce zdradziło,
Nad smutną Zary błyszczy się mogiła.

XIV.

Weź zimną muszlę, którą wody siła
Z ciemnéj głębiny na brzeg morza miota.
Chociaż już dawno nie żyje istota,
Która w jéj łonie mieszkała i żyła,
Choć nic kamienna muszla nie ukrywa,
A jednak, słuchaj, coś w jéj łonie szumi;
Szum się ten wiecznie dla ucha odrywa,
Żadna go siła nie zniszczy, nie stłumi; —
Tak jako w gwarze zmięszane wyrazy,
Tak brzmi coś wiecznie wśród téj muszli łona,
I chyba wtenczas głos ten wnętrzny skona,
Gdy samą muszlę rozbijesz o głazy. —
Patrz, jak to serce skrzepłe, lodowate,
Które już płakać i cierpieć przestało,
Choć już przeżyło wrzących ogniów stratę,
I chociaż wszelkie czucie w niém wywrzało —
Jednak głos jakiś, choć serce z kamienia,
Przedłuża cierpień albo szczęścia wątek.
Ten głos — to smutne wyrzuty sumienia,
Ten głos — to echo przeszłości pamiątek. —
Któż tego głosu skrytości przeniknie?
Stłumić go niemasz rady ni sposobu,
Głos ten nas wiernie prowadzi do grobu
I razem z życiem umiéra i niknie.

Wilno, 1828 roku, 10 lutego.

ODA DO WOLNOŚCI [1]).

I.

Witaj, wolności Aniele,
Nad martwym wzniesiony światem!
Oto w Ojczyzny kościele
Ołtarze wieńczone kwiatem,
I wonne płoną kadzidła!
Patrz! tu świat nowy — nowe w ludziach życie.

Spojrzał — i w niebios błękicie
Malowne pióry złotymi
Roztacza nad Polską skrzydła;
I słucha hymnów téj ziemi.

II.

A tam, już w cieniu wieków za nami się chowa
Duch niewoli, i dumną stopą depce trony;
Zgina się pod ciężarem skrwawionéj korony,
Mówi — niezrozumiałe z ust wychodzą słowa.
Tak obelisk, co niegdyś pisanym wyrazem
Dziwił ludy, obwiany mgłą kadzideł dymu,
Dziś, przeniesiony do Rzymu,
Niezrozumiały ludom — umarły — jest głazem.

III.

Niegdyś Europa cała
Była gotyckim kościołem.
Wiara kolumny związała,
Gmach niebo roztrącał czołem...

---

[1]) Wiersz ten wyszedł jako osobna broszurka, razem z hymnem do Bogarodzicy, pod tytułem: »Oda do wolności i Hymn«, przez Słowackiego. W Warszawie, w drukarni stereotypowéj przy ulicy Królewskiéj, w pałacu Dembowskich Nr. 1065. Roku 1830; format ćwiartkowy, stron 8 i nieliczbowane 2. — Utwór powyższy będzie zapewne najsłabszém ze wszystkiego, co tylko Słowacki kiedykolwiek ogłosił. Pomimo to może być pożytecznym dla studyów nad tym poetą, i przeto nie można go było pominąć. *(Wyd.)*

Drżącym od starości głosem
Starzec, pochylony laty,
Trząsł dumnych mocarzy losem,
Zaglądał w królów siedziby;
Zaledwo promyk oświaty
Przez ubarwione gmachu przedzierał się szyby.

Jakiś mnich stanął u proga — [1])
Kornéj nie uchylił głowy,
Walczył słowami Boga
I wzgardził świętymi kary.
Upadł gmach zachwiany słowy,
Błysnęły światła promienie...
Pierwsze wolności westchnienie
Było i westchnieniem wiary.

IV.

Jak sosny niebotyczne, urośli królowie.
Deptane prawa ludów — gdzież znajdą mściciela?..
Na Albionu ostrowie
Kromwel — któż nie zna Kromwela?...
On dawną krwią Stuartów zalał stopnie tronu
I nie chciał na nie wstąpić — on pogardził tronem.

I czémże dzisiaj jest król Albionu?
Błyszcząca mara — widziadło,
Księżyc na niebie zamgloném,
A słońce praw oświeca tę postać wybladłą.
Ale wielcy mężowie zasiedli do steru,
Świątynię praw dźwigają tysiączne kolumny: —
Patrzcie, jak długim rzędem za trumnami trumny
Wchodzą w posępne gmachy Westminsteru.

V.

O świat nowy hiszpańskie uderzyło wiosło,
Tam brat zaprzedawał brata...

---

[1]) Luter.

Na lądzie nowego świata
Żałobne drzewo wyrosło,
Pod którém, schyleni w trudzie,
Marząc o szczęściu boleśnie,
Usypiali tłumem ludzie,
Tłumami konali we śnie [1])
I śmiercią sen płacili — bo o lepszéj doli
Pod tém się drzewem ludziom o wolności śniło.
Było to drzewo niewoli,
Rosło nad grobem — świat już był jedną mogiłą.

Ostatni więc człowiek skona?
Śmiercią z należnych władcom wypłaci się danin?
O nie! na głos Waszingtona
Zmartwychwstał Amerykanin
I zaprzysiężoną święcie
Wolność okrył wieńcem sławy.

A drzewo śmierci było masztem na okręcie
I zgon niosło na ludy saxońskie — i nawy.

VI.

Więc słońce już w wolności krajach nie zachodzi?
Wolności skrzydła całą osłoniły ziemię.
Godném jest oczu Boga wolnych ludzi plemię,
On bohaterów nagrodzi.

VII.

Jakiż to dzwon grobowy
Z wiejskiego zabrzmiał kościoła?
Idzie tłum pogrzebowy —
Schylone do ziemi czoła;

---

[1]) W Ameryce znajduje się drzewo, nazwane drzewem śmierci, pod którém zasypiający człowiek umiera. *P. A.*

Trumna, za trumną dzieci —
Smutna przyjaciół drużyna
Bladą gromnicą świeci,
Ciche modły powtarza.
Weszli we wrota cmentarza
Pod trumną ramię syna.
Czarną dręczeni rozpaczą,
Czarną okryci żałobą...

Czemuż płaczą nad sobą?
Bogatą wezmą spuściznę.
Dlaczegoż nad nim płaczą?
W grobie zapomni troski...
Bracia! — on umarł — on był ostatnim z téj wioski,
Co widział wolną ojczyznę.
Synowie jeszcze po nim nie zdjęli żałoby,
Już na wolnéj żyją ziemi.
Idźmy więc nad ojców groby,
Wołajmy, bracia, nad nimi —
Może usłyszą w mogile...

VIII.

Widziałem, jak młodzieniec w saméj wieku sile,
Strawiony własnym ogniem — przeklął ogień duszy.
Wołał: — Czemuż Bóg więzów moich nie rozkruszy?..
Lecz wszędy cichość grobowa;
A więc sam odpowiadał: -- Jestem panem życia! —
Okropne rozpaczy słowa!
Z umysłowych władz rozbicia
Została ta myśl straszliwa....
I bladość śmierci lice wyniosłe okrywa.
Ta jedna myśl tysiączne urodziła myśli;
Straszna cierpienia potęga —
Umysł je rozwija, kréśli,
Z niedowiarstwa marą sprzęga...
O niedowiarstwo! ty piekieł pochodnią
Niszczysz mgłę marzeń i blask urojenia złoty.
Gdzież cnota?.. nie ma cnoty!...
I zbrodnia nie jest zbrodnią.

Na niepewnéj ważysz szali
Wzniosłe uczucia w człowieku...
Już wszyscy tak myśleli — i wszyscy wołali:
Jest to chorobą czasu! — jest to duchem wieku!
Ta ciemność była tylko przepowiednią słońca.
Wolności widzim Anioła,
Wolności powstał obrońca.
Podnieście wybladłe czoła!
Daléj — do steru okrętu!
Daléj — na morskie głębinie!
Rzućmy się w odmęt — z odmętu
Może niejeden wypłynie!
Podobni do nurków tłumu,
Co do morskiéj toną fali:
Wśród wirów kręceni szumu,
Już ich fala w głąb porywa;
Ale niejeden wypływa,
Bliski brzegu, lub daleki —
Ten niesie gałąź korali,
Ów w Amfitryt trąbę dzwoni; —
Lecz niejeden zniknie w toni,
W morzu zostanie na wieki.

ROZŁĄCZENIE.

Rozłączeni — lecz jedno o drugiém pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści. Wiém, kiedy w ogródku,
Wiém, kiedy płaczesz w cichéj komnacie zamknięta.

Wiém, o jakiéj godzinie wraca bolu fala,
Wiém, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,

Wiém, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białéj szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promienić świtem:
Nie wiész, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami i nazwać jeziora błękitem;

Potém jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiész, jak włosem dészczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiész, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę - stróża;
Nie wiész, że gdzieś daleko aż u gór podnóża,
Za jeziorem, dojrzałem dwa z okien światełka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i blado — lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biédnym tułaczem:
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Nad jeziorem Leman, d. 20. lipca 1835 r.

PRZEKLEŃSTWO.

DO **

Przeklęta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi, ty żądłem gadziny

Wygnałaś na samotność. Bądź wiecznie przeklęta! —
Każdy mój jęk zna ciebie, każda łza pamięta!

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy:
Toś ty mi łzy w powszednim podawała chlebie
I jęcząc, z jękiem w sercu mówiłaś: Niech słyszy!

Cierpiałem i uległem. — Dziś samotny jestem: —
Lecz wiedz, że w samotności, okryty żałobą
Oczy błędne obracam za każdym szelestem:
Czekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą.

Téj czekam omamiony, téj samotny płaczę,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi,
Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskimi.

A nigdy serca mego nie umiała krwawić;
A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
Że już dziś sami boscy nie wiedzą anieli,
Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niéj zbawić.

A ty, a ty, co lałaś żółciowe gorycze,
Skoro się otwiérała serca mego rana,
O gorzéj, niż przeklęta — widmo tajemnicze
Złéj przeszłości — przeklęta bądź i zapomniana!

STOKRÓTKI.

Miło po listku rwać niepełną stokroć
I rozkochanych słów różaniec cedzić,
Miło przy ludziach było raz powiedzieć,
Że się kochamy i mówić po stokroć.

Miło zabłądzić pod lipowe cienie
Z kwiatkami w ręku — i patrząc ukradkiem,

Wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:
Kochasz!... i pani kochasz mnie szalenie...

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
A zgody ciągle zabraniały świadki,
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki,
Jeden mówił: nie — a drugi: troszeczka.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei
Błądząc po skałach, wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białéj stokrótki,
Co była siostrą stokrótek w alei.

Rwałem ją: listki leciały w błękicie
Aż na jezioro ze skały, gdziem siedział;
I wiész, co listek ostatni powiedział? —
Luba, że jeszcze kochasz mnie nad życie.

Veytoux, d. 21. lipca 1835 r. rano.

CHMURY.

Do was, chmury,
Wzrok ponury
Skrą i łzami,
Sam na ziemi
Pod czarnymi
Chmur wiankami.

Jak duch trumny,
Smutkiem dumny
Nad szmer domów
Trzymam skronie
Tam — w koronie
Chmur i gromów.

Gdzie wam droga,
Chmury Boga,
Mnie weźmiecie:
Bo ja ciemny,
Mgłą tajemny,
Sam na świecie.

Tam, za wami,
Gdzie wichrami
Burza kręci, —
Łzą do łzawic,
Do błyskawic
Skrą pamięci.

Lecę! błyskam!
Skrami ciskam,
Jutro zmarły;
Patrzcie na mnie,
Żyjcie za mnie,
Ludzie! karły!

Tu wam, ludzie,
Na ziem grudzie
Mogił grzędy:
Gdzie chmur droga,
Z wichrem Boga
Mnie tamtędy!

Veytoux, 21. lipca wieczór, 1835 r.

OSTATNIE WSPOMNIENIE DO LAURY.

Dawniéj bez serca — dziś bez rozumu —
O biedna Lauro — nim zginę,
Tobie śród głuchych pamiątek szumu
Wianek Ofelii uwinę.

Ty go drżącymi weźmiesz rękoma,
Jak wąż ci czoło okręci:
Oto bławatki, ruta i słoma,
A to są kwiaty pamięci.

Burza żywota nad nami mija,
Przeminie, lecz głowę zegnie:
Śmiech nie pociesza, ból nie zabija,
Pamięć i rozum odbiegnie;
Cicha spokojność nigdy nie wróci,
Zniszczenia wicher nie wionie;
Słońce nie cieszy, księżyc nie smuci,
Cieniami śmierć nie pochłonie...

Za cóż tak zimny nieczucia kamień
Na serce moje się wali?
Żeśmy się kiedyś w kraju omamień
Na jednéj drodze spotkali?
Że cię tak długo dźwiękami lutni
Budziłem i do snu kładłem?
A ty smutniejsza, niż ludzie smutni,
Biegłaś za inném widziadłem.

I coraz wyżéj w niebo lecąca
Niknęłaś w marzeń lazurze,
I roztopiona w blasku miesiąca
Zwiędłą rzuciłaś mi różę.
Nie wiém, czy róża z twojego czoła,
Czy twoją skropiona łezką,
Czy mi jakiego ręka anioła
Rzuciła różę niebieską.

Ciemność twéj duszy, jak dżumy plama
Od ciała przeszła do ciała:
Widzisz jad w sercu? — to łza ta sama,
Którąś ty w serce nalała;
Widzisz, jak zagasł dziecka rumieniec,
Gdzieś ty ustami przebiegła?..
A ten na głowie płonący wieniec
Tyś skrami oczu zażegła.

Dziś, gdy mi włosy burza roztarga,
Ogniami czoło mam sine,
A jakąś dumą drży moja warga,
Że w tych płomieniach nie ginę.
Lecz gdy do szczęścia świat mię zawoła,
Nie biegnę szczęśliwych śladem;
Przeklinam ciebie ogniami czoła,
Serca przeklinam cię jadem.

Więc niech mię prędko chmury czarnymi
Porywa wicher nicości,
Bo już przeklątem wszystko na ziemi,
Wszystko — z aniołem przeszłości...
Tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka
I falą powraca ciemną,
Nic mnie nie żegna, nic mnie nie czeka,
Nic za mną, i nic przedemną.

Gdy bracia moi, gdy wędrownicy
Lecieli z szumem po niebie,
Ja nieruchomy, gwiazdą źrenicy
Patrzałem w przeszłość, na ciebie.
Dziewice ziemi nieraz postrzegły
Łzawymi oka błękity,
Że oczy moje za tobą biegły,
Żem był na sercu zabity.

Okruszynami nikłéj miłości
Karmiłem blade widziadła,
Ale łza taka, jak łzy przeszłości,
Na żadne serce nie spadła.
Jak oczy moje topią się, mdleją,
Jak myśli rzucają ze dna,
Jak iskry sypią, jak łzami leją,
Ty wiesz! — lecz tylko ty jedna.

A teraz — smutny przeszłości echem,
O ludzie, idę za wami,
Choć śmiech wasz dla mnie — szalonych śmiechem,
Łzy wasze — szalonych łzami;

Lecz gdy się znudzę łez zimnych rosą
I zimnych uściskiem prawic,
Duszę mi od was wichry uniosą,
Lecz wichry pełne błyskawic.

Veytoux, d. 30. lipca 1835 r.

R Z Y M.

Nagle mię tracił płacz na pustém błoniu:
„Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem“.
Tak śpiewał pasterz trzód, siedząc na koniu.

Przedemną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad niemi kościół ten, co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami
Okrętów tłum, jako łabędzie stado,
Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą
Poranny zachwiał wiatr i pędził daléj,
Jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali
Ci aniołowie fal, a ja zostałem
W pustyni sam, z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, gdy mnie spytało w pustyni
Słońce, szydzący bóg, czy Rzym widziałem?..

SUMIENIE.

Przekląłem — i na wieki rzuciłem ją samą
I wzburzony, nim księżyc zabłysnął wieczorem,
Jużem się od niéj długiém rozdzielił jeziorem;
A gdy się toń jeziora księżycową plamą
Osrebrzyła, gdy wichry zawiewały chłodniéj,
Jam jeszcze jechał, jeszcze uciekałem od niéj.

I możebym zapomniał, bo koń leciał skoro,
Bo mi piosenkę grały tętniące kopyta,
Gdzie ona... oszukana... przeklęta — zabita...
Patrzę na niebo — księżyc — na gwiazdy — jezioro —
Wszak jęk tu nie doleci... wszak łez nie zobaczę,
To jezioro — to fala — to nie ona płacze.

I możebym zapomniał...lecz gdy to spostrzegła
Blada światłość księżyca — krok w krok za mną biegła.
Próżno się zatokami wężowymi kręcę,
Wszędy mnie księżycowa kolumna dopadła,
Jakby się ta kobiéta do stóp moich kładła
I, niema płaczem, za mną wyciągała ręce.

Rzym, d. 1 maja 1836 r.

U Ł A M K I.

Na ustach moich węgiel położył czerwony,
Obrócił na północ twarzą,
I kazał prorokować hymn wrący, szalony:

Narody ziemskie! kiedy was porażą,
Kiedy stracicie nadzieję,
Słuchajcie wieszczów — byście wiedzieli, co każą.

A naprzód temu, co krew waszę leje,
Przez usta, piersi i skórę i oczy,
I znużony jest zemstą i nie mdleje,

Trzy przekleństwa posyłam, i duch proroczy,
Co ma jak szatan szpony ogniste i skrzydła,
I robaczliwy ząb, co trupy toczy.

Miałem lutnię, co siedem strun miała i widła,
Na nich był patyk złoty, gdzie łabędziowi
Duszy mojéj spoczynek był — lecz mi obrzydła:

Bowiem nie mogła wydrzéć nic grobowi,
Nawet pamiątek tych, co nieśmiertelne
Powinny być — a są podobne snowi.

A więc zerwałem naprzód dwie weselne
Struny na lutni téj, i nigdy więcéj
Już nie obudzę ich: — bo są bezczelne.

Zerwałem drugie dwie, co sto tysięcy
Wyrazów słodkich, miłych, miłosnych umiały,
I uśpić smutne serce umiały najprędzéj.

Zerwałem trzecie dwie, jak echo skały
Powtarzające wszystko, co słyszą dokoła:
Albowiem wszystko płacz, co usłyszały.

Została jedna ta, co teraz woła:
O wy! co w prochu myśli mażecie i serca,
Z tych serc otrzyjcie rdzę — podnieście czoła!

HYMN
O ZACHODZIE SŁOŃCA NA MORZU.

Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowéj wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski;
Choć wiém, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkiém morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiém, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości
W straż nieoddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc, że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnéj dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiém, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie,
Patrzący, marli...
Nim się przed moją nicością [1]) ukorzę,
Smutno mi Boże!

d. 20. październ. dopływając do Alexandryi, 1836.

DO TEOFILA JANUSZEWSKIEGO.

Gdzie dziś Neapol jasny? Kto zasiadł nasz ganek?
Kto patrzy na rybackich sklepów złoty wianek?
Gdzie koczujące światła w pół okręgu zwite,
Od wiatru żagielkami białymi nakryte,
Jak te, o których prawi gdzieś Szecherazada,
Ptaków z ognistą piersią, z białém skrzydłem stada?
Nad błękitami siedzą. Przy świetle światełko,
Każde ma białe sobie dodane skrzydełko;
Rzekłbyś, że gwiazd znudzonych lazurami plemię
Bóg skrzydłami uzbroił — i przysłał na ziemię.
Lubiłeś taki widok — ludu ruchy — migi —
Krzyk — życie — otwiérane nożami ostrygi —
Z polipów i gwiazd morskich malownicze wzorki —
Siarczaną wodą z hukiem wystrzelone korki —
Falę ludu, co z sobą po ulicach niesła
Osoby — granem widok płacące i krzesła...
Lubiłeś na to patrzeć, lecz poważnie — z tronu
Drżącego nad falami morskimi balkonu,
Którym architekt tkanki podrzéźniał pajęcze. —
Ja tymczasem, kolorów przeleciawszy tęczę [2]),

[1]) Powiedziano nam, że w jednym z rękopisów jest:
Nim się przed Twoją wiecznością ukorzę,
lecz nie zdołaliśmy tego sprawdzić (p. W.).

[2]) *War. I.* Ujrzałem niebo, które po. . . . . .
. . . . . błyskawice letnie
. . . . . , . . Czy pamiętasz chwile,
Gdy księżyc, wszedłszy stąpał po lawy mogile.
Znając ustawicznego drogę wędrownika,
Widzieliśmy, że wyszedł z chaty pustelnika,

Patrzałem na Wezuwiusz, aż po lawy ścianie
Drący się księżyc wejdzie, na kraterze stanie
I stamtąd białe czoło obróci do świata.
Tak zrodzone na grobie dziecko twego brata,
Któremu piérwsza grobu lilia rówieśniczką,
Zamyśloną na ludzi spojrzało twarzyczką
Z cichéj ojca mogiły... Gdzie nasz lazurowy
Golf? i ciche przy białym księżycu rozmowy?
Jak się wieniec związanych ludzi prędko kruszy!
Wczoraj widziałem wróble spłoszone na gruszy;
Cała hurma na bliskie uniosła się drzewka
Tak zgodnie, że raz biała skrzydełek podszewka
Ku słońcu, to znów cała chyli się ku roli,
Jak podsrebrzone liście rozchwianéj topoli.
Lecz ludzie, piorunową spłoszeni ulewą,
Nigdy [1]) razem na bliskie nie usiędą drzewo,
Ale niezgodnym lotem rozchodzą się błędnie.
Ani tam listek róży, gdzie liść lauru więdnie...

Już miesiąc, jak z jednego wyjechawszy grodu,
Ty pod strzechę własnego domu, w cień ogrodu,
Ja w nieznane uciekam krainy południa
Przed ścigającą myślą i mrozami grudnia.
A gdy mi już na opak idą roku pory,
Gdy zima kwiatowymi ubrana kolory,
Ani po górach lekkim płatkiem śniegu sypie,
Ani w kryształ ubiéra brzozy, ani skrzypie
Pod saniami wieśniaka, ani pod stodoły
Zgania wróble, ni smutno zielone jemioły

A potém szedł po góry czarnéj... krańcu
I stanął na kraterze, jak rycerz na szańcu,
Lub jak anioł na grobie zmarłego człowieka...
Nim odleci w błękity... zatrzyma się... czeka...

War. II. Gdzie Wezuwiusz czarniejszém zasępiony licem
Nie lawą, lecz ma srebrnym wybuchnąć księżycem.
Pomnisz, miesiąc, z krateru wynurzony dołów,
Gdy stanął na ponurym kurhanie popiołów
I stamtąd białe czoło obrócił do świata...

[1]) *War.* Nigdy się na pobliskie nie przeniosą drzewo.

Różami świegocących osypuje gilów,
W kraju porżniętym wstążką jasną siedmiu Nilów
Mógłbym o spokojnikach zapominać wiejskich,
Pijąc muł Etyopów zamiast wód letejskich.
Lecz ja przeciwnie — wszystkie widziane obrazy
W myśl kładę, jak na wielkie zwierciadło bez skazy,
I chciałbym wam, gdy noc was zimowa zaskoczy,
Tém zwierciadłem Egiptu słońce rzucić w oczy.

Obłąkany nasz okręt zawołał o świcie:
Ziemia! I ziemia wyszła na morza błękicie,
Jak złocistego piasku dzierzgany obrąbek.
Rzekłbyś, że biały siedzi na piaskach gołąbek,
Przypatrując się sobie w zwierciadlanéj fali...
A to był pałac wielki Mohameda-Ali.
Rzekłbyś, że przed nim resztki wieśniaczego płota
Stérczą... to była Ali-Mohameda flota.
Nad tym brzegiem, a z twarzą, jak ją widzę co dnia,
Leżała niesplamiona purpura przedwschodnia;
Na niéj stada gwiazdeczek bladego lazuru —
I jedna tylko palma na prawo z marmuru,
Otoczona rojami nieśpiących wiatraków.
W przezroczu nieba stada wędrujące ptaków,
Tak jak je ręka boża w jeden łańcuch sprzęże,
Przedemną w czarne, długie wiązały się węże...
Tak mi się ukazały afrykańskie brzegi
Smutne, obumarłymi południka śniegi
Zasypane, pod nieba sklepionego łuną,
Długą i rozciągniętą położone struną.
Z niéj jak z boskiego łuku na niebieskie stropy
Strzał słonecznych wiązane wypadały snopy.
Chciałbym się teraz zbliżyć teleskopu szkiełkiem
Do brzegu — spoić tęczą kolorów i zgiełkiem.
Tu przeszywany złotem, przetkany bławatem
Chce być człowiek bawiącym oczy twoje kwiatem;
Nawet w ubiorach ludu taka rozmaitość,
Że cię wkrótce dusząca opanuje sytość,
I szukasz znużonymi oczyma błękitu,
Lecz próżno! — bo dom szczytem przyrasta do szczytu;

Bo ledwo się oglądniesz, zaraz ciebie horda
Oślarzy za złotego zwąchała milorda
I osiołkami drogę zwężoną przegradza —
Chwyta — piastuje — z ziemi podnosi — i sadza
Na szybkolotnym ośle, razów mu nie szczędzi,
Aż biegnąc pod złotego orla cię zapędzi.
Szczęśliwy, kto tak gnany, pod rozsądek ścisły
Oczy podda i wszystkie razem zwiąże zmysły!
Nieszczęsny, kto na boczne bramy się ogląda!
Schyl głowy!.. osioł wleciał pod juki wielbłąda —
Patrzysz... nad tobą arka tłómoków i skrzyni —
Rozbiłeś się na lądzie — a okręt pustyni
Popłynął. — I znów idzie całunem nakryta
Jakaś trumna, szeroka, czarna — to kobiéta!
Płaszczami rozszérzona na całą ulicę,
Z oczami błyszczącymi jako dwie gromnice
Przez dwa białe otwory, z jedwabiu szelestem
Biegnąca... zda się tobie, że pyta: kto jestem?
W łokciach ufaj, jak ryba pływająca w skrzelach,
Rozpychaj tłum — błękitny ustępuje felach.
Tu pilnująca głową równowagi dzbanka,
Wyprężona przy murach staje Egipcyanka,
Podobna karyatydzie w ścianę wmurowanéj;
Jéj koszula, posłuszna piersi z brązu lanéj,
Nad łonem się podnosi i na dół opada,
O każdy kształt jak wodna łamiąc się kaskada.
Tu europejski ubior, wielki równacz stanów,
Dalej żebrzące stado postaci bocianów
Goni za tobą, prośbą grzechocącą klaszcze —
Czarne, wychudłe, w białe obwinięte płaszcze. [1])
Ledwoś wyrobił w tłumie ulicowym szczerby,
Ledwoś dopadł do bramy: — przy bramie, jak herby,
Żywe wielbłądy okiem przerastając kratę,
Wodą w skórzanych workach zamkniętą skrzydlate,
Stają ci się przed progiem domowym zagrodą,
Odstraszając sączącą się przez skóry wodą.

Nim się myślą o wiekach ubiegłych zasępię,
Bawi mię to, co widzę i słyszę na wstępie:

---

[1]) *War.* Czarne piszczele w białe owijając płaszcze.

Dziś ludzi, kolorami rozkwiecone klomby —
Jutro ujrzę pomniki — trumny — katakomby —
Wszystko, co pozostało na tym piasku z wieków
Od Egipcyan przez Rzymian podbitych i Greków.
Dosyć już... dziś znużony arabskimi gwary
Siędę w oknie i będę patrzał na port stary
Wielkiego Alexandra, gdzie się jeszcze trzyma
Latarnia morska, świécąc puszczyków oczyma.

Alexandrya, 22 października 1836.

ODWIEDZINY PIRAMID.

Wyjechałem z Kairu dziś ze słońca wschodem. [1])
Mgła biała nad palmowym Kairu ogrodem
Kryła mi złote słońce... i łzy brylantowe
Zawieszała na palmach; a gmachy różowe
Zorzą mglistą, tysiącem wieżowych promieni
Przesuwając się w tajnéj ogrodu zieleni,
Odchodziły gdzieś na wschód. Oślątko me chyże
Leciało, aż się w starym oparłem Kairze.
Łódka stała u brzegu, wsiadłem do niéj — płynę.
Za Nilem widać było zieloną równinę;
Po obu stronach domki białe, pełne krasy;
Za domkami dwa wielkie daktylowe lasy,
Między lasami przestwór i na tym przestworze
Trzy piramidy — daléj żółte piasków morze
I niebo blade — czyste, jak Ptolomeusza
Krąg z kryształu... Na oczach usiadła mi dusza...

Przez Nil cichy prędkimi przeprawiony wiosły
Wysiadam... już zbliżone daktyle przerosły
Czoła dumne piramid — zniknęły pomniki
I tylko las błędnymi pocięty promyki,
Wystrzelony pod niebo, koronami szumny, [2])
Jak przysionek piramid bogaty w kolumny

---

[1]) D. 2 listopada 1836.

[2]) *War.* Drzew wysoko pod niebem koronami szumny.

Przy ludzkich dziełach ręką zasadzony Boga...
I trzy godziny trwała pełna dumań droga,
I więcéj, bo Nil jeszcze nie wrócił do łoża.
Przepływałem jeziora — aż na piasków morza
Wyniosło mię oślątko... Na piaskowym wale
Stały przedemną gmachy błyszczące wspaniale,
Twarzami obrócone do słońca — i do mnie.
Patrzałem na nie — potém na siebie... Jak skromnie
Wyglądałem przy grobach takich! na osiołku,
W pustyni piasku w każdym topiący się dołku.

Bliżéj — z pokorą wszystko opisywać muszę —
W dolinie piasku stoją trzy drzewa: dwie grusze,
A we środku spleciona z kilku palma jedna.
Chociaż w piasku, zieloność je kryje nie biédna;
Jak szmaragdy się błyszczą stojące na straży
Przy dolinie piramid. Szczęśliwy, kto marzy
Pod liściem rozłożystém téj szerokiéj gruszy,
Gdy lawiną kamieni grobowiec się kruszy
I spada z wielkim hukiem.

Na białym kamieniu
Siadłem strudzony w drzewa szerokiego cieniu;
Myślałem, jak ten wąwóz cały piasków przebrnę?
Co czuć będę? i oto... jakieś mrówki srebrne
Pod nogami ujrzałem grzebiące się w piasku.
Wziąłem do rąk stworzenie perłowego blasku
I bawiło mię małe, jak ziarenko żyta...
A domek ich, jak ślady końskiego kopyta,
Obłożony wałami w budowę półkolną,
Przejrzałem cały — potém puściłem je wolno
Obie do rozbitego sarkofagu żłobu,
I wstawszy szedłem prosto do Cheopsa grobu.
A kiedym był u piasków przebytych połowy,
Wzniosłem czoło — spojrzałem górą ponad głowy,
I nie mogłem oczyma doleciéć do szczytu
Grobów, co uleciały w krainę błękitu.
A więc oczy ogromem piramid odparte
Spuściłem... W koło były grobowce otwarte,

W których i proch umarłych dawno powymierał.
Sfinx czarną Kopta twarzą nad piasek wyzierał.
I straszna była dzikość grobowéj doliny.

Wtenczas wypadli słońcem wyschli Beduiny,
Brązowi, w białych płaszczach, jak grobowe sępy,
I porwały mię czarnych szatanów zastępy
I wiedli z krzykiem w groby od wieków milczące,
Paląc pochodnie — blado na słońcu płonące.

Nim doszedłem zaściennéj piramid ulicy,
Schyliwszy się podniosłem kamień soczewicy,
Która dawniej karmiła królów [1]) robotniki
I stała się pomnikiem pomiędzy pomniki;
Ta sama kształtem, tylko wosku wziąwszy białość,
Dziś — różniąca uczone głowy — skamieniałość!
Postrzegłszy, żem krainę głazów ruszał senną,
Jakby mi chcieli w piaskach zadać śmierć kamienną,
Araby mię w grobowcach otoczyli gęściéj,
A każdy trzymał granit ważony na pięści —
Od nowéj się napaści obroniłem skoro [2])
Głaz pamiątek kupiwszy za *para* pięcioro.
I szedłem z Arabami w piramidy łonie,
Szukając drzwi — te były na zachodniéj stronie.
Przed drzwiami do niskiego podobną pagórka
Piramidę maleńką ma Cheopsa córka.
Stanąłem — tak pokornie tu się położyła
Przy mogile ojcowskiéj dziécięcia mogiła,
Że łzy miałem na oczach...

W piramidy ścianach
Jest otwór, gdzie do grobu wchodzisz na kolanach.
Arab z pochodnią wpełznął i zniknął. Musiałem
Synom stepów się oddać i z duszą i z ciałem.
Dwóch zaprzęgło się do mnie, dłonie wzięli w kleszcze,[3])
Trzeci lazł rakiem świécąc, a czwarty mię jeszcze

---

[1]) *War.* Głazów robotniki.

[2]) *War.* Natenczas, chcąc zebrany tłum rozpędzić skoro,

[3]) *War.* Dwóch mnie za ręce ręką chwycili kościaną
A raz stopę drugi raz kolano,
Stawiałem w korytarzu, gdzie mi ścianę spodnią
Twarzą do mnie idący Beduin z pochodnią
Oświecał...

Popychał — i w ciemnościach mnie gmachu pogrzebli
I śliskimi kominy, bez schodów i szczebli
Wiedli w górę, aż wreszcie mogłem podnieść głowy,
Obaczywszy się żywym w *Komnacie Królowéj*.
I daléj korytarzem trumnianego ula [1])
Pełznąc, obaczyłem się w Sali trupa Króla.
Blask pochodni się lekko po ścianach rozpłonił.
Sarkofag próżny — ręką uderzyłem - dzwonił,
Jak rzecz pusta...
Wyszedłem z granitowéj skały
Jak senny, zadziwiony dniem, co świécił biały,
Palm zielonością, piasków oświéceniem złotém,
Westchnąłem z głębi piersi... za niczém... a potém
Obróciwszy się, czarne zapytałem guidy,
Gdzie — którędy się idzie na szczyt piramidy?
Pokazali mi lewy brzeg nierówno zlany
Z ciemnéj nie oświéconéj promieniami ściany.
Przemierzywszy, jak czynią podróżni roztropni,
Wielkość każdego — mnogość do przebycia stopni,
Wiedząc, jak się grobowce pod nogami [2]) kruszą,
Arabom się oddałem ciałem, Bogu duszą.

Z dwóch Beduinów tylko mój orszak się składał,
Każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadał
I podawał mi ręce... i tak szedłem długo.
Raz mi kamień był stołem, drugi raz framugą.
Trzy a zaledwie z dołu widziane szczelinki
Były jak trzy komnaty, na trzy odpoczynki.
W głowy zawrocie jużem nie pomniał, gdzie idę,
I tak wszedłem na pierwszą w świecie piramidę.

NA SZCZYCIE PIRAMID [3]).

Jak dwaj czarni z białymi skrzydłami anieli
Dwaj Arabi na rogach pomnika stanęli,
Ja na głazie najwyższym... Chciałem zebrać wzrokiem
Cztéry ściany spadzistym lecące potokiem

[1]) *War.* I znów jak przez korytarz kamiennego ula.
[2]) *War.* Kamienie pomnikowe.
[3]) W rękopisie, według którego drukujemy, ta część ma powyższy tytuł (Przyp. Wyd.).

I nie mogłem ogarnąć — bo na to potrzeba
Być słońcem — i na królów groby patrzeć z nieba.
Arabi stali cicho — za nimi zwierciadłem
Był sklep błękitu — w niebo spojrzałem i siadłem,
Patrząc na różnych w koło napisów kobierce.
Cicho — zegarek słyszę idący — i serce...
Czas i życie. — Spojrzałem na błękit rozciągły,
Świat przybrał kształty Bogiem widziane — był krągły.
Zdala Kair... Nil... łąki... daktylowe laski...
Bliżéj — pustynia... złotem oświécone piaski...
Bliżéj — trzy drzewa, figa, pod nią cienia chłodnik,
A w nim stał mój osiołek i Arab przewodnik.
Patrząc na nich, myślałem o mrówce ze srebra...
Bliżéj — dolina piasku, cała w równe żebra
Wichrem zmarszczona — i Sfinx, i grobowce białe [1]) —
Ziemia widoma... wszystko dojrzane, lecz małe...

Inny widok na prawo, inna była scena:
Naprzeciwko Cheopsa stał pomnik Cefrena,
Tak że orzeł po równéj krainie błękitu
Mógł płynąć od jednego do drugiego szczytu.
Dwie piramidy wąwóz tworzyły głęboki,[2])
A zachodniego słońca czerwone potoki
Jakby falami ognia płynęły tamtędy,
Lejąc się przez grobowców utworzonych rzędy.

Ale większy był jeszcze widok z innéj strony:
Pustynia — i ogromny krąg słońca czerwony
Chylił się do zachodu...

I większy był jeszcze
Widok — w myślach — na wieki, lecące jak deszcze
Po granitowych ścianach; na pożarów łuny,
Na ogromnych wypadków bijące pioruny...

---

[1]) *War.* Grobów okruszyny białe.

[2]) *War.* Dwie równe — myśli trwożne trzymające w grozie
Tworzyły wąwóz gmachów... w głębokim wąwozie,
Na ziemi — właśnie słońce patrzało tamtędy —
Widać było aż w głębi dwa mrówczane rzędy
Czarności nieruchoméj... były to poryte
Mogiły, niecałymi kamieniami kryte.

Kiedym to wszystko wstawił i w grobie pochował,
Zdało mi się, że Mojżesz krwią Nil zafarbował
I że płynął czerwony wypadków posoką;
A tak myśląc, po głazach obłąkane oko
Padło na jakiś napis—strumień myśli opadł...
Ktoś dwudziesty dziewiąty przypomniał Listopad,
Polskim językiem groby Egipcyanów znacząc...
Czytałem smutny — człowiek może pisał płacząc.

PIEŚŃ NA NILU.

Nie szumi liść, nie szumi gaj,
Jakie niebo, jaki kraj!
Z cegieł stoją wielkie góry,
A na cegłach leżą chmury.

I jam cierpiał i jam żył,
Jam w letejskich wodach pił,
Dziś w Nilowe fale mętne
Patrzą oczy moje smętne.

Patrzę smutny, patrzę w dół,
Czy kto moje serce struł,
Że śpi teraz jak łabędzie,
Że mu wszystko jedno wszędzie...

Łódko, łódko, daléj nieś!
Tu na brzegu stoi wieś,
Tu gołębi jakby śniegu,
Chmura ptaków, wieś na brzegu.

Daléj, łódko, od tych kras!
Tu palmowy stoi las
I gliniana chata w głębi
Z wiankiem ciernia i gołębi.

ARAB.

O! nie zazdrość szczęścia im,
Patrz, nie idzie z chaty dym.
Nieszczęśliwy los lepianek,
Choć z gołębi mają wianek.

Może tam zarazy strup,
Może w chacie leży trup,
Dzieci płaczą przy tapczanie,
Trup nie słyszy i nie wstanie.

Trupa trzeba ziemi dać,
I gołębie będą spać,
Gdy wychodzi trup nędzarza,
Gdy powróci syn z cmentarza.

POETA.

Jeśli tak, to łódko tam
Te błękitne fale łam.
Do téj chaty nieś mię, łodzi!
Wejdę tam, skąd trup wychodzi.

Tam nieś, łódko... tam mi żyć,
Będę jęczeć, będę wyć,
Serce kąsać nadaremno
A gołębie spać nademną.

ARAB.

Co zamyślasz? czy ty śnisz?
Gdy uczują ptaki krzyż,
Świty białe, wschodu róże,
Rozlecą się po lazurze.

Allach! wicher będzie wiał
I przyniesie czworo skał,
I położy grób na grobie
Na gołębiach i na tobie.

POETA.

Jeśli tak, ha! jeśli tak,
Niechajż śpi i wichr i ptak!
Ja nie spocznę w głębi chaty,
Lecz polecę jak skrzydlaty.

Jak od młodych moich lat,
Ja polecę lotem w świat.
Daléj, łodzi!

ARAB.

Nocleg tobie
W Ramazesa starym grobie.

POETA.

Tam przynajmniéj jednę noc
Odzyskam sen, odzyskam moc,
I spać będę z cichą twarzą
Pod gołębi sennych strażą.

Czy daleko stąd ten grób,
Gdzie ja będę spał jak trup
Umęczony?

ARAB.

Niedaleko!
Za tą palmą, tam, nad rzeką;
Lecz go teraz kryje mgła.

Mówił tak, a łódka szła.

ROZMOWA Z PIRAMIDAMI.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, sarkofagi,
Aby miecz położyć nagi,
Naszę zemstę w tym bułacie

Pogrześć i nabalsamować,
I na późne czasy schować?
— Wejdź z tym mieczem w nasze bramy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, grobowniki,
Aby nasze męczenniki
W balsamowéj złożyć szacie;
Tak by każdy na dzień chwały
Wrócił w kraj choć trupem cały?
— Daj tu ludzi tych bez plamy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny i łzawice,
By łzy nasze i tęsknice
Po ojczystych pól utracie
Zlać tam razem i ostatek
Czary dolać łzami matek?
— Wejdź tu, pochyl blade lice,
Mamy na te łzy łzawice.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny zbawicielki,
Aby naród cały, wielki,
Tak na krzyżu, w majestacie
Wnieść, położyć, uśpić cały
I przechować — na dzień chwały?
— Złóż tu naród, nieś balsamy,
Mamy takie trumny, mamy,

Piramidy, czy została
Jeszcze jaka trumna głucha,
Gdziebym złożył mego ducha?
Ażby Polska zmartwychwstała?
— Cierp a pracuj! i bądź dzielny,
Bo twój naród nieśmiertelny,
My umarłych tylko znamy
A dla ducha trumn nie mamy.

Z LISTU DO KSIĘGARZA

(Eustachego Januszkiewicza).

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima,
Mój Eustachy.

Jeszcze głowa dyabła warta,
Jeszcze morskie czuję strachy,
Wycia hyjen, lwa, lamparta,
Mój Eustachy.

Jeszcze długo spocząć trzeba,
Nim przywyknę widzieć dachy
Zamiast płócien, palm i nieba,
Mój Eustachy.

Lecz ty wyrwiesz mnie z letargu,
Ty pomięszasz róż zapachy
Księgarskiego wonią targu,
Mój Eustachy.

Będę tobie wdzięcznym za to,
Przypomnisz mi kraj i Lachy
Zniechęceniem, troską, stratą,
Mój Eustachy.

Ty napiszesz mi, jak stoją
Poetycznéj muzy gachy,
I co piszą i co broją,
Mój Eustachy.

Dla nich rosły świeże laury
I szczękały druku blachy,
Gdym ja gonił Kofty, Maury,
Mój Eustachy.

Niech śpiewają więc „Te Deum“,
Żem rok zgubił, budząc Grachy
I Scypiony w Koliseum,
Mój Eustachy.

Lecz się wmięszam do antyfon,
Na egipskie klnę się ptachy,
Na kościoły, gdzie Bóg Tyfon,
Mój Eustachy.

Klnę się tobie i na Ator,
Co w Tentyrze ma swe gmachy,
Że się porwę, jak gladyator,
Mój Eustachy.

D. 9. lipca 1837. w kwarantannie Livorno.

DO ANIELI M.

I.

O tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby je łzami zaprószyć!
O tak, zaprawdę, że chcąc serce skruszyć,
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne.

Lecz go łzy dotąd nie otruły setne,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, niż miałaby je zdeptać noga,
Prędzéj je zimném żelazem rozetnę.

I próżno powiész, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewéj strony:
Bo moje serce jest w płaszczu rycerzy,
Którzy na bieli mają krzyż czerwony;
A nad niém jeszcze jest pancerz stalony,
A ono jeszcze głębiéj — w trumnie leży.

Październik, 1838. Florencya.

DO TÉJŻE.

II.

Ogniem, żałością wre zamknięte łono;
A kiedy zacznę się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i skąsać
I precz odrzucić tę rzecz tak zhańbioną

Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystém!
A ty myślałaś, że ja z tém ognistém
Sercem — nazwę cię kochanką i żoną?

O! pierwéj piekło, niżby czoło dumne
Na twojém zimném sercu kiedy spało!
A niż całować twe usta rozumne
I twoje białe, marmurowe ciało
Owionąć ogniem i żyć z taką skałą,
Jaka ty jesteś, zimna, — lepiéj w trumnę!

NA SPROWADZENIE ZWŁOK NAPOLEONA.

I wydarto go z ziemi — popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącéj,
Gdzie sam leżał — ze sławy aniołem,[1])
Gdzie był sam[2]) — nie w purpurze błyszczącéj,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu,[3]) jak na krzyżu, rozbity.

Powiédz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewiczu, dowódco korabli? —
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie,[4])
Czy z rąk jednę miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
Czy trup zadrżał? — powiédz — czy się wzdrygnął?

---

[1]) *Warpant*. Gdzie był sam — lecz ze sławy aniołem (Ręk.). [2]) *War*. Gdzie sam leżał (Młoda polska). [3]) *War*. A na szabli (Ręk.). [4]) *War*. Czy swe ręce miał krzyżem na sobie (Ręk.).

Bo on wiedział [1]) że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy;
Ale myślał, że ręka go syna
W tym grobowcu podźwignie i ruszy,
I łańcuchy zeń zrzuci [2]) zabójcze
I na ojca trup — zawoła: Ojcze!

Ale przyszli go z grobu wyciągać —
Obce twarze zajrzały do lochu —
I zaczęli prochowi urągać,
I zaczęli nań wołać: „Wstań, prochu!“
Potém wzięli tę resztkę [3]) zgnilizny
I spytali: „Czy chcesz [4]) do ojczyzny?“ —

Szumcie, szumcie więc, morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! wstępujcie na góry
I patrzajcie nań wieków oczyma!
Ta na morzu mew girlanda [5]) szara
Jest to flota z popioły Cezara.

Z tronów patrzą szatany występne, [6])
I car patrzy [7]) blady z poza lodów;
Orły siedzą na trumnie posępne,
I ze skrzydeł krew sączą [8]) narodów —
Orły niegdyś skrzydlate [9]) i dumne
Już nie patrzą na słońce, lecz w trumnę.

Prochu! prochu! o leż ty spokojny,
Gdy zagrają [10]) trąby śród odmętu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pogrzebne [11]) lamentu:
Raz ostatni hetmanisz ty roty!
Duch zwycięży — lecz zwycięstwem Golgoty [12]).

---

[1]) *War.* Bo on przeczuł (Ręk.), On przeczuwał (Ml. pol.) [2]) Zdejmie (Ml. pol.). [3]) Trochę (Ml. pol.). [4]) Chce (Ml. pol.). [5]) Tam! na morzach! mew gromadka (Ml. pol.). [6]) Przestępce (Ml. pol.). [7]) Car wygląda (Ml. pol.). [8]) Trzepią (Ml. pol.) [9]) Zdobywcze (Ml. pol.). [10]) Usłyszysz (Ml. pol.). [11]) Pacierzy (Ml. pol.). [12]) I zwyciężysz zwycięstwem Golgoty (Ml. pol.).

Ale nigdy, o nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą,
Nigdy, nigdy nie szedłeś śród jęku
Z taką straszną królewską [1]) powagą,
Z takiém strasznem [2]) na przyszłość obliczem,
Jak dziś, prochu [3]), gdy wracasz tu — niczém.

W czerwcu 1840.

POGRZEB KAPITANA M. [4])

Braliśmy biédną trumnę ze szpitalu,
Do żebrackiego mieli rzucić dołu;
Ani łzy jednéj, pamiątki i żalu,
Ani westchnienia nad garstką popiołu!
Wczoraj — był pełny młodości i siły!
Jutro — nie będzie nawet i mogiły! —

Gdyby przynajmniéj przy rycerskiéj śpiewce
Karabin jemu pod głowę żołnierski —
Ten sam karabin, w którym na panewce
Kurzy się jeszcze wystrzał belwederski!
Gdyby miecz w sercu, lub zabójcza kula! —
Lecz nie! — szpitalne łoże i koszula!

Czy on pomyślał — śród nocnych błękitów,
Gdy Polska z grobu powstająca jękła,
Gdy leżał smętny w trumnie Karmelitów,
A trumna w chwili zmartwychwstalnéj pękła,
Gdy swój karabin przyciskał do łona,
Czy on pomyślał wtenczas, że tak skona?!

Dziś przyszedł do nas szpitalu odźwierny,
I przyszły wiedźmy, które trupów strzegą,
I otworzyły nam dom miłosierny,
I rzekły: „Brata poznajcie waszego! —

[1]) Z tak ogromną bezśmiertnych (Mł. pol.). [2]) I mocą... i tak dumném (Mł. pol.). [3]) Jak dziś wielki! (Mł. pol.). [4]) Majznera (p. Wyd.).

Czy tensam, który z wami się po świecie
Kołatał wczora? — czy go poznajecie?“

I płachtę z głowy mu szpitalną zdjęto
Nożem pośmiertnych rzeźników czerwoną;
Źrenicę trzymał na blask odemkniętą,
Ale od braci miał twarz odwróconą;
Więceśmy rzekli wiedźmom, by zawarły
Trumnę, bo to jest nasz brat ten umarły.

I przeraziła nas wszystkich ta nędza,
A jeden z młodszych spytał: „Gdzież go złożą?“
Odpowiedziała mu szpitalna jędza:
„W święconéj ziemi, gdzie przez miłość bożą
Kładziemy poczet nasz umarłych tłumny,
W jeden ogromny dół, na trumnach trumny.“

Więc ów młodzieniec, męki czując szczére,
Wydobył złoty jeden pieniądz drobny
I rzekł: „Zaśpiewać nad nim „miserere“!
Niechaj ogródek ma i krzyż osobny...“
Umilkł, a myśmy pochylili głowy,
Łzy i grosz sypiąc na talérz cynowy.

Niech ma ogródek — i niech się przed Panem
Pochwali tém, co krzyż na grobie gada:
Że był w dziewiątym pułku kapitanem,
Że go słuchała rycerzy gromada,
A dziś ojczyźnie jest niczém niedłużny,
Chociaż osobny ma kurhan — z jałmużny.

Ale Ty, Panie, który z wysokości
Patrzysz, jak giną ojczyzny obrońce,
Prosimy Ciebie przez tę garstkę kości,
Zapal przynajmniéj na śmierć naszę słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnéj niebios bramy,
Niechaj nas, Panie, widzą, gdy konamy!

DO MATKI.

Zadrży ci nieraz serce, miła matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych:
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
I tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiém, że wróceniem mojém lat-bym ci przysporzył;
Wszakże gdy się spytają, czy twój syn powraca, [1])
Mów: syn twój na sztandarach jak pies się położył,
I choć wołasz, nie idzie; oczy tylko zwraca,

Oczy zwraca ku tobie... więcéj nic nie może,
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłómaczy;
Lecz woli tutaj konać, niż iść na obrożę,
Bo woli zamiast hańby... pić czarę rozpaczy!

Przebaczże mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił;
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
Musiałby — toby ciebie pewno nie opuścił.

DO LUDWIKI BOBRÓWNY.

Gdy na Ojczyznę spojrzą oczy Lolki,
Karmione złotem i tęczową czczością,
Niechajże spojrzą tak, jak oczy Polki,
Spokojnie — ale z ogniem i miłością.

Kiedy je patrzeć na smutek przymuszą,
I na lud, który gdzieś w łańcuchach pędzą,
Niechaj te oczy łzami się zaprószą —
Lecz niech się nigdy nie zamkną przed nędzą.

[1]) Wiem, żebym ci wróceniem swojém lat przysporzył
Mów, kiedy cię spytają, czy twój syn powraca,
Że syn twój i t. d. (Autograf według »Warty«).

Kiedy z tych oczu łez opadnie rosa,
A ludzie będą chciwie w nie patrzali,
Niech oczy całe pokażą niebiosa
Aż do błękitu dusz i jeszcze daléj.

A kiedy przyjdą porwać naród z trumny
I rzucić w ogień tych, co skry się boją,
Niech w oczach będą takie dwie kolumny,
Jak ognie, które na wulkanie stoją.

Wtenczas ja powiém srodze rozkochany,
I nawet w rymy to zamknę królewskie:
Że choć widziałem w oczach cztéry zmiany,
Prawdziwie Lolka ma oczy niebieskie.

DO PASTERECZKI.

SIEDZĄCÉJ NA DRUIDÓW KAMIENIACH W PORNIC NAD OCEANEM.

Jak ty mi jesteś wdzięczna,
Duszeczko moja mała,
Słoneczna i miesięczna,
Prawie bez krwi i ciała.
Gdyś wysoko siadała
Z główką w zorzy pierścieniach,
Na Druidów kamieniach,
Śród jałowcowych krzaków:
Ćwieki twoich chodaków
Błyskały mi na lice
Jako dwa półksiężyce
Czerwoną zorzą ranną;
Ty byłaś mi zarazem
Chłopeczką i Dyanną,
Zjawieniem i obrazem,
Kochanką i dziécięciem —
Smutkiem i wniebowzięciem...

Włoski twoje jak zboże
Złote i przezroczyste
Wiatr unosił na morze,
A we włoskach ogniste
Ranunkuły z doliny,
Jak maki Ukrainy,
Zdawały się ogniami,
Które tobie do lica
Przypięła upiorzyca
Śpiąca w grobie — pod nami...

Za tobą — szafir mórz
Dzielił kibić na dwoje:
Nad głową — jak zawoje
Jutrzenki pełne róż,
I chwasty w dyamentach
Około ciebie skrzyły,
A ty na monumentach —
Stróżka i duch mogiły,
Z niewinnością na licach,
Z nóżkami na księżycach...

W PAMIĘTNIKU ZOFII ***.

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jéj gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poematy składać.
Jabym to samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości
I daléj mię los nieszczęśliwy goni.
Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,
Przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,
Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba.
Wróć mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

13 marca 1844. Paryż.

WSPOMNIENIE PANI DE ST. MARCEL
Z DOMU CHAUVEAUX.

Staruszko moja, o staruszko moja!
Twoje mieszkanie takie wonne tobą,
Na murach jego jak z obrazów zbroje,
A każdy obraz był jakąś osobą!
Dziś raz ostatni widząc pożegnałem,
Wszedłszy do domu — bym poszedł za ciałem.

Dawno bez męża i bez towarzysza,
Który niedawno ciebie odszedł stary,
Przycichłaś w domu: dziś ta sama cisza
W domu, a w bramie stoją twoje mary.
Gdym wszedł, myślałem: twa szata szeleszcze,
Ogień się palił, zegary szły jeszcze.

Lecz jakaś ciemność, dziwne jakieś mroki
Nad twym kominem, nad twoją kotarą,
Jakby te duże śmiertelne obłoki,
Które zmieniają dzień w godzinę szarą,
A człowiekowi bronią słów i ruchów,
Bo są z poważnych i ze smętnych duchów.

Lat dziewięćdziesiąt ciałoś ty nosiła;
Przez krew — szły twoje panieńskie nóżeczki,
Przez smutek — starość szła twoja pochyła,
A w trumnie leżą już tylko kosteczki.

Wszystkoś wybrała ze skarbów żywota:
Czemuż po tobie ta wielka tęsknota?

Może dla tego, że gdym twoje ściany
Odwiédzał, dawno światem niezabawne,
To spotykały mnie republikany,
I wielkich imion dawne duchy sławne,
I wszystkie stały z odkrytemi głowy
Słuchając we mnie grzmiącéj polskiéj mowy.

Gdym nieraz siedział przy twoim kominie,
A ty myślałaś, że ja sobie drzémię,
Jam na mownicy stał w tych duchów gminie
I brałem sobie między nimi imię —
Od głów zaczynał, aż do serc im sięgał
I znów na wielką'm ich sprawę sprzysięgał.

A ty jak trupek w krześle pod zamętem
Cicha, podobna do Park, życia matek,
Byłaś jakby tych sejmów prezydentem; —
Dzisiaj próchenko ciała i opłatek,
Bo miejsca duch lat dziewięćdziesiąt bronił,
A nie ustąpił — aż Pan Bóg zadzwonił.

Dla tegom ja cię czuł pod suchą kością
Dobrą, choć ludzie o złość oskarżali;
Tyś sławne imię nosiła ze złością,
A ja sam takie noszę, co mnie pali,
Gdym jest wielkimi burzami natchnięty,
A w burzach nawet czuję się, żem święty.

Wszystko to w głębi twojego pokoja
Czułem dziś, patrząc na złoconą ścianę.
Żegnajże, cicha staruszeczko moja,
A pamiętaj mi na sejmy zerwane
I poślij zgraję twoich duchów tłumną
Mnie, który szedłem dziś jeden za trumną.

14 Stycznia 1846.

TESTAMENT MÓJ.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i daléj idę w cień — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojéj lutni, ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny stérał moje lata młode;
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojéj biednéj ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biédne serce moje spalą w aloesie,
I téj, która mi dała to serce, oddadzą —
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biédę:
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;

Znać, że srogą spełniłem, twardą bo'ą służbę
I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?.. taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionéj łodzi,
I tak cicho odleciéć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.

PARAFRAZA PIEŚNI: „BOGARODZICA“ [1]).

I.

Bogiem wsławiona, Matko Hospodyna,
Bohorodyca — daj nam czasy zbożne,
I zanieś naszę krew przed Swego Syna,
A w śmierci naszéj — ratuj nas pobożne.
Niech nie panuje złość i ludzka wina,
Ani miecz silny — ni myśli ostrożne:
Daj Chrystusowe, zbożne czasy w kraju;
Daj z nim za życia — a po śmierci w raju.

II.

Słysz, jenże [2]) ciebie prosim, chłopki proste,
Ziść Syna Twego — by w to człowiek wierzył,
Że piekielnika, ciemnego starostę,
Syn Twój serdeczny piorunem uderzył....
A sam wycierpiał biczowania chłostę,
I ręce swoje do krzyża przymierzył.
A krwią pospieszył za nas biedne ludzie,
Tu pracujące w boleści i trudzie.....

---

[1]) Drukowana z autografu w «Warcie» Nr. 397, str. 3889.

[2]) Jenże = który, którzy; archaizm wzięty z pieśni: »Bogarodzica.« *(Warta).*

III.

I ty, Adamie — pierwszy boży kmieciu,
Ojcze nasz pierwszy.... w rajskim złotym gaju
Siedzący sobie na różanym kwieciu,
A dziś u Boga — w przypokojnym raju:
Pozbieraj chłopki twe biédne po śmieciu,
Weź do pałacu i do tego kraju,
Gdzie Pan Bóg chlebem anielskim obdzieli,
W raj-świat — gdzie ludziom królują anieli [3]).

IV.

Jenże cię prosim przez modły ogniste,
Bohorodyco.... pomódl się za nami,
Jenże cię prosim: Chryste! Chryste! Chryste!
Nie czyń kupionych krwią — niewolnikami.
Bo nie za złoto, nie za srebro czyste,
Z piekłaś wykupił lud — ale ranami,
Kiedy ci, Boże, oścień przebił srogi
Na twoim krzyżu — bok, ręce i nogi....

V.

Dajże nam przebyć, Jezu Chryste miły,
Pobyt ten ziemski.... a być z Tobą, Panie,
Gdzie się radują wszystkie święte Siły,
Kiedy się przez nas co świętego stanie. —
Amen na wieki.... weź nas z téj mogiły —
Kirye elejson — usłysz to wołanie,
Do raju chcemy — w wieczne twoje zorze,
Amen — do raju — amen — weź nas, Boże!

---

[3]) *Waryant:*

Gdzie Pan Bóg chleba anielsklego dzieli,
W duch — świat, gdzie ludziom panują anieli.

POEZYE LIRYCZNE i ULOTNE.

CZĘŚĆ DRUGA.

U w a g a. W téj części drugiéj zebrane zostały prawie same rzeczy mające pośredni lub bezpośredni związek ze znaną doktryną Towianizmu, do któréj i nasz poeta w ostatniéj epoce życia pod pewnym względem należał. Poezye te znalazły się między pozostałymi papierami rozprószone, na luźnych kartach, zwykle nie opatrzone żadnym napisem, i bez oznaczenia miejsca i czasu, kiedy powstały.

I.

Radujcie się! Pan wielki narodów nadchodzi!
Radujcie się, bo prawdy wybiła godzina,
Strach się już boży rodzi,
Strachem Pan jako mieczem ognistym pościna.

Któż wytrwa, gdy go ognie niebieskie pochwycą?
Któż miecz podniesie, drżący jak listek osiny
Przed Pańską błyskawicą,
W strachu przyjścia Pańskiego i wielkiéj godziny?

Na obłokach się zjawią postaci człowieka,
Święci ogniści staną w chmurzycach za Panem,
Szatan na blask zaszczeka,
Trzody na polach drżące przypadną kolanem.

Pastuszkowie otworzą usta, światłością zdziwieni,
Widząc jasne obłoki i Pana w obłokach;
Świat się cały spłomieni,
Ujrzy swe archanioły na ogniach i smokach.

Chwała Panu, że z ciałem się zjawił rzetelny,
Że dotrzymał — a przyszedł ratować niewinne
Chrystus, Pan nieśmiertelny,
Nasz Pan, który nagrodził swym świętym uczynne.

Podnieście teraz czoła, od wieków trapieni,
A więcéj się nie bójcie żadnego ucisku;
Pan ciała wam przemieni
I miasto swoje złote postawi na błysku.

Pan nasz zamieszka z nami i nigdy już więcéj
Nie zostawi na ziemi, jak teraz, sieroty
Król tysiąca tysięcy
Na stolicy słonecznéj ognisty i złoty!

Król nasz umiłowany — baranek łagodny,
Sędzia nasz sprawiedliwy, ciał naszych przemieńca,
Syn boży pierworodny
Wołający swe święte do chwały i wieńca...

II.

Los mnie już żaden nie może zatrwożyć,
Jasną do końca mam wybitą drogę,
Ta droga moja: żyć, cierpieć i tworzyć —
To wszystko czynię, a więcéj nie mogę.

Dawniéj miłością różane godziny
I w zorzach jeszcze jaśniejsze pochodnie:
Dzisiaj, przy schyłku dnia, ważniejsze czyny,
Wielkie i smętne, jak słońce zachodnie.

Na nich się zegar życia zastanowi
I puści ducha-skowronka w otchłanie;
Pomóż-że, Boże, temu skowronkowi,
Niech wesół leci, niech wysoko stanie!

III.

PROROCTWO.

Kiedy róża stanie złączona z kamieniem, [1])
A nad nimi się dąb zakołysze:
Cała emigracya zagore płomieniem,
I o pasport do Boga napisze.

---

[1]) Zdaje się, iż tu mowa o generałach: Różyckim, i Dembińskim, i o pułk. Kamińskim Mikołaju. *(Przyp. Wyd.).*

I wstanie jako człowiek i mocarze zatrwoży,
I wywróci oddechem bezbożne;
Sam Pan Bóg wyda pasport, Chrystus słońce położy,
A duch piorunem nam da podorożne.

I szable się zapalą, zasłonecznią się znaki,
Serca wszystkie jak lampy zagorą,
Jak miesiące zabłysną nasze biédne chodaki,
Jak w pioruny nas łachmany ubiorą.

I polecą zwiastować w Polsce niebieskie ptaki,
Że idziemy jak chłopki z kijami:
A żelaźni rycerze i brązowe rumaki
Nim zobaczą, już pierzchną przed nami.

Prędzéjże, wielki Boże, Twém ognistém ramieniem
Łam, a przemoż cielesne opory!
Niechaj róża zakwitnie połączona z kamieniem,
Niech dąb Bogiem zabłyśnie z pod kory!

Bo nie prędzéj to będzie, aż się to wszystko stanie,
Co w poety ogniło się słowie,
Aż z duchów będzie chmura, a w téj chmurze błyskanie,
A w błyskaniu, jak Chrystus, wodzowie.

IV.

WIERZĘ.

Wierzę w Boga Ojca Wszechmocnego,
Ojca naszego,
Przez któregom jest duch rodzony,
Twórczością i wolą udarowany,
Abym się objawił światłością.

Wierzę w Chrystusa Pana,
Słowo świata całego,
Który wszelką sprawę czyni,
Żywot ku Ojcu prowadzi,

A urodził się z Dziewicy
Przez natchnienie Ducha świętego
Za ścmieniem się ludzkiéj natury.
I rozpięty był na krzyżu;
Trzy dni przetrwał w łonie ziemi,
A po trzech dniach zmartwychwstał,
I uniesion jest z ciałem w obłoki,
Skąd przyjdzie rządzić Królestwo Boże.

Wierzę w Ducha świętego,
Trzecią Świętéj Trójcy osobę,
Nieśmiertelną i wszechmocną,
Z Ojca i Syna urodzoną,
Równą Ojcu i Synowi,
Przez którąm jest napełnion świętością.

Wierzę w święty Kościół Powszechny,
I w Najwyższego Ducha pasterstwo;
Wierzę w świętych duchów związek,
Widzialnych i niewidzialnych —
Wierzę w świata przemienienie,
W ostateczne zmartwychwstanie
Ciała wszelkiego na ziemi.
W Królestwo boże widzialne,
Przychodzące z przemienieniem
Natury naszéj cielesnéj,
Z przełamaniem grzechu wszelkiego —
Wierzę i w żywot wieczny. — Amen.

V.

CHÓR.

Góry się ozłociły — szafiry mórz ciemnieją.

GŁOS.

Elijasz! Elijasz!

CHÓR.

Fale wstały od ziemi — wiatr — i koguty pieją.

GŁOS.

Izrael! Izrael!

CHÓR.

Miesiąc jak ogień stoi na czerwonym oceanie.

GŁOS.

Izaak! Izaak!

CHÓR.

Korab na dalekościach wre w rozognionéj pianie.

GŁOS.

Samuelu!

CHÓR.

Korab, wieloryb świata, z ogniami w okienicach...

GŁOS.

Święty Janie!

CHÓR.

Ku niemu płyną zdala obłoki, całe w świécach...

GŁOS.

Święty Pietrze!

CHÓR.

Uciszyło się morze i ziemia i powietrze —

GŁOS.

Chwała Trójcy!

CHÓR.

Złamana jest moc węża, dusz niewinnych zabójcy!

GŁOS.

Złamana! złamana!

CHÓR.

W Imię przedwieczne Ojca! W Imię Chrystusa Pana!

GŁOS.

W Imię Ducha!

CHÓR.

Pokój na ziemi, wodach i na powietrzu!

GŁOS.

Chwała Duchom na ziemi!

Takie słyszano głosy nad morzami,
Gdy Anioł z trzema na czole gwiazdami
Leciał nad złote ogniska pastusze
I budził w ludziach barankowe dusze.
Na trzech pasterzy upadły promienie,
Obmyły ducha duszę — pod imieniem
Jeden był, który ugaszczał natchnienie;
Drugi, który był kwiateczków siemieniem;
Trzeci zaleśne echa wywoływał:
Te zbudził Anioł duchy — ponazywał,
Pomiędzy ludźmi pastuszymi wsławił,
Dał ducha, wieńce, i w drogę wyprawił.
Idźcie! — rzekł — pierwsi wy trzej pastuszkowie,
Aż wam przejasna zastąpi dziewica;
Ta złote słońce Pańskie ma na głowie,
A pod nogami obrączkę księżyca.
Raz na obłokach promiennych widziana
Przez sługę Chrysta — przez świętego Jana,
Przyszłego świata święta monarchini,
Teraz ukryta z dzieckiem na pustyni,
Piękna jak zorza... Długie jéj warkocze
Ciemne ku światłu w złoto się mieniły,
W oczach szafiru światła i przezrocze,
W głosie anielskie nieskończone siły:
Porywać serca ludzkie umiejąca,
A moc miłosnych dreszczów miała w dłoni,
Gdyś odszedł od niéj, a pomyślał o niéj.
Próżno smok, który owładnął narody,
Wypuści na nią rzekę krwawéj wody!
Próżno ostatni ślad jéj ziemski zetrze!
Ona ucieknie z dzieckiem na powietrze
I tam karmiona, aż mróz minie ostry,
W błękitnych światach przez jaskółki siostry,
Dziecinę swoję pośród słońc wychowa,
Prześwięta ludom Matka — Pani Słowa!

VI.

DO AUTORA SKARG JEREMIEGO.

Ojczyzna, twoja święta kochanka,
Chodzi po łąkach, Pani słoneczna;
Ty idziesz za nią, jak duch baranka,
I wołasz: Wieczna!

Jeżeli drogę tęczami znacząc
Wyżéj poleci i tonie w mgłę,
To ty, baranek, stajesz i płacząc
Wołasz: We! we!

Jeżeli z kwieciem ona swawoli,
I dłoń litosną o cierń rozporze,
To ty jak dziécię wiész, co ją boli,
I wołasz: Boże!

Gdy owies polski jak srebro brzęczy,
Grusza szeleści i szumi kłos,
Słyszy Maryja pod bramą z tęczy
Baranka głos.

Słyszy i mówi: Głośniéj niż Święci,
Głośniéj niż luteń anielskich strój,
Woła mnie z Polski od sianożęci
Baranek mój.

Trawki nie skubie, kwiatków nie zrzyna,
Lecz oczy podniósł w słoneczną mgłę,
I wciąż się skarży jako dziecina:
We! we! — we! we!

Przezeń więc światu moja przytomność
Rozbudza czucie, porusza czynność,
Bo w ustach jego baranka skromność,
W głosie niewinność.

Paryż, w listopadzie, 1847 r.]

VII.

DO LUDWIKA NORWIDA.

Wracają dla nas piękne Chrystusowe
Gwiazdy, a razem korony cierniowe;
Więc że to ciebie, Ludwiku, zasmuca,
Że tam ktoś czapki przed tobą nie zrzuca,
A jać powiadam: niechaj cię to cieszy,
Żeś wyszedł z ludzi pospolitych rzeszy,
Gdzie dobry złego rad nazywa panem
I czci ukłonów fałszywym liczmanem.
Źli ludzie, pełni zabójczego szału,
Złości i żółci, uznali konieczność
Postawić zimną między sobą sprzeczność,
Jakoby ścianę z grubego kryształu:
A tak się widzą i czczą dla zabawki,
Jak napełnione woniami karafki,
Które na drogę kupcy zaszpuntują:
Bo tylko widzą, ale się nie czują.
Gdzie ręka ukłon przez wiatry posyła,
Jeszcze tam z dłoni w dłoń nie przejdzie siła.
Lepiéjże, bracie, żeś uderzył śmiało,
A w gwiazdę się szkło rozbiło, spękało,
Bo teraz zawsze powié ci sumienie,
Które miłością będzie pozdrowienie,
A złe zobaczysz twarze niezakryte
Tych, którzy cię klną za zwierciadło zbite,
Które je dzieli, ale nie zasłania —
Stąd idą zimne bez łez pożegnania,
Śluby bez ducha — bez serca przyjaźnie,
Odwaga na świat wyjść poważny — w błaźnie,
Ta sama w podłym i w szpiegu odwaga;
Bo kto nie daje nic — mało wymaga.

VIII.

DO LUDWIKA NORWIDA

W BRATERSTWIE IDEI ŚWIĘTÉJ.

I.

Bracie Ludwiku, módl się gorąco,
A podnieś ducha wysoko;
Na trzeźwe myśli, na czyste oko
Witajmy prawdę świécącą:
Podwoje wiedzy już otworzyła,
Z miesięcznéj wyszła topieli,
Już jest na ziemi, już się zjawiła,
Myśmy ją pierwsi ujrzeli!

Świat nam duchowy stanął otworem,
Widzim skąd moce te biegą,
Które tu snem są albo upiorem,
Lub ogniem Ducha Świętego.
Widzim, i cali drżym przerażeni,
Gdy nam widzenie ukaże
Powietrze puste, pełne płomieni,
W szkłach wichru lecące twarze.

A cóż, gdy duchy, które przed Panem
Są prawie niczém i ciszą,
Tu nam wybuchną z pod gór wulkanem,
Albo miastami kołyszą,
Cóż, gdy te burze, któremi szklanna
Otchłań się morza porusza,
My widzim w duchu — krzyczmy: Hosanna!
Hosanna! żyje już dusza!

II.

Nad wszystkie świata wzleciał szatany
Ocknięty, ze łzą u powiek,
Jeden w Ojczyźnie rozmiłowany,
Cierpiący nędzarz i człowiek.

I trwa na skrzydłach swoich cierpliwie,
Słysząc sąd o globach nocnych,
Które karane są sprawiedliwie,
Bo są dziełem nas — duchów wszechmocnych.

III.

Nieśmiertelność i Wszechmocność —
Oto dwa nowe żywioły!
Dotąd cielesnych czynów bezowocność
Wyżarła ducha stodoły,
Świat był bez plonu — lecz teraz manna
Nową przywraca mu dzielność:
Wszechmocność i nieśmiertelność!
Hosanna Panu! Hosanna!
Przez nie świat uwiązany do girlandy globów,
Które czas zachwyceniem miłości pożarły;
Przez nie słońca nie umarły,
Przez nie już nie będzie grobów,
Ciało nie uzna skażenia,
Bo już je duch na wiecznotrwanie rozpromienia.

IV.

A ty rozrzuć twoję glinę,
Nieszczęsna formo człowieka!
Już zamieniasz się w ruinę...
Próżno cię piękności twoje,
Jak pasożytne powoje,
Próżno cię mgła cudowną szatą przyobleka;
Próżno cię ręka przychylna
Stroi — stoisz ty żałobna,
Niedołężna, zamogilna —
A choćbyś była podobna
Jowiszowi z brwią zmarszczoną,
Mgłami idejskiemi srebrna,
Nakryta gromów koroną —
Próżno! jużeś niepotrzebna —
Już do piękności zjawionych
Nie wejdziesz na eter lżejszy,
Bo najmniejszy z odrodzonych
Świętszy niż ty — i piękniejszy!

V.

Lecz w jakimże biednym żłobie
Położym, o mój Ludwiku,
To dzieciąteczko na grobie,
Na Ojczyzny mogilniku
Zrodzone? Czy go nam ptacy
Wykarmią? Czy jeszcze łzy nasze?
Ileż wieków, ile pracy
I starań Bóg nam poruczy?
Kto je tęczami opasze?
Wyniańczy — chodzić nauczy?
Kto poda mądrości czaszę?
Kto mu będzie pierwszym sługą,
Ojcem — kto otworzy ręce?
Jak długo jeszcze, jak długo
Popędy świata zwierzęce
Zepchną glob na dawne tory,
Iść nie pozwolą za blaskiem?
Jak długo krwią okryte na świecie aktory
Będą witane oklaskiem!

VI.

Do pracy! a więc do pracy!
Wy co mi jesteście bracią,
Duchy słoneczne, Polacy!
Najwyższą was inkantacyą,
Najwyższą — własnym aniołem —
Na nieśmiertelność zaklałem.
Oto miesiąc wchodzi [1]) blady
Nad Polską — cały już [2]) nowy,
Jak dawna lampa Hellady,
Jak obraz Rafaelowy
Piękny [3]) i srebrnego łona —
W nim piękność stoi wsławiona,
Kolor wzięty — ton zdobyty.

Podajemy tu waryanty według »Warty« z r. 1880 i 1882). — [1]) *Waryant*: wyszedł; [2]) *W.*: a cały nowy; [3]) *W.*: pełny. *(Przyp. Wyd.).*

Teraz co? Daléj w błękity
Pracować na całą [1]) wieczność...
Otwarta dla duchów droga —
Skrzydła mamy — daléj w Boga! [2])
Po dar ostatni [3]) — Słoneczność.

VII.

Bo patrzcie ! tak jak orlice, [4])
Patrzcie na dolinę z góry:
Oto są dzieciątek chmury,
Oto są globu dziedzice.
Każdy za bańką formy, która oczy mami,
Ozwierciadlona form wizerunkami,
Leci z pradziadem i dziatwą,
Głupi i śmieszny na poły...
O jak łatwo! o jak łatwo
Wam, co jesteście anioły,
Zarządzić tą gromadą, ich ruchem, pośpiechem,
Zdjąć im ich ciężar ze skroni!...
Miecza na to nie potrzeba,
Ani piekła ani nieba;
Miłością dosyć — uśmiechem. —
Patrzcie tylko, jacy oni!
Patrzcie tylko, co je bawi!
Patrzcie, jacy są ciekawi!
Jak patrzą w każdą foremkę,
W każdą jamę [5]) oczy włożą,
Każdy proszek biorą [6]) w rękę,
Ważą — próbują, czy stworzą;
Cieszą się że piorun pali,
Ze gwiazda na czas przychodzi,
Patrzcie — starzy już i młodzi
Krzyczą, że wszystko poznali!

---

[1]) *War.* Daléj pracować na wieczność; [2]) *War.* Skrzydła — Daléj w łono Boga; [3]) *War.* po moc ostatnią:

[4]) *War.*: Bo teraz niby orłowie
Spojrzcie się w doliny z góry
Na tych dzieciąteczek chmury,
Którzy są synowie świata. (»Warta« str. 3924).

[5]) *War.* dziurę; [6]) *War.* wezmą.

Wyschły im wiedzy strumienie...
O anioły! o anioły!
Czyńcie sobie z nich wesoły
Śmiech — i pozwólcie czoła stroić[1]) w zamyślenie.

VIII.

Lecz wy! wam wszystko nowe rozkwita,
Jaśni się forma na świecie,
Świat szuka, a wy już wiecie.
Wam . . . . . .
. . . . . .
Wam się już listek różany
Tłómaczył z nauki słowa.
Wam już oto noc majowa,
Przez owadów święte Jany
Muszeczki swe jakieś złote,
Apokalipsy śpiewała.
We wszystkiém już myśli chwała,
Zasługa świéci lub wina,
Grzéch widać ducha lub cnotę.
Wam, oto, stoi cytryna
Na strzałki słoneczne, złote,
Jak rycerz przed prochu przyjściem,
Odstrzelająca się liściem,
Kiedy ją Febus obarcza...
A kolor — a światło — a tarcza?
Na to woli błyskawica,
Na to wam myśli kuźnica,
Wulkan duch w globie wystarcza.
A wy w nieśmiertelne końce
Idźcie, a duch je wam kréśli...
Czy kształt? to go macie w myśli,
Czy światło — to w duchu — już słońce.

IX.

Do Boga ręce podnieśmy,
Język rozwięzujmy niemy.

---

[1]) *War.* ubrać.

Synowie boży jesteśmy!
Czém jutro, jeszcze nie wiemy...
Każdy silny, o pół kroka
Ku Bogu świat pchnąć dzisiejszy,
A jutro jeszcze silniejszy! —
Każdy jak przepaść głęboka
Zamiarów pełna gorących,
Przepaści i uwidomień...
O Boże, któż zerwie płomień
Na hełmie pierwo-idących?
Kto tarcze postawi rzędem?
Kto drogę założy dzidą?
Kto strąci? — Duchy w nas idą
Z nieśmiertelności rozpędem.
Dla tego żeśmy Jehowę
Przywołali na ołtarze,
Oto się już potęgi duchów piorunowe
Przy naszym kręcą sztandarze;
A gdy go wiatr odwinie, to tak jako wczora
Ludzi, którzy grobów strzegą,
Przeraził twarzą Boga żywego —
Przestrachem — Boga-upiora.

X.

Ale kto, bracia, pogardzi słowem,
Siłą u słowa czerpaną,
Komu dziś w ciele błysnąć nie dano,
Kto wierzga dawnym narowem,
Kto dziś nie wstąpi w święte ognisko,
Jeno przez oczy ciekawe:
Taki dziś, bracia, pójdzie na sławę,
Jutro na urągowisko;
I to mieć będzie, że gdy my wstajem
Zrzucić głaz, co ducha obarczał,
On siedział, głupi, kłamstwa lokajem
I widział prawdę — i warczał.

Dnia 8 lutego 1848.

IX.

USPOKOJENIE.

Co nam zdrady! — Jest u nas kolumna w Warszawie,
Na któréj usiadają podróżne żórawie,
Spotkawszy jéj liściane czoło śród obłoka;
Taka, zda się, odludna i taka wysoka!
Za taką kolumną we mgły tęczowe ubrana
Stoi trójca świécących wież świętego Jana;
Daléj ciemna ulica, a z niéj jakieś szare
Wygląda w perspektywie sinéj Miasto stare;
A daléj jeszcze we mgle, która tam się mroczy,
Szkła okien — jak zielone Kilińskiego oczy,
Czasami uderzone płomieniem latarni,
Niby oczy cichego upiora z pod darni.

Więc lada dzień, a nędza sprężyny dociśnie:
To naprzód tam na rynku para oczu błyśnie
I spojrzy w Świętojańską na przestrzał ulicę;
A potém się poruszą wszystkie kamienice,
A za kamienicami, przez niebios otchłanie
Przyjdzie zorza północna i nad miastem stanie;
A za zorzą wiatr dziwne miotający blaski
Porwie te wszystkie zemsty i te wszystkie wrzaski;
Wicher jakiś z aniołów urobiony Pańskich,
Oderwany, jak skrzydło z widzeń Świętojańskich,
Przezroczysty jak brylant, a jak ogień złoty,
Który chwyci te zemsty, te światła, te grzmoty,
Zwinie i niemi ciemną uliczkę zależe,
Jako brąz w niéj zakipi, zaświszcze jak węże
I naprze tak, że będzie trzęsąca się cała
Jako wół sycylijski na miasto ryczała.

Usłyszycie wy wtenczas, serc naszych złodzieje,
Jaki wiatr z téj ulicy na miasto powieje;
Przez harmonikę tonów swój krzyk przeprowadzi,
O kościół katedralny skrzydłami zawadzi,

Porwie królewski zamek, otworzy jak trumnę,
A potém na Zygmunta uderzy kolumnę
I z marmuru wyciągnie jakieś echo skalne,
Jakieś smętne, dalekie muzyki chóralne,
Które ja dziś już chwytam myślą na pół senną,
Słysząc ten wiatr i strunę pod wiatrem kamienną.

Więc kiedy kościół zadrży od stóp aż do skroni
I płaczącym się głosem na miasto rozdzwoni,
Więc kiedy ta kolumna w pomroku miesiąca
Zostanie gdzieś na placach, jak harfa grająca...
To wtedy co? – Krzyk jeden jak burza ponura,
Nie wiem. „Niech żyje Polska!“ czyli też krzyk „hurra!“
Wyleci, jak koń śmierci zerwany z wędzidła,
O katedralny kościół otrze głośne skrzydła...
A miasto co? – Słuchając z wyciągniętą szyją
Powie: że tam się ciemni aniołowie biją,
Że tam szatan ogniste przywoławszy moce
Koń swój brązowy ciska i piorun gruchoce;
Że jako Machabeusz pod zwalonym słoniem,
Tak szewcy pod piorunem padają i koniem
Zgruchotani; że księżyc na niebie odkryty
Pokaże tę ulicę pustą, lud wybity,
Piorun zagasły, walkę okropną skończoną,
Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną...

Więc kiedy miasto całe przestrachem ogłuchnie,
To znowu ta ulica jednym wiatrem buchnie,
Jednym krzykiem . . . . . .
A potém co? — Stojący uliczce na strychu
Kościół się katedralny odezwie po cichu,
Walkę i krzyk, różnymi wiejący głosami,
Jak organ rzuci miastu – głucho — akordami —
Coraz głośniéj: — i całą tę harmonią senną
Roztrąci o kolumnę, tę strunę kamienną.

Wtém znów jeden z tych wrzasków, od których natura
Wzdryga się — jeden „vivat“ uliczny i „hurra!“
Jeden z tych krzyków, które czynią, że skrzydlata
Natura ducha w kościach tak jak ptaszek lata;

Że duch na ustach staje i już nie jest zdolny
Zatrzymać śmiéch serdeczny i płacz mimowolny;
Jeden z tych krzyków, który wnikając w człowieka
Tak śpiéwa w nim jak anioł, a jak szatan szczeka;
Jeden z tych krzyków... szumem błyskawic nawalnym
Uderzy, na kościele pęknie katedralnym,
Pójdzie mimo, lecz skrzydłem o kościół otarty
Kamienie w nim wrzeszczące zostawi jak czarty,
I wiele innych głosów, które zmartwychwstanie
Zapieją, jak anioły związane w organie.

I jeszcze ta harmonia nie zamilkła senna,
A już kolumna placu, ta struna kamienna,
Tym samym wichrem bita, z rozwahaném czołem,
Prym wzięła przed chóralnie jęczącym kościołem,
I dwa te śpiewy już bez odpoczynku
Będą miastu ogłaszać lud idący z rynku.
Jeśliż ma ta ulica taką ciasną szyję,
Że z niéj — by słowo wyszło, to jak działa bije;
Jeśliż na każdą formę naszego uczynku
Tak srogo ona patrzy oczyma aż z rynku;
Jeśliż lada noc, a z niéj wystrzeli powstanie
I w proch tego rozrzuci, kto na rychcie stanie;
Jeśliż jest taka mocna, że przez nocy cieni
Muzykę ciemną strachu wyrzuca z kamieni,
A kolumny na swoje muzykanty stroi:
To człowiek, który zawsze o zdradę się boi
I wszędzie widzi tylko postrachu upiory,
Albo dzieckiem być musi, lub na serce chory.

X.

MATECZNIK.

Bóg, który łono wszelkich tajemnic odmyka,
Do tego ohydnego w duchu matecznika,
Gdzie duch z duchem się bije, a kość trupia z kością,
Pozwolił wejść i oczy oswoić z ciemnością.

I zoczyłem okropną umysłów ruinę,
Oczy krwią zaszłe, twarze ołowiane, sine,
Żywe zwierzę, myślące o knucie i carze,
Daléj trupy i skryte na trupy cmentarze.
Tam jeśli który ludzkiéj nie wytrwa ohydzie,
Pokorny, waryat blady, sam na cmentarz idzie
I kładzie się i kona od braci daleko;
Dla tego nigdy trupów za sobą nie wleką,
Ani się pokazują śród ludzi ze łzami,
Ani krzyku usłyszysz, stojąc pod oknami.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . ,

Któżby rzekł, że ta ciemna tajemnic kotara
Kryła taką straszliwą ucztę Baltazara?
Że tam w nocy, po ciemku, bez gwiazd i miesiąca
Jest ręka straszna, ogniem po ścianach pisząca?
Że przy stole żebrackie zbiérając okruchy
Siedzą ciała, nie swymi napełnione duchy,
Liczba jakaś szatanów, która ciał używa?
Inny, którego przeszłość w siebie zajrzéć znęci,
Spojrzy i cudzą pamięć znajdzie w swéj pamięci;
Inny, gdzieś pod Grochowem naznaczony blizną,
Zapomni się i północ nazywa ojczyzną;
Tamten rozczochra włosy i podniesie pięście,
I wrzaśnie, jak kobiéta: „Boże! o nieszczęście!“
A potém, gdy w szlochaniu pozbędzie oddechu,
Upada w zgrzytającą harmonikę śmiéchu,
Z tonu na ton zlatując, jak czart i kobiéta
I szkło, które pod palcem zajęczy i zgrzyta.

Pośrodku upior — niby zachłyśniony Bogiem,
Swojéj dawnéj Ojczyzny-Matki stanął wrogiem...
. . . . . .

XI.

Panie! jeżeli zamkniesz słuch narodu,
Napróżno człowiek swe głosy natęża:
Choćby miał siłę i odwagę męża,
Z niemiłowania umrze tak jak z głodu.

Próżno na ręce rękawice kładnie
I jako szermierz wystąpi zapaśnie:
Lica mu wyschną i oko zagaśnie,
Sprzepaści się pierś i głos w nią zapadnie.

Ale komu ty twoje namaszczenie
Włożysz na czoło, ten bez żadnéj pracy
W powietrzu twojém jak powietrzni ptacy
Pływa, a święte karmią go promienie.

XII.

Krzyczeli: „Polska! Polska!“... lecz jednego razu
Chcąc krzyczeć, zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Bóg im prawo krzyku przyzna,
Szli i krzyczeli jeszcze: „Ojczyzna! Ojczyzna!“ —
Wtém Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka —
I przeraził je wszystkie, zapytawszy: „Jaka?“

A drugi człowiek niby w żebraka postaci
Pomyślał, że mu trzeba w duchu wolnych braci,
I wolności mu trzeba w milionów osobie,
Ziemię bowiem pod sobą ma i Boga w sobie;
A Pan w nim jako ogień i już nie nad krzakiem
Zagrzmiał: „Prosisz się, widzę, być dawnym Polakiem!“

XIII.

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną,
To składek zbiérać nie będą narody,
Lecz ogłupieją — i na pieśń strzelaną
Wytężą uszy, odemkną gospody.

I będą wieści z wichrami wchodziły,
A każda będzie serce ludów pasła;
Nieznajomymi świat poruszą siły
Na nieznajome jakieś wielkie hasła.

Nie pojmie Francuz, co to w świecie znaczy,
Że jakiś naród wstał w ciemności dymie,
Choć tak rozpaczny — nie w imię rozpaczy,
Choć taki mściwy — a nie w zemsty imię.

Nie pojmie, jaką duch odbył robotę
W przeświętéj serca ludzkiego ciemnicy,
I przez sztandary jest tłuczony złote,
I przez bój wielki przy dział błyskawicy.

Cóż to — zapyta — są za bezimieńce,
Którzy na dawnym wstali mogilniku?
Bój tylko widać i ogniste wieńce,
A zwiérzęcego nic nie słychać krzyku!

Nie, to nie ludzie z ciał i z krwi być muszą,
Lecz jacyś pewnie upiorni rycerze,
Którzy za duszę walczą tylko duszą,
I ogniem biją niebieskim w pancerze.

O gwiazdy zimne! o świata szatany!
Wasze mnie wreszcie niedowiarstwo zwali;
Już prawie jestem człowiek obłąkany:
Ciągle powiadam, że kraj się już pali,
I na świadectwo ciskam ognia zdroje —
A to się pali — tylko serce moje!...

Dajcie mi tylko jednę ziemi milę!
— Może, o bracia, za wiele zachciałem —
Dajcie mi jednę brylę, na téj bryle
Jednego duchem wolnego i ciałem:
A ja wnet z siebie sprawię i pokażę,
Że taki posąg dwie będzie miał twarze.

Dajcie mi gwiazdę mniejszą od miesiąca,
Kometę złotym wiejącą szwadronem —

Niechaj po lasach będzie latająca,
A tylko święta jednym polskim zgonem:
A ja wnet siły dobędę nieznane,
Skrzydła wyrzucę i wnet na niéj stanę.

O bracia moi! kiedy krzyżem leżę,
A proszę Boga o kraj, o człowieka,
To mi się zdaje, że tętnią rycerze,
A wróg z piorunem przed nimi ucieka:
Chcę biéc — lecz kiedy na blask gwiazd wynijdę,
Gwiazdy mnie drwiące pytają, gdzie idę?!

XIV.

Jeżeli ci Pan nie zbuduje domu,
Próżno składają ci cegły mularze:
Jeśli nie broni miasta od pogromu,
Próżno czuwają po szyldwachach straże.

Napróżno wstajesz przed świtem, człowiecze,
A przy świeczniku nad robotą ślęczysz:
Z gorzkiego żyta chléb ci się upiecze,
Bo ty, o Panie! te, co kochasz, wieńczysz!

Zaprawdę, nie ma hojniejszéj nagrody
Nad narodzone w domu twoim plemię,
Nad syny, które mąż i człowiek młody
Jak winne grona wyprowadza z ziemi.

Synowie jego powadze przystoją,
Potęgę mnożą, miłość k'niemu niecą,
W kołczanie jako złote strzały stoją,
W poselstwa, jako złote strzały, lecą [1]).

Błogosławiony, kto sobie w kołczanie
Takich strzał natknął: taki człowiek śmiało

---

[1]) War.: Na wszystkie strony z poselstwami lecą. *(Warta)*.

Wrogowi kraju dotrzyma, gdy stanie,[1])
Wielki u ludzi synów swoich chwałą[2]).

O Panie! rozpuść Twoje wielkie moce,
Przez lud się Twój rzuć ognia strumieniami!
. . . . . .
. . . . . .

XV.

Mój król, mój Pan — to nie mocarz żadny,
Ni ten, na którym trzy koron się piętrzy,
Ale duch pierwszy globu — światowładny,
Chociażby w chłopku, duch świata najświętszy;
Czy on na świecie żyw, czy gdzie nad światem? —
Wiém, że duch taki jest — i dość mi na tém.

Skądkolwiek jego duch na mnie uderzy,
Gdziekolwiek jego wołanie usłyszę,
— Czy to zjawi się w siermiążce pasterzy,
Czy jeszcze w żłobku matka go kołysze —
Gdziekolwiek ono dziecko światowładne
Poczuję, klęknę i na twarz upadnę.

XVI.

Jeżeli kiedy w téj mojéj krainie,
Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,
A miasto dzwoni nad szmernym potokiem,

---

[1]) *Waryant:* Błogosławiony, komu Ty w kołczanie
Takich strzał natknąć pozwoliłeś dużo,
Taki na wroga idąc, śmiało stanie, i t. d. *(Warta).*

[2]) *Warta* z autografu podaje brakującą tu strofę:
A kiedy takich strzał mnóstwo w kołczanie
Pan mu dozwoli mieć — ubranych w ciało,
Przeciw wrogowi swemu śmiało stanie,
Odepchnie napaść - i powróci z chwałą.
Widocznie jest to tylko waryant poprzedniéj strofy, nic więcéj. *(p. Wyd.).*

Gdzie konwaliją woniące lewady
Biegną na skały, pod chaty i sady —

Jeśli tam będziesz, duszo mego łona,
Choćby z promieni do ciała wrócona: —
To nie zapomnisz téj mojéj tęsknoty,
Która tam stoi jak archanioł złoty,
A czasem miasto jak orzeł obleci,
I znów na skałach spoczywa i świeci.

Powietrze lżejsze, które cię uzdrowi,
Lałem z méj piersi... mojemu krajowi...
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

XVII.

Zakończył śpiewak, a my zasłuchani
W rytm, w oczach mieli tę światłą sielankę,
Aż wstała złota na murawie pani,
Z kwiatów podnosząc uwitą równiankę;
Wszyscy zachodem byliśmy rumiani,
Który oświecił tę cichą polankę,
A las w około szemrał swemi brzozy,
Jakby gdzieś duchów przeszłości obozy.

Helion się piérwszy ocknął, i ocknięty
W duchu się uczuł i rzekł: „Wieczna sława
„Duchowi, który tworzył dyjamenty,
„I myśl dziś tworzy na te same prawa.
„Śpiéwaj nam daléj dzieje, wieszczu święty!
„Czuję, że idzie na nas burza krwawa;
„Jeszczem nie słyszał, jak gra twoje łono,
„A już myśl czarną mam i chęć szaloną.

„Zda się, że słyszę, jako w Dnieprze biją
„Żelazne słupy, widzę je pod wodą;

„Widzę Rusałki, jak łabędzią szyją
„Wiążą się, grają, taniec skoczny wiodą.
„Powiédz, Bohdanie[1]), czy zdoprawdy żyją
„Królowe twoje pod wodną gospodą?
„Czy mi się tylko śnią w tęczowym dymie
„Jasno dlatego, że błysły w twym rymie?“

Wszyscyśmy na to czekali, co powie
Dumek poeta; lecz on gdzieś ponury
Siedział na stronie i sumował w głowie
I wiązał złote jakieś rytmów sznury.
Seweryn[2]) więc wstał, i w ognistém słowie
Tłómaczył duchów podziemnych natury,
A my słuchając, zda się, coraz daléj
Szliśmy z poetą w łono złotéj fali.

XVIII.

Przy kościołku,
Mój aniołku,
Koronka,
Żonka,
Pieczonka;

Przy organku,
Mój Bohdanku,
Szumka
I dumka;

Przy klasztorze,
Mój kaczorze,
Świętość,
Wziętość;
Nadętość;

Przy krzyżyku
Na stoliku
Fakta:
Dwa akta...

---

[1]) Zaleski; [2]) Goszczyński. *(p. Wyd.).*

XIX.

Baranki moje,
Zawitał[1]) czas:
Nad piękne zdroje
Powiodę was;
Puszczę was, owieczki,
Na piękne kwiateczki
I będę pasł.

Baranki z ducha,
Ja pasterz wasz;
Pan Bóg mnie słucha,
Ozłocił twarz:
Bogiem promienny[2])
Odprawiam bezsenny
Anielską straż.

XX.

Pośród niesnasek Pan Bóg uderza
W ogromny dzwon,
Dla słowiańskiego oto papieża
Otworzył tron.
Ten przed mieczami tak nie uciecze
Jako ten Włoch,
On śmiało, jak Bóg, pójdzie na miecze;
Świat mu — to proch!

Twarz jego słowem rozpromieniona,
Lampa dla sług,
Za nim rosnące pójdą plemiona
W światło, gdzie Bóg.
Na jego pacierz i rozkazanie
Nietylko lud —
Jeśli rozkaże, to słońce stanie,
Bo moc — to cud!

---

[1]) War.: Zaświtał. *(Warta).*
[2]) War.: Patrzę w miesiąc promienny,
I odprawiam bezsenny i t. d. *(Warta).*

On się już zbliża — rozdawca nowy
Globowych sił:
Cofnie się w żyłach pod jego słowy
Krew naszych żył;
W sercach się zacznie światłości bożéj
Strumienny ruch,
Co myśl pomyśli przezeń, to stworzy,
Bo moc — to duch.

A trzeba mocy, byśmy ten pański
Dźwignęli świat:
Więc oto idzie papież słowiański,
Ludowy brat; —
Oto już leje balsamy świata
Do naszych łon,
A chór aniołów kwiatem umiata
Dla niego tron.

On rozda miłość, jak dziś mocarze
Rozdają broń,
Sakramentalną moc on pokaże,
Świat wziąwszy w dłoń;
Gołąb mu słowa w hymnie wyleci,
Poniesie wieść,
Nowinę słodką, że duch już świéci
I ma swą cześć;
Niebo się nad nim piękne otworzy
Z obojga stron,
Bo on na świecie stanął i tworzy
I świat i tron.

On przez narody uczyni bratnie,
Wydawszy głos,
Że duchy pójdą w cele ostatnie
Przez ofiar stos;
Moc mu pomoże sakramentalna
Narodów stu,
Moc ta przez duchy będzie widzialna
Przed trumną tu.

Takiego ducha wkrótce ujrzycie
Cień, potém twarz:
Wszelką z ran świata wyrzuci zgniłość,
Robactwo, gad,
Zdrowie przyniesie, rozpali miłość
I zbawi świat;
Wnętrze kościołów on powymiata,
Oczyści sień,
Boga pokaże w twórczości świata,
Jasno, jak dzień.

XXI.

Ty głos cierpiący podnieś — i niech w tobie
Krzyknie i naraz poważnie zaśpiéwa
Wszystko, co naród sądził, że śpi w grobie,
Albo się ze krwią ludzką w krew przelewa.
Bo nie ten, który z rdzy pancerz oskrobie,
Albo w mogiły dawnéj zajrzy trzewa,
A prochom dawnym spoczynek naruszy,
Wiek pomknie — lecz ten, kto się dotknie duszy.

Mów, otwórz drogi Świętemu Duchowi,
Mów, a do niebios bożych pokaż wrota;
Cały się naród z ducha niech wysłowi,
Cały o przyszłość niech się zakłopota;
Niech dusze kładą za siebie, aż nowi
Obaczą się tu, jaśni jak z pod młota
Hamerni złoto wychodzi świécące,
Jagnięta pańskie na słonecznéj łące.

Stój! stój! — gdy przyjdzie w powietrzu ów święty,
Wróci raj, naszą utracony winą,
Liczyć zaczniemy rok nowo zaczęty
Z Panem w jasnościach; pieśni nawet miną,
Poganie ducha pójdą ze zwiérzęty
Otaczać obóz ducha, lecz poginą:

Światłość je miasta świętego uderzy,
Odejmie im głos, wzrost grobami zmierzy.

Nie mów — leniwych duchów nie budź rzeszy,
Bobyś obudził ogień nienawiści;
Kto grzészny teraz, niechaj jeszcze grzészy,
A kto jest czysty, niech się jeszcze czyści.
Czas bliski, który święte z nas pocieszy,
A złymi pogna, jak wiatr chmurą liści;
I będą się jak zwiędły liść sypali,
W czarne jeziora, które duch zapali.

Biada tym, które koniec znajdzie świata,
Że jeszcze ciała takie, jak my, noszą;
Biada tym, które raz przez ogień kata
Dla prawdy bożéj nie przeszły z rozkoszą;
Biada tym, którzy chcą jednego lata
Owoców, a o męczeństwo nie proszą,
A o dar ducha do nieba kołacą
Jak ty, nie wziąwszy go czynem i pracą!

XXII.

DO FRANCISZKA SZEMIOTHA.

Nie zapominaj, że niegdyś ubogi
Twój przodek, włosy zarosły długimi,
Miał swoję puszczę i miał swoje bogi
I swoich duchów opiekę na ziemi.

A kiedy mówił pacierz tajemniczy
I o potomstwo wielkie prosił ducha,
To krzyczał z piersi -- tak jak morze krzyczy,
A Bóg go słuchał, tak jak morze słucha.

Dziś, z jego domu rozwalonéj ściany
Na krąg kamieni gdyś trafił w młodości,
Ciekawy byłeś, lecz nie zapłakany,
Nie ducha jego ciekawy — lecz kości.

Dziś, gdy cię ręka prześladowcza losu
Nad morze wiedzie, a tajemnic uczy:
W żywiołach — przodków ty nie słyszysz głosu;
Nie po litewsku tobie bałwan huczy.

Duchy twe jednak wodzą cię na pasku
I niańczą — i dziś to sprawiły rano,
Żem kląkł przed tobą i pisał na piasku
Te rzeczy, które w puszczy już wiedziano.

Pamiętaj ten dzień, gdy cię duch gołębi
Ostrzegał, własnych zapomniawszy krzyży;
Bo wkrótce w piasku tym ja jeszcze głębiéj
Będę -- i u nóg ludzkich jeszcze niżéj...

Ale ci wtenczas tęsknota nakaże
Po mego ducha iść w duchów krainę,
Aż — odświéconych myśli moich twarze
Ujrzysz, i piasek ten i tę godzinę.

Dieppe, w niedzielę 1846, 23 sierpnia, w dzień moich imienin.

XXIII.

Niedawno jeszcze — kiedym spoczywał uśpiony,
A sen mój się zarzęśnił strzałem pełnym dymu,
I w dymie stanął anioł jak ogień czerwony
I szepnął mi do ucha: „Ja mord—lecę z Rzymu“.

Jam uciekał i tęczę tak za sobą snował
Jak Irys... a po tęczach gnał mnie ów przeklęty,
Tak żem spytać go musiał: „A któż tam mordował?“
A on mi znowu szepnął w ucho: . . . . . .

I znowu uciekałem — i kwiatów kielichy
I róże z ducha mego ciskałem za siebie
Broniąc się — a on za mną jak kurz i wiatr cichy
Gnał i szeptał: „Spełnione tu... osądzą w niebie!“

XXIV.

W ostatni dzień, w ostatni dzień
Wyście podróżne tu ptaki
Spotkały suchy dębu pień,
Co od pioruna miał znaki.

Lecz gdy go śpiew poruszył wasz
I głos doleciał z Ojczyzny,
Strzeliła z dębu człecza twarz
Z pod kory, ze spalenizny.

Z pod liści błysnął złoty łuk
I ręka i miecz czerwony;
W dębie słowiański mieszkał bóg
I wam się pokazał zjawiony.

XXV.

Na drzewie zawisł wąż,
I rzekł szatan do Ewy:
Patrz, pod ciemnymi drzewy
We śnie leży twój mąż.

Jemu mówił Jehowa
Tajemnicę stworzenia
Ze światła i z promienia,
Z miłości i ze słowa.

Ja ci dam tajemnicę
Duchów, Jehowy sług,
Że duch w Trójcy — to Bóg,
Słowo — trzy błyskawice.

Zwycięż na ziemi zgon,
Rozwesel cały Eden;
Ja w was dwóch będę jeden,
A we mnie ty i on.

Zdołaj duchy spłomienić,
Spokojny ciała dom
Chwilę zamienić w grom,
Trójcę w jedność zamienić!

Sama ogniami stléj,
A gdy się mąż zamroczy,
Patrz mu ogniście w oczy,
Usta z ustami zléj!

Szepcąc do ucha wciąż,
Czyń bez żalu i skruchy;
Ty i on — to dwa duchy,
Z wami trzeci ja, wąż.

Jeśli masz ognia mało,
To ściągnij oto dłoni
Po owoc téj jabłoni,
Jéj duchem podkarm ciało.

Ty będziesz świata panią!..
Lecz już z jabłkiem od drzewa
Biegła w płomieniach Ewa,
A szatan poszedł zą nią.

Oto z ziemią się stało,
Co z gwiazdy trapionymi:
Promienność poszła z ziemi,
A duch węża wziął ciało.

XXVI.

Wielcyśmy byli i śmieszniśmy byli,
Bośmy się Duchem Bożym tak popili,
Że nam pogórza, ojczyste grobowce,
Przy dźwięku fletni skakały jak owce,
A górom onym skaczącym na głowie
Stali olbrzymy — miecza aniołowie.

Ustały dla nas bić godzin zegary,
Duch nie znał czasu, a czas nie miał miary;
Szedł błyskawicą do wieczności progu
Duch, a stał wieczność — kiedy stanął w Bogu.
Zaprawdę powiem, bracia moi mili,
Żeśmy się duchem przeświętym popili.

Teraz jesteśmy z ducha wytrzeźwieni,
Bracia rozumni — czciciele pieczeni...
W głowach się nie ćmi, jak pierwéj, słonecznie,
Fletnie nie grają, mogiły śpią wiecznie,
Czas nasz zgodzony z ziemi zegarami —
Stoim i śpimy... a świat śpi pod nami.

XXVII.

Narodzie mój,
Coś widział miecz
Na niebie ciemném świécący,
Powrócę ja —
Patrz, Furya zła.
Przyjdę jak płomień gorący,
Wezmę wichrzyce
I na stolicę
Wpadnę i dachy pozrywam;
W rzéki się rzucę,
W krew je obrócę,
W domy zlęknione powpływam.
Przez nocne cienie
Tak jak płomienie

Pójdę, a wam wzroki wypalę —
Przez błyskawice
Mocarze chwycę,
Nagie postawię na skale.
Przepuść jeszcze ludowi,
On sędzie postanowi,
I proroki swe boskie wybierze,
Oto leżą jak snopki
Błękitne twoje chłopki
I baranków duchowi pasterze.
Przez błękitne niebiosy
Rozwiń słoneczne włosy,
Nie trwóż biédnych — patrz — jęczą znędzniali;
Tysiąc lat w gwiazdę Twoją
Idą, a w miejscu stoją,
A tak drżą, jak gdyby po fali.
A jakiż to lud,
Który broni swych trzód?
Jak przewinił, że nie pomógł żadnemu —
Jeżeli mieczem władnie
A stoi, to upadnie
I blaskowi się pokłoni złotemu.
Obnażę jego wstyd
Z pod sztandarów i kit
Oberwanych, twarz jego zawstydzę;
Bo on sam sobie płacił,
Z chwał się swoich zbogacił,
Kwiat swój wydał na ludu łodydze.
Duchu, na mały czas,
Proszę, pozostaw nas,
Pozwól dożyć spokojnie starości —
Właśnieśmy jak anieli
Wytrzeźwieli, dojrzeli
Krajów naszych cudownéj piękności.
Promień nowéj oświaty
Na tureckie makaty
W nasze ciemne uderzył alkowy —
Od stępów przyszły szumy
Wiatrów, smętki i dumy,
A od Litwy szum drugi sosnowy —

Ziemi wrócona siła
Oto nas upowiła
I wonnymi oblała balsamy.
Świat snem — snu ziemia łożem —
Ze snu powstać nie możem,
Ale z łoża do Boga wołamy.

XXVIII.

Dusza się moja zamyśla głęboko,
Czuje, że tu, jak słońcu, zajść potrzeba,
A innym ludziom zabłysnąć na oko...

Jakiego kraju i jakiego nieba
Światło powita mię w progu żywota?
Nie wiem — lecz radbym żył z polskiego chleba...

Bądźże mi lepsza, o młodości złota,
Niż ta, która mi tutaj się skończyła,
A jeszcze dzwoni echem, jak tęsknota...

Bądźże mi blisko, o matczyna, miła
Duszo, abym mógł znów ukochać ciebie,
Nie wiedząc, żeś mię tutaj raz — rodziła.

XXIX.

Prawo Mojżesza w globie wyryte głęboko
Dotąd trwa: ząb dasz za ząb i oko za oko;
Bóg chce, aby się tego prawa domyślono,
I spełnia je schowany za śmierci zasłoną.

Sto dam za grosz tym, którzy jałmużnę uczynią,
Mówi Pan; cóż byłoby, gdyby stał ze skrzynią?
A to prawdziwy byłby dla lichwiarzy Eden,
Taki ogromny procent z grosza — sto za jeden!
A jednak Bóg jest godzien, aby mu wierzono,
I płaci — lecz schowany za śmierci zasłoną.

XXX.

Chcesz wiedzieć, czém dziś byłby nasz kraj odzyskany
W trzydziestym pierwszym roku: to patrz na Hiszpany,
A ujrzysz ziarno, które było w czasu łonie.
Ot Habsburg jakiś baba siedziałby na tronie,
Głupi a nieruchomy, tak jak Jowisz Stator;
Przy nim stałby podporą — upadły dyktator.
Przeciw myślom praktycznéj broniliby tezy
Ministry uszablone, grube Narwaezy.
Słodki nasz książę i Pan wielce ukochany,
Polityk, jak on cichy Martyner różany,
Do ministeryum częstym wracałby nawrotem,
Sterując między królem a prawem — z Guizotem.
Polskim groszem, co z chleba sypie się, anielski
Bankrutować-by zaczął dawno już pan Jelski;
Po nim zaś nasz filozof w kredytu postaci
Byłby już nas pozbawił dawno cyrkulacyi.
Cóż więcéj? pod wojenném prawem i pod biczem
Barceloną byłoby Wilno z Mickiewiczem;
Gdy przeciwnie wieszcz ciemny, w swoich drogach skryty,
Wlatując w dwór przez okna, albo przez kobiéty,
Znikałby nawarzywszy kwaśnych intryg piwa,
Sądząc, że ciemny dramat z królami odgrywa.
Z ludem byłoby trudniéj — przyszłoby nareszcie
Do sikawek, jak w Porta-sol — na starém mieście [1]).
1848.

---

[1]) W rękopisach Juliusza Słowackiego znajdujemy między różnymi notatkami następujący ustęp, odnoszący się do powyższego wiersza:

»Lelewel miał natchnienie, gdy mu przyszło na myśl Polskę z Hiszpanią porównać — ale w pisaniu odbiegło go, a rozum oszukał. Aragon — Polska, gdyby się była utrzymała, byłoby tak, jak dziś w Hiszpanii. Skrzynecki Jau dyktator. Chłopicki i Krukowiecki — jak Narwaezy. Jelski byłby zaczął bankrutować, a skończyłby bankructwo systemat pana Cieszkowskiego. Ks. Czartoryski martynizowałby różaną wodą arystokracyi pachnącą z Guizotem zawsze. Wilno z Mickiewiczem poszłoby pod prawo wojenne jak Barcelona. Autor Nieboskiéj bruździłby i zawichrzał palacem — sądząc, że dramat z królami od grywa. Sejm gadałby, jak Kortezy«.

XXXI.

CÓRKA CERERY.

Przez miedzę, która podobna do szlaków
Różnych kolorów, między złotym kłosem
Tyś szła, owieczka, białością i losem
Podobna owcy śród kłosów i maków.

Wtém Pluton ogniem wylatując z krzaków,
Porwał cię w ręce i uniósł do piekła,
Córko Cerery — a tyś nic nie rzekła;
Weselił cię gwałt i wrzask nocnych ptaków.

Jakaż cię teraz cudotwórcza siła
Porwie i znowu cudownie przemieni
W córkę świécącą kłosów i promieni,
Kiedyś ty piekłu jak miesiąc świéciła
I tam, gdzie ludzie jadem są żywieni,
Tyś nie umarła — lecz jadła i żyła.

XXXII.

Karty się dają wszystkie wytłumaczyć tuzem,
Niemcy Niemcem — Francyja ptaszkiem i Francuzem;
Polak jéj nie rozumié, choć żyje od wieka,
Bo musi wprzód rozwiązać zadanie człowieka.

XXXIII.

Otrzymawszy wprzód na to jednomyślną zgodę,
Zgodzono się przedawać w pewném mieście — wodę.
Jednego tylko potém człowieka złapano,
Który chciał dawać darmo — i ukrzyżowano.

XXXIV.

Możnemu, który dzisiaj dom upięknia sobie,
Powiedz, że gdziebądź jutro zbudzi się na globie,
A wnet złoto rozleje po świecie jak wodę,
Chcąc, aby w każdym domu jutro miał wygodę.

XXXV [1]).

Jak dawniéj — oto stoję na ruinach
Dawnego miasta... zorze wschodzą ranne,
Ptaszęta małe śpiewają w leszczynach,
Niebiosa blade — przejrzyste — jak szklanne —
Kilka łabędzich chmur na wschodzie świéci,
I czerwienieje — i zognia się w zorzy,
Wróżąc skąd słońce wstające wyleci.
Wszystko spokojne — Bóg serca nie trwoży
Nawet w ptaszętach ..
Któżby rzekł: o Boże,
Że tak cudownie dzień zapowiedziany
Jutrzenki zorzą — ma być o wieczorze
Dniem ostatecznéj na globie przemiany,
Że te — o gwiazdy takie migające,
Te piękne perły błękitne i kwiaty
Będą ... ale nie — ja myślą nie trącę
O te ogromne duchów majestaty,
Godzina moja jeszcze nie wybiła.....
. . . . . .

XXXVI [2]).

. . . . Patrz nad grotą
Uwieńczona wstążką złotą
W którą polnych róż natknięto
Wydaje się jakąś świętą,
Jakąś cudną mgieł dziewicą,
Duchem stepów.... czarownicą,
Stepy te koronującą.
— Niech ją wiatry stepów trącą
A jak tęcza.... wnet uleci;
— Niech noc spadnie — a zaświéci
Jako księżyc..... taka biała,
Albo ogniem spłonie cała,

---

[1]) Z autografu druk. w *Warcie* r. 1880, str. 3495.
[2]) Z autografu druk. w *Warcie* roku 1880, str. 3495. *(Przyp. Wyd.)*.

Taka w oczach, patrz, ognista,
Albo w źródło się zamieni
Kryształowe.... taka czysta.
Lub jak gwiazda w sto promieni
Rozleci się duch niewinny,
A z promieni każdy inny
I w jasności i w kolorze.....
Pod nią stepy..... stepy.... morze,
Co falami w słońce idą.
Ona traw oceanidą
Bez łabędzi wodnych płynie,
Taki wietrzny w téj dziewczynie
Duch, i taka czarów siła ....

. . . . . .

PIEŚŃ II[1]).

1.

Niewysłuchany dotąd nigdy świecie
Upiorów.... dyktuj mi tę pieśń czerwoną,
Która mię jak sen ołowiany gniecie,
I do westchnień mi wielkich budzi łono.
Pierwiastki ducha mego w jakim kwiecie,
Gdy go u wschodnich aż gwiazd zapalono,
Pokazały się....

2.

Kościele, w myśli dziś wstający cieniach,[2]).
Z twymi złotymi krzyżami... pod chmurą
Na zagaszonych Perkuna płomieniach
Stojący... gdziem ja pierwsze pawie pióro
Dziecinne.... jak jaki święty w objawieniach,
Wziął... ducha mego tęczową naturą

. . . . . .

---

[1]) Z autografu druk. w *Warcie* rok 1882, p. 4181.

[2]) W tym ustępie poeta powraca do wspomnień swojéj młodości, do kościoła katedralnego w Wilnie, który wzniósł Jagiełło na miejscu, gdzie płonął wieczny Znicz i stał posąg Perkuna. *(Przyp. Warty).*

Jeśli ty pomnisz, jaka wtenczas była
Moc w mych dziecinnych łzach — jakie zaklęcie,
Jakim się bolem dla ojczyzny skrzyła
Ta łza..... a jak w niéj znów, jak dyamencie
. . . . . .

* *
*

. . . . . .
Jam ukląkł przed nią, jako duch bez dźwięku
I bez szelestu gnących się goleni,
I całowałem ją jak pies po ręku,
Ale nie czuła pocałunku cieni;
Odszedłem jęcząc, a katy po ciemku,
Cierpiący ze mną — sami przerażeni,
Przed jéj oblicze wynieśli surowe
I położyli mój tułów i głowę. —
Wskazała palcem — a święte dziewice
Włożyły ciało zrumienione w cedrze,
I szły jak białe rzędem gołębice,
Miastem zamgloném ku ciemnéj katedrze,
A matka przodem szła i niosła świéce —
— Jeśli nie cierpisz — cóż ci pierś rozedrze?
Ujrzałem matki oblicze surowe,
Gdy pokazano jéj tułów i głowę [1]).
Lichtarz przy sobie cicho postawiła,
A żaden szelest nie był w tym kościele,
Tylko okropny ciężar, jakby bryła,
I sen... i ciężkość... a świateł nie wiele...
A ona oczy swe boleśnie wryła
W ołtarz.... i suche, drżące rąk piszczele
Podniosła w górę.... i oczy zawlekła
Blachmanem.... słysząc, jak z trumny krew ciekła.

---

[1]) *War.:* Potém mnie owe nabożne dziewice
Włożyły w trumnę — wzięły na ramiona,
I szły jak białe rzędem gołębice,
Straszną rzecz niosąc....
A matka przodem szła i niosła świécę;
Żadna w niéj struna boleśnie nie jękła,
Przyszła, i cicho przed ołtarzem klękła.

Ten był szmer.... potém, gdy ranna godzina
Nadeszła.... kiedy budziła się chata,
I drżała wiatrem brzoza i kalina,
I nowy złoty błysnął dzień dla świata,
Mniszki śpiewały Stella Matutina,
I śpiewem oto zwyciężyły kata,
Bo mój duch nakształt drżącego anioła,
Wstał... podniósł czoło.... i wyszedł z kościoła.
. . . . . .

DO

AUTORA TRZECH PSALMÓW.

DO

AUTORA TRZECH PSALMÓW [1]).

Podług ciebie, mój szlachcicu,
Cnotą naszą — znieść niewolę.
Ty przemieniasz ziemską dolę
W żywot ducha na księżycu;
Głosem dziecka wołasz: czynu!
Czynu — czynu naród czeka.
Lecz ty wiész, bez ducha gminu
Jaka słaba pierś człowieka...
A ty, który budzisz czyn, [2])
Gdy spojrzałeś w ludu oczy,
Rzekłeś, że z nich rzeź wyskoczy!!
A kto inny jest — niż gmin?

Nie tak — nie tak, mój szlachetny,
Bo czyn ludu nie piosenka.

---

[1]) Wiersz ten był już drukowany i znany jest powszechnie. Ale wychodzi teraz w czystéj i pierwotnéj swojéj postaci, oczyszczony z licznych bezsensów, jakie go szpeciły w dotychczasowych wydaniach, i pomnożony wielu ustępami, które dotąd nigdy nie były drukowane.

[2]) Zamiast cztérech ostatnich wierszy tego ustępu znajduje się w rękopisie dopisany na boku taki waryant:

Lecz ty drżysz, gdy z ducha gminu
Błyśnie w ogniach twarz człowieka!..
Drżysz, gdy od kos ukraińskich
Długi, smętny brzęk zaleci
Do Warszawy — gdzie was, dzieci,
Straszy teraz twarz Kilińskich...

To nie w herbie z mieczem ręka,
To nie ród imieniem świetny,
To nie pieśni próżny twór,
To nie buntu próżna mara,
To nie chmurny lot Ikara,
Gdzie zasługą upaść z chmur!
To nie na słońc, gwiazd granicy
Z kochankami mdlejąc latać,
Włosy splatać i rozplatać,
Tchnienie tracić w błyskawicy;
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać,
Myślą bić, chorągwie rwać,
Świécić czynu tarczą własną!
W drogę, choćby niepowrotną,
Ale prostą — naprzód twarzą,
Z piersią czystą, choć samotną,
Choć ją sztyletami rażą,
Z twarzą smętną, ale białą,
Chrystusową, choć zwiędniałą,
A ciągnącą lud do siebie
Niesłychanym bożym czarem:
Takim duchem i sztandarem
Być na ziemi — jest być w niebie!

Jam spróbował na méj głowie,
Nakształt gwiazdy kałakuckiéj,
Nosić gwiazdę myśli ludzkiéj
I z tą gwiazdą żyć surowie.
I przybiegli Aniołowie,
Aniołowie Betleemscy —
A odbiegli ludzie ziemscy
I drzwi moje pożegnali,
I przeklęli... me domowe
Duchy — serce — moję głowę —
Każdy włos poprzeklinali...
A jam przecie, bez ich wiedzy
I bez serc ludzkiego ciepła
Czuł, że w żyłach krew nie krzepła.

Ani na rozstajnéj miedzy,
Która świat od Boga dzieli,
A do przyszłych idzie światów,
Rosło mniéj tęczowych kwiatów,
Choć suszyli ją i klęli.
I dlatego, żem się umiał
Pohamować — być nad zgraję —
Wichr przeleciał i wyszumiał
I legł martwy... a ja wstaję;
Bo ojczyznę mą w łańcuchu
Widząc, miałem tę pokorę,
Żem żadnego nie klął ruchu...
Czuł gorących — bo sam gorę,
Modlił się o czasy nowe
I o wrogów mych zwycięstwo.
Choć groziło mi męczeństwo
I w sąd... mogło pójść o głowę.
Bo ty nie myśl, że z Anioły
Tylko boża myśl nadchodzi;
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoły!...

A ty, jasny jakiś panie,
Bo cię nie znam, ale słyszę,
Słysząc twoje wierszowanie,
Że ktoś jak perłami pisze,
Że ktoś nakształt się proroka
Stawia ludziom — ale modny,
Jak historyk świata — chłodny,
Obejrzawszy świat z wysoka,
Wieszcze rymy, jako cugi
Posłał na świat równym kłusem
I napełnił wóz Chrystusem,
Jak Owidyusz Faetonem,
I rozesłał swoje sługi,
Swe kolory czcić pokłonem.

Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa!

Bo są światu, jak zjawiska,
Jako jutrznia są rożowa,
Jak ogniste meteory
Stopom ludu podścielona,
By gościńce Irydyona
Pielgrzymowi, który od nich
Bierze ogień i kolory,
Gdy już gwiazd dochodzi wschodnich.

Taką była dawniéj dana
Poetyczna karm dla ludu,
Objawienie pełne cudu;
Myśl, jak mara niespodziana,
Z piersi naszéj wychodziła
Nakształt gwiazdy, lub miesiąca,
Narodowi dźwiękiem miła,
Ludu sen wspominająca.
To jak słońce w półobłoku
Oczom wschodziła i rosła,
To jak róża na potoku,
Albo lekki Sylf bez wiosła.
Jakaś siła niewidzialna,
Przez poetę na świat lana,
Wolna — jako Anioł Pana!
Silna — jako skra zapalna!

Dziś co? — Każdy wieszcz z rozkazem,
Każdy patron... lecz za sobą;
Nie z promieniem, lecz z wyrazem,
Nie duch-duchem, lecz osobą,
Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiéra czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala;
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki boże;
Do zbolałych serc nie wnika,
Gromu ludu nie ma w dłoni,
Ale w uszy formą dzwoni,
Albo dzwoni — albo syka.

Jego dźwiękiem, jego mową
Nie odetchnie pierś szeroka,
Nie pomyśli jego głową,
Skier nie weźmie z jego oka;
Tylko nędzne ujrzy płachty,
Zamiast wieszcza — sztandar jego
I krzyk: „na Boga żywego!
„Ty, kto jesteś? nie rżnij szlachty!!..“

Któż i gdzie zagroził nożem?
Któż i gdzie ci stanął sporem? —
Możeś spotkał się z upiorem,
Z całém dawném Zaporożem?
Możeś widział pochód głuchy,
Krzyki krwawe i namiętne,
I księżyce nad krwią smętne
I sokoły w mgle, jak duchy?
Może tobie zastąpiły
W poprzek twojéj sennéj stecki
Same tylko ich mogiły —
A ty zląkł się! — wódz szlachecki!! —

Może tylko w noc półjasną
Upiór jaki nadlatywał,
Strzały sobie z ran wyrywał
I mgły krwią czerwienił własną,
Hełm rozpalił w błyskawicę,
Miecz potrząsał purpurowy,
A okropne cztéry głowy,
Jako perły zausznice
Z twarzą nieznajomych plemion,
Niby róże — niósł u strzemion.
— A ty zaraz — w ręku kord,
W kosach przed nim cała wieś!
Duch ten, krzyczysz, jest to rzeź!
Duch ten, to czerwony mord!...
— Nie mord, nie rzeź: — to z girlandy,
Co leciała po nad Lidą,
Jakiś sługa dziewki Wandy,
Jakiś złoty husarz z dzidą,

Jakiś krzyża kapłan świecki
Z tęczy widzeń oderwany
Znów powracał na kurhany —
A ty zląkł się! — syn szlachecki!! —

Duchy lecą i nie giną —
Czasem pełne snów czerwonych:
Czy ty jeden z przestraszonych
Ręką rzezi — gilotyną?
Skądże taka w tobie trwoga
I od ludu rów i przedział?
Prawdę mówisz?... Nie, na Boga,
Wiém, żeś prawdy nie powiedział!
Tylko jakieś sny czerwone,
Zaludnione czartów gminem,
Twych firanek karmazynem
Owionięte, osłonione,
Jak róż jasne — jak sen płonne,
Pełne, mówię, mar szkaradnych,
Bez słońc, bez gwiazd, kwiatów żadnych,
Przestraszyły cię, żeś krzyknął:
„Stójmy tak — na Ojców kości!“
I twój Anioł, już w przyszłości
Zabłyśniony — jak sen zniknął.

Jeszcze co? ani zamachu —
Naród cały hasła czeka —
A krzyk piérwszy z ust człowieka
Był krzyk: stójmy! był krzyk strachu.
Bo to sen na końcu pieśni,
Że magnaty — kiedyś — staną
Z wielką tęczą chorągwianą,
Otrząśnięci z wieków pleśni,
Z wielką myślą w sercu — głowie —
Chatom — niby Aniołowie;
I bunt święty rozpłomienią,
I świat cały od nich zgore...
— W tych magnatach serce chore:
Wąż im sercem, a proch rdzenią!...

Kiedyś ze sto was tysięcy
Było szlachty z serc i z lica;
Dziś jednegom znał szlachcica,
I kraj cały nie znał więcéj.
Jeden tylko serca męką,
Zamiarami, choć nie skutkiem,
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną zawsze darów ręką,
Smętną jakąś nieszczęść sławą
Był szlachcicem i miał prawo...
Dziś — i ten nie został z wami
I godności swéj nie trzyma;
Poszedł gnić między królami,
Już go nie ma — i was nie ma!

Nie myśl, że wszystko na naszéj łące
Smutnieje, więdnie, zachodzi nocą,
Że nietoperze ociemniające
W powietrzu cicho skrzydły łopocą,
Gdzie znajdą lampę — skrzydły zaduszą,
Gdzie znajdą ciepłą polską krew w żyłach,
To ją wysmokczą — serce wysuszą —
Mózg o waryackich zostawią siłach.
Nie tak, tu nie tak... jak ci się może
Przyśniło, głośny szlachty upiorze!

Duch, ogień, młodość
Orla i żywa
Ogniem porywa
I z ducha czerpie.
Nad nią na sierpie
Z blasków księżyca
Boga Rodzica
W zorzy czerwonéj,
Na wywróconéj
Tęczy porannéj!
A pod nią mgła
Z ognia i szkła
W skrze nieustannéj
Bałwany wznosząca,

By znieść ją z miesiąca,
Z gwiazdami złotymi
Postawić na ziemi,
Ogłosić królową,
Piękność z płomieniem w sercu, z gwiazdami nad głową.

Wyszła, wyszła z za obłoku,
Ludom się pokaże,
I na żniwie i na toku
Ujrzą ją żniwiarze!
Cała w słońcach, cała w błyskach,
Z kwiatem złotym w dłoni;
Pastuszkowie przy ogniskach
Zaśpiewają o niéj!...
Ujrzą ją na polu trzody
I smętnie zaryczą;
Zadrżą drzewa, staną wody,
Sny z niéj tęcz pożyczą!
I zgromadzą się włódarze
Z kosami na roli;
Bo się w sercach — w śnie pokaże
Człowiek dobréj woli...

Bądźże żywotniejszéj cery, *)
Bo cię żywym być przymuszę;
Wygnaj z myśli Maryusze,
Cezary i Robespiery.
Z komet, z meteorów cyfer
Czytaj przyszłość, wieszczu młody,
Nie bądź w przyszłą noc pogody,
Jako gwiazda zła — Lucyfer,
Gdy słoneczny wóz wyciąga,
Jak pies, węża mając szyję,
I zła skrzy... i w oczy bije
I bezsennym się urąga. —
Bo my z bezsennego łoża
Wzrok rzucamy gorączkowy,
A ty łyskasz blaskiem noża,

*) Bądźże mi weselszéj cery, *waryant*.

Dziecko, lub zły duch Jehowy,
Bo nam tworzysz czarną marę
I w zrodzoną rodzisz wiarę.

Ten, kto ojcu powie: raka!
Ten przeklęty: — więc się bój!
Polski lud, to ojciec twój.
Zeń, jak z cierniowego krzaka,
Gotów znowu Bóg wybuchnąć,
Z wichru mając twarz i lice,
I na ciebie, jak na świécę —
Iść — i daléj pójść — i zdmuchnąć!

Więc się bój: — bo nie ja grożę,
Marny człowiek i twój brat,
Ale jakiś straszny świat
I widzialne światła boże,
Z ciszą, z wiatrem i z szelestem
Rzucające się na lud
Strachy, które mówią: cud!
Ognie, które szepcą: jestem!

Więc się bój: — bo duch się wdziéra
Zewsząd i podważa wieże.
Słaby, mówisz, rzeź wybiéra:
A czy wiész, co on wybierze?
Może ludów zatracenie,
Może nam przyniesie w dłoni
Komet wichry i płomienie,
W których drży król, matka roni,
Działa, wozy, hufce, konie
Ogień pali, ziemia chłonie;
A nikt z mogił nie korzysta,
Jeno wszczynający ruch,
Wieczny rewolucyonista,
Pod męką ciał — leżący duch!

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie.
Odpuść nam nasze winy!

Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;
Przez nas czyń Twoje czyny!
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla naszych ran i zmazy.
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
A ducha-śmy nie dali:
Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie: „nie ciśnij“ —
Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury;
Zatrwóż! niech wrócą!... błyśnij!
W téj błyskawicy, Panie, ujrzym się i z daleka
Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność, jako Anioł, w człowieka
I staniem ludem świata!...

A tu niżéj
Pan poniży
Namiętnych.
Głos uciszysz,
A usłyszysz
Jęk smętnych.
Zebrzydowscy
I Zborowscy
W czerwonych deliach,
Błyskawice
I dziewice
W bladych kameliach.
Chór przychodzi,
Zda się w łodzi,
O brzegi trąca.
Nad smętnymi
Lampa ziemi,
Okrąg miesiąca.
Zegar świata,
Ptak Piłata,
Godzinę pieje.

Strach i nudności,
W grobach drżą kości,
Bezduch szaleje.
Duch uciska,
Mroczy i błyska,
Aż uzupełni
Wiek idący,
Bogiem błyszczący,
Jak miesiąc w pełni.

W takim hymnie wieszczu stój;
Bo pieśń taka pójdzie górą,
Nad podlejszych dusz naturą
Panująca — boży strój,
Do którego Bóg nagina
Wszystkie tego wieku struny,
Złączy dźwięki i pioruny,
Świat, co kocha i przeklina,
I błękitu rzuci na tła,
Przemienioną krwawość w światła.
Anioł się z Aniołem zetrze,
Chrystus wyjdzie na ciał złamy
I z Chrystusem się spotkamy,
A spotkania plac... powietrze! —

Lecz dopóki ty i twoi,
Duchem bożym nie skrzydlaci,
Chcecie stać na głowach braci,
Tak jak szatan dotąd stoi,
Ciałem — formą, która kuta
Od tysięcy lat we świecie,
Choć spróchniała — duchy gniecie,
Wyrobiona i przeżuta,
Przeświécona piekłem mara,
Dla was święta tém, że stara...
Póki wy, jakby z kamienia,
A kryjący strach kobiécy,
Opieracie wasze plecy
O ten wiatr z gwiazd i z płomienia,

Który się jak słońce pali
I lud niesie, a was wali —
Lecz dotychczas jeszcze szczędzi
Najpiękniejszych od zagłady,
Aż nie mogąc, dusz gromady
Przerażone z ciał wypędzi: —
To ja — pomny na potrzebę
Przyszłych ludzi, tych Cezarów,
Którym każdy stary narów
Kładł pod nogi kamień, glebę,
Męczenników pełną chatę,
Swój interes i prywatę; —
To my święci, to my młodzi
Jutrzenkami i błyskaniem,
Charonowéj twojéj łodzi,
Pełnéj trupów — poprzek staniem!

PODRÓŻ DO ZIEMI ŚWIĘTÉJ

Z NEAPOLU.

POEMAT NIEDOKOŃCZONY.

(1836).

Zabrawszy to, co z tego poematu było drukowane i to, co znajduje się w rękopisie przez Dr. A. Małeckiego opisanym, podajemy wszystko w porządku wskazanym przez załączony poniżéj *itinéraire* podróży Słowackiego. — Dodana tam nota objaśnia, dla czego w napisach zmieniamy liczenie pieśni. — Znajdzie tu więc czytelnik pieśń I, (drugiéj niema) III, IV, V VI, VII-ą, następnie początek VIII, niedokończonéj, a z któréj powstał wiersz *„Do Teofila Januszewskiego“*, podany przez nas na str. 36; tu bowiem przerywałby tok poematu nietylko cofnięciem się w przeszłość, ale i odmienną formą. Następnie w porządku czasu idzie *Grób Agamemnona*, koniec pieśni VIII i pieśń IX, na któréj poemat się urywa. Tuż po niéj dołączamy *Wschód słońca nad Salaminą*, acz nie należący do poematu i inną formą skreślony, ale zbliżonéj treści.

PIEŚŃ PIÉRWSZA.

WYJAZD Z NEAPOLU.

1

Muzo mdlejąca z romantycznych cierpień,
Przybądź i pomóż! Wzywam ciebie krótko,
Sentymentalna, bo kończy się sierpień,
Bo z końcem sierpnia i koniem i łódką
Puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto,
Korfu... Gdzie jadę? powie drugie canto.

2

Tymczasem piérwsze opowiedzieć musi,
Skąd się wybrałem, po co i dlaczego?
Chrystusa dyabeł kusił, i mnie kusi;
Na wieży świata postawił smutnego
Życia nicością, i pokazał wszędzie
Pustynie, mówiąc: „tam ci lepiéj będzie.“

3

A jednak, gdyby mniéj pamięci bolu,
Zachceń i marzeń, a więcéj rozsądku:
Toby mi dobrze było w Neapolu,
Gdzie przed oknami na prawym przylądku
Widziałem szare więzienie stolicy,
A zaś Wezuwiusz górą, po lewicy.

4

Błękitne morze pomiędzy więzieniem
A między górą popiołów i lawy
Czekało ciche, aż góra płomieniem,
A konstytucyą buchnie wulkan prawy.
Tak było niegdyś, nim się na Francuzów
Król i Fra-dyabeł ruszyli z Abruzów.

5

To jest za króla ruszał się kardynał,
Za kardynałem Fra-dyabelska banda,
Ta rozgrzeszała, rak czerwony ścinał
W imieniu Boga, Papy, Ferdynanda;
Gdy zaś wyrąbał do Kyrie Elejson
Litanią świętych, wyręczył go Nelson [1]).

6

Mówiłbym daléj, ale *Pan Podstoli*,
Dziady, a zwłasza tych *Dziadów* część czwarta,
Uczą porządku w opowiadań roli,
Rysując proste ścieżki. Więc do czarta
Mego pegaza wyskoki, i liczne
Opowiadania semi-historyczne!

7

Więc do porządku! A jednak mię boli
Dawać odsyłacz do pana Coletty,
Gdzie opowiada, jak trup Caraccioli
Z łańcuchem u nóg na morzu... Niestety,
Przyrzekłem trzymać wędzidło na pysku
Apolinowym. Lecz powiém w przypisku *).

8

A jeśli drukarz znajdzie, że do treści
Z podróży wątkiem zléwa się przypisek,

---

[1]) Strofę tę opuszczoną w odpisie, według którego pierwsze wydanie było drukowane, podajemy z autografu (*P. Wyd.*).

*) Przypisku tego w rękopisie nie ma (*P. W.*)

To go pod strofą poprzednią umieści,
Zmazawszy parę skrzyżowanych krések,
I nie dozwoli, by za gwiazdek tropem
Czytelnik gonił z Herszla teleskopem.

9

Przypisek winien być pisany prozą,
Lecz ja nie mogę pisać, tylko wierszem.
Ktoby pomyślał, że mnie rymy wiozą,
Że sobie konno usiadłem na piérwszym,
A za mną drugi jedzie krok za krokiem
Rym z parasolem, z płaszczem i z tłómokiem.

10

Wierzcie mi jednak, ze leksza od rymu
(Dla śniegów jechać nie mogłem przez Turyn)
Para mnie gnała z Marsylii do Rzymu;
Do Neapolu zaś przywiózł veturyn.
Carozze jego i cabrioletti
Zalecam wszystkim — zowie się Paretti.

11

Zalecam nowy hotelik Vittoria,
Który staremu nie ująwszy sławy,
Tak się podzielił famą, jak cykorya
Wmięszana zgrabnie do mokańskiéj kawy.
I marmurami, wygodą i luxem
Ze starym idzie, jak Kastor z Polluxem.

12

Zalecam także (zostanę Astolfem,
Bo mój hipogryf staje się skrzydlatym),
Zalecam tobie mieszkanie nad golfem
Na świętéj Łucyi; [1]) a jeśliś bogatym,
Jeśli ci kura złote nosi jaja,
Mieszkaj przy Villa Reale, na Chiaja.

[1]) Poeta mieszkał istotnie z Januszewskimi przy Via S-ta Lucia da Mare, N. 28 (obacz *Listy* z 20 września 1836 r.).

13

Dosyć już, dosyć! Wyznaję ze wstydem,
Że pohamować nie umiejąc weny,
Z wieszcza zostanę prozaicznym gidem;
Ja, com zamierzał wypłakiwać treny
Nad Caracciolim i kląć Ferdynanda,
Dziś piszę, jaka gdzie stoi lokanda.

14

Bo téż kto dzisiaj jest na stałym lądzie
A jutro myśli wędrować po morzu,
A pozajutro jeździć na wielbłądzie,
Nie jedząc mięsa, ani śpiąc na łożu:
Chciałby Europę, co mu z oczu znika,
Unieść jak Jowisz przemieniony w byka.

15

Jeśli Europa jest Nimfą — Neapol
Jest Nimfy okiem błękitném, — Warszawa
Sercem, — cierniami w nodze Sewastapol,
Azow, Odessa, Petersburg, Mitawa: —
Paryż jéj głową, — a Londyn kołnierzem
Nakrochmalnym, a zaś Rzym... szkaplerzem.

16

Gdzieś porównanie podobne w Szekspirze
Na Niderlandach kończy się zamknięte...
Lecz ja wyjeżdżam pod Golgoty krzyże
Po święte myśli i szkaplerze święte.
Więc przed wyjazdem robię ślub niezłomny,
Że będę nieco zabawny — lecz skromny.

17

A jeśli kiedy mój przyjaciel Szekspir
Na złą myśl zagna rymy buntownicze,
Położę jaki suspir albo expir;
Z muzyki — znaku milczenia pożyczę

I muzę moję w rymowym balecie
Na zakręconym wstrzymam piruecie.

18

O Neapolu! ty nie pożegnany
Czekasz, aż ciebie pożegnam epicznie.
Jak biała Wenus, urodzona z piany,
Wyszedłeś z morza zapłoniony ślicznie
Skrawymi słońca zachodniego łuny,
Cichy, pod górą, co ciska pioruny.

19

O Neapolu, gdzie jest twoja dusza?
— Bo duszą twoją nie jest ruch i życie! –
Patrzę na ciebie z grobu Wirgiliusza,
A ty na niebie i na fal błękicie
Tak roztopiony w zorzy malowidła,
Jak upuszczona na brzég bańka z mydła.

20

O Neapolu! wieczorne wyziewy
Twym są rumieńcem, twe dymy są tęczą.
Harmonizujesz się tak, jako śpiewy
Z ciszą powietrza; twe dzwony nie jęczą;
A twój domami okryty pagórek
Ma białość lekkich na błękicie chmurek.

21

Tylko po Chiai i po Margelinie
Idą przeciwne sobie dwa rynsztoki;
Rój mrówek lézie i rząd karet płynie,
Wszystko się rusza. Grób wieszcza wysoki
Właśnie tam stoi, *dove fa il torso*
Ulica; — z grobu patrzałem na Corso.

21 [1])

A choć przejeżdżał w prześwietnéj osobie
Królewic mały, choć mu się rój kłaniał,
Jam się nie skłonił; bom siedział na grobie.
Masztalérz jechał i kijem rozganiał
Mrówki idące w przeznaczenia drogę
Z królewicami..... gdzie? zgadnąć nie mogę.

22

Choć bardzo lubię filozofią Kanta,
Gniewam się na nią, że ludzi nie uczy,
Gdzie iść po śmierci. Wolę piekło Danta:
Właśnie je czytam podług nowych kluczy,
Które przyczyną może będą schizmu
Mówiąc, że Dant chciał republikanizmu

23

I w poemacie używał języka
Sekretnych związków. A gdy tajemnicze
Kładł majuskule, to podług krytyka
Na końcu rymu położone B. I. C. E.
Wcale znaczyło co innego w pieśni
Niż Beatricze. Wam się o tém nie śni!...

24

A ja dowodzę, że Dant o kochance
Nie śnił, a jeszcze mniéj śnił o Vororcie [2])
Albo Konwencyi — i nie topił w szklance
Cesarza Niemców, i w piekła retorcie
Nie smażył rządu lepszego, co przyjdzie,
Jak niegdyś Platon kiep na Atlantydzie [3]).

---

[1]) Poeta *pieśń* I ponumerował i przy téj zwrotce pomylił się wszakże, położywszy dwa razy 21. Stąd pochodzi, że ostatnia strofa téj pieśni, mającéj istotnie 50 strof, oznaczona jest liczbą 49 *(P. W.)*.

[2]) *Vorort* Dyrektoryat federalny w Szwajcaryi. *(P. W.)*.

[3]) Strofa po raz pierwszy drukowana — podajemy ją z oryginału *(P. W.)*.

25

Z grobowca wieszcza widzę, jak nad głową
Wulkanu księżyc wysunął się biały,
A u stóp góry Castello dell'Ovo,
Zamek podobny do stérczącéj skały,
Gmach, co się trzyma przez królewską wolę
W morzu, jak jaje Kolumba na stole —

26

Zczerniał przy fali migającéj złocie; —
A gdy na niebie szafirowém ze dna
Gwiazd zapalonych wychodziły [1]) krocie:
I z okiem zamku błysła gwiazda jedna
Czerwona, rubin zamglonych błękitów,
Siostra błyszczących gwiazd — u Karmelitów.

27

O gladyatory, wydarci ludowi
W godzinie zgonu i mrący na słomie!
Idę powiedzieć o was Chrystusowi
Pod Jego krzyżem, w Jego męki domie;
Idę zapytać głośno w Oliwecie,
Gdzie się zbudzicie i zmartwychwstaniecie?

28

I tam, gdzie Chrystus zapłakał sam w sobie,
Z oliwy bladéj gałązki rwać będę;
A jeśli znajdę, że już śpicie w grobie,
Liściami płaczu posypię tę grzędę,
Pod którą będzie cichy sen grobowy —
Kości bez czaszek i trupy bez głowy.

29

O bracia moi, łańcuchami zbrojni,
O nie targajcie wy się jak w rozpaczy!

---

[1]) W oryginale: wychodziło. *(P. W.).*

O bracia moi, bądźcie wy spokojni!
Słońce was jutro po kratach zobaczy
Bledszych wilgocią, strawą i myślami,
A ja was żegnam... niech śmierć będzie z wami!

30

Żegnam i ciebie, o garsteczko prochów
Leżąca zawsze pod laurem klasycznym;
Turkot powozów z Pauzylipu lochów
Woła pod tobą hymnem romantycznym,
Że sława przejdzie, a bryki nie przejdą,
Że ta bryk droga jest wieku Enejdą...

31

Most pod Tamizą jest kupców Iliadą —
I wiele będzie do sprzeczki powodów,
Czy jeden Rotszyld, jak wieszcz nad Helladą,
Czy też brzęczących kompania Rapsodów
Autorem mostu, gdzie w oknach przez szyby
Anglikom się w twarz przypatrują ryby.

32

Lecz niech mię ciemność Erebu ogarnie,
Jeśli okłamię Pauzylipu grotę!
W ciemny korytarz spadają latarnie —
Jedna za drugą, jak gwiazdeczki złote;
A tam, gdzie nikną i gdzie ciemność krucza,
Swiatło dnia wpada, jak z dziurki od klucza.

33

I jeszcze wyżéj wzniosłszy się na duchu,
Powié ci muza w opisaniach szczytna,
Że na uwitym z latarni łańcuchu
Zawisła mała gwiazda dnia błękitna,
A w téj gwiazdeczki lazurowém łonie
Rodzą się ludzie, powozy i konie.

34

Rodzą się, rosną i w latarni błyskach
Idą, większejąc długim korytarzem.
Jeżeliś nie był w romantycznych spiskach,
A jesteś przyszłych wulkanów malarzem,
Tu, nie lękając się dyb i powroza,
Zbiéraj modele, jak Salvator Rosa.

35

Lecz chodźmy w miasto! Już księżyc wysoko,
A golf ubrany latarni przepaską.
Stolico! gdzie nikt nie myśli głęboko,
Gdzie zabroniono nawet myśleć płasko,
Niech twój rząd stworzy jakie słowo święte
Na niemyślenie, jak na *far-niente!*

36

Dyogenesów lud rynki zasiada.
Czego chcesz? pyta wolność Lazarona:
Zejdź z mego słońca — nędzarz odpowiada.
Jeżeli nie ma karlinów, to skona
Z głodu i pójdzie do łódki, gdzie Charon
Dusze przepławia..... wolność? czy Lazaron?

37

Wolność!... Już dla niéj uszyto symarę
Z gazet *Giovine Italia*... Lazaron
Będzie żył, póki ma *frutti di mare,*
Niebo błękitne i żółty makaron,
I koszyk, w którym leży jak ostryga.
Pytasz się, co w dzień porabia? — dościga!.....

38

A młodzież lepsza, co ma grosz w kieszeni,
Tytuły contów i w oknach firanki,
W cieniu dopiéro się ledwo zieleni...
Kto temu winien? — Neapolitanki!...

One to winne, że się lud nie budzi;
Bo kto z młodzieży umié robić ludzi?...

39

Ja wiem, że wiele winienem kochance;
Sama po włosku uczyła mnie czytać,
Improwizować, (ale nie przy szklance),
Brwi smutnie marszczyć, we śnie płakać, zgrzytać,
Na Archipelag uciekać po laur
I awantury — jak *Korsarz* i *Giaur*.

40

Ona uczyła mię chodzić, jak scenarz
(Lepsze niż aktor słowo niech zostanie);
Wmówiła we mnie, że zamiast Ojcze-nasz
Lepszą modlitwą... księżyco-wzdychanie;
Dziś mię nawraca bez żadnego skutku
Na katolicyzm... mam religią smutku!

41

I odpisałem... co? już nie pamiętam —
Coś odpisałem, lecz nie tak gorąco
Jak Russo — ani tak sucho, jak Bentham:
„Jako dwie skały, kiedy je roztrącą
Strumienie rzeki, choć je nurt rozdziéra,
Patrzą na siebie niebem“ et cetera.

42

I znowu wspomnień pieśń dzika, echowa,
Zagrała w sercu i łzy moje płyną.
O Ludko![1]) dziecka kochanko, bądź zdrowa!...
Jeżeli kiedy po tą jarzębiną,
Co nieraz kładła koralowe grona
Na twoje włosy, siądziesz zamyślona;

---

[1]) Ludwika Śniadecka, córka Jędrzeja i późniéj żona Michała Czajkowskiego, Sadyka paszy: ob. *Godzina myśli*. *(P. W.)*.

43

Jeżeli książkę położysz przy sobie,
Jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie: —
Kart nie odwracaj!... bo nim spocznę w grobie,
Będę ci śpiéwał, jak mrące łabędzie
Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze
Łez brylantowych osypią cię deszcze.

44

I łzy się żywe rozbiegną po łonie
I strumień palce różowe otworzy,
Jeśli spłakaną twarz ukryjesz w dłonie.
Ja wtenczas będę spokojny; jak w zorzy
Gwiazda niknąca, blady; lub z obliczem
Pełném promieni boskich... albo niczém.

45

Jednak jeżeli Ten, co jest na niebie,
Słyszał o słońca mówione zachodach
Modlitwy moje — wszystkie nie za siebie,
A tak rozlane na świat, jak na wodach
Mórz lazurowych rozlewał się cały
Krąg tonącego słońca skrawo biały;

46

Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć
I nie przeklinać... i drogą bezludną
Iść po tym świecie szalonym, i niknąc,
Co dnia myśl jednę rozpaczy zaczynać,
Myślą tą modlić się... i nie przeklinać;

47

Jeśli i Boga nie zwiodła udana
Spokojność moja, ta Chrystusa szata,
Krwią poplamiona i drugi raz wdziana
Na duszę pełną bólu... i ze świata

Uciekającą na chmurach jesiennych
We dnie tak smutne, jak noce bezsennych: —

48

To mojéj duszy, dobytéj z popiołów,
Da wiele ciszy — i na jaką bladą
Gwiazdę do smutnych krainy aniołów
Przeniesie senną. Trupi prędko jadą,
Mówi poeta ballad w Leonorze;
Więc na niemieckim chciałbym siąść upiorze

49

I ruszyć w podróż; bo się pieśń przewlecze
Nie jedną jeszcze przerwaną ideą.
Jutro kuryerem wyjeżdżam do Lecce,
Jutro więc zacznę śpiewać Odysseą,
Albo wyprawę o Jazona runach
Na nowéj lutni i na złotych strunach.

PIEŚŃ TRZECIA. [1])

STATEK PAROWY.

Na morze statek wyleciał parowy;
Wre para, słychać dźwięk żelaza szklanny...
A jako z płaskiéj wieloryba głowy
W niebo srebrzyste tryskają fontanny,
Tak z pod okrętu młyńskiém bita kołem
Wytryska piana — a dym leci czołem.

1) W oryginale zaraz po *Pieśni* Iéj następuje *Pieśń III*. Dlaczego, odpisując na czysto, wypuścił poeta *Pieśń II*, która zapewne zawierała podróż lądem do Otranto i morzem do Korfu, trudno wiedzieć. W rękopisie, z którego drukujemy, nie została wydarta, bo w paginacyi ręką poety dokonanéj, nie ma żadnéj przerwy. — Że istniała jednak, dowodzą następujące okoliczności: 1) W pierwszéj strofie *Pieśni I* poeta wyraźnie mówi: Gdzie jadę? powie drugi *canto*. 2) Na końcu każdéj pieśni przepisanéj na czysto znajdujemy zanotowaną przez Słowa-

Jeszcze nie rzucę porównania, chyba
Słów mi zabraknie. Ogień wre zamknięty
W drewniano-smolném łonie wieloryba.
A jako niegdyś płynął Jonasz święty,
W łonie okrętu bez desek i miedzi
Wesoło, w liczném towarzystwie śledzi,

Zapewne nieraz śmiejąc się z kłopotu
Trawionych flądér, ostryg i czefalów:

---

ckiego liczbę strof; nakońcu 7-éj zaś obliczenie wierszy, których suma wynosić miała 1656. Otóż zliczyliśmy liczbę strof każdéj pieśni: I 49 (popełniwszy z umysłu też samą co poeta omyłkę), III 40, IV 61, V 46, VI 42, VII 38, co czyni razem 256 po 6 wierszy czyli 1536 wierszy. Brakuje przeto 120 wierszy, pieśń zatem II istniała i miała 20 strof. 3) W tym samym raptularzu na ostatniéj karcie jest zaczęty *Dziennik podróży,* którego zaledwie kilka wierszy poeta napisał: »Otranto d. 29 Sierpnia 1836 r. poniedz. Puściłem się nareszcie w moję pobożną wędrówkę przez Grecyą, Egipt do Jeruzalem; i stoję już nad brzegiem morza adryatyckiego (cały ten początek przekreślony) tak, iż, podniosłszy nogę i wstąpiwszy na pierwszą falę bijącą o brzeg piaszczysty, mogę dać pożegnanie Włochom; czekam tylko na statek Kuryerski przypływający co tygodnia do Otranto i z tego miasta wracający do Korfu, aby się dostać do tego anglo-greckiego miasta. Nie rozumiesz zapewne, moja droga, (widocznie Słowacki miał zamiar pisać ten dziennik dla matki) co mnie do takiéj nakłoniło podróży, że sam prawdziwie nie mogę sobie wytłomaczyć, dlaczego z takim smutnym zapałem rzucam się w świat nieznajomy, pełny niebezpieczeństwa, gdy w Grecyi rozboje, w Egipcie zaraza panuje. Myślisz że chcę się coraz bardziéj oddalić od ludzi. Dla czego?

Ostatni wiersz również przekreślony. Pod tym urywkiem jest podana już przez dr. A. Małeckiego notatka ołówkowa:

August 24 Neapol	Wrześ. 28 w Syra
» » 28 w Otranto	Październ. 12 z Syra do Alexandryi
Wrześ. 2, do 4 podróż	» » » 20 w Alexandryi
» » 4, do 8 w Korfu	Listop. 1 w Kairze
» » 10 w Patras	» » 6 z Kairu
» » 12 w Vostizy	» » 13 w Siout
» » 13 w Megespileon	» » 19 w Denderze
» » 16 w Tripolizie	» » 26 w Philae
» » 17 w Neapoli di Romania	» » 30 w Tebach
» » 18 Argos	Grud. 10 w Kairze
» » 19 w Koryncie	» » 15 z Kairu
» » 20 w Atenach	» » 22 w El Arish i Kwarantana
» » 27 z Aten do Syon	Styczeń 2 z El Arish.

Z porównania tego *itinéraire* z poematem wynika, że posiadamy Wyjazd z Neapolu do Otranto, w II pieśni brakującéj był zapewne opis podróży lądem z Neapolu do Otranto i Lecce, a może i morskiéj aż do Korfu, skoro *pieśń III* dopiero od opuszczenia Korfu, t. j. d. 8 Września się zaczyna. *(P. W.).*

Tak nasz kapitan i wódz paketbotu
Z pasażerami jak z tłumem wasalów,
Otyły, wesół, dowcipny i mądry
Nas ma za śledzie, ostrygi i flądry.

Tu majtek rudel obraca mosiężny;
Daléj zantejski sędzia i sędzina,
A między nimi synek niedołężny,
Sędziątko z twarzą zwierzęcą kretyna,
Może przekleństwo jakiego klienta
Ubrane w takie ciało, jak zwierzęta.

Zdziwiony patrzy na okręt i twarze;
Nie wié, co znaczą łzy na matki licu,
Nie wié, że przezeń Bóg rodziców karze;
A nam widniejsze góry na księżycu,
Morza przy górach i na morzach statki,
Niż temu dziecku łzy na oczach matki...

Kapitan krzyknął Wirgilem: *„et tantae,*
Tantaene divis coelestibus ira?“
Na to się podniósł hraf Solomon z Zante,
Poeta grecki; ucho mu rozdziéra
Zmiana wyrazów i kradzież średniówek;
Więc chciał poprawić — lecz żałował słówek.

Może też słabość; bo prędko rękoma
Wziął się za serce i na dwóch lokai
Głośno zawołał nazwiskami dwoma;
Bo skoro tylko jeden się narai,
Zaraz poeta na drugiego krzyczy,
Aby wiedziano, że dwóch w służbie liczy.

Wielki poeto! Jako między skały
Rzucony Tytan, tak ty w puchowniczki
Strącon słabością; a twój surdut biały
I glansowane białe rękawiczki

I twój z usłużonych lokajów paszalik
Świadczą, że jesteś *coxcomb* [1]) lub migdalik.

„O! znam ja ciebie, któréj ręka trzyma
Miecz w piorunową uzbrojony jasność;
O! znam ja ciebie, skrawymi oczyma
Na świat patrzącą, jak na przyszłą własność...“
Z takim to niegdyś do Wolności żarem
Przemówił ów graf — i został Pindarem.

Gdy go raz wieńcem uwieńczyła oda,
Mówią, że dzisiaj co napisze, spali;
Mówią, że wierszy popalonych szkoda;
Mówią, że przy nim wszyscy wieszcze mali.
Szkoda, że zamiast wiersze chować w szafe,
Czyni z nich codzień pan graf *auto da fé!*

Przy tym poecie, co był tak ognistym
Wewnątrz, a zwierzchu drżał jak galareta,
Siedział na środku w krześle rozłożystém
Senator, starzec z twarzą Epikteta,
Z uśmiechem słodkiéj starości na twarzy,
Z podagrą w nogach, z tłumem sekretarzy.

Jeden sekretarz był jak kropla wody
Podobny... Muzo, cyt! niechaj opinia
Żadna i żadnéj nie poniesie szkody.
Taki był pokład. Daléj biała linia
Od indywiduów oddzielała masy,
To jest podróżnych, ale drugiéj klasy.

Tam pod żelazną kolumną komina
Siedział Grek w czapce czerwonéj i Turek,
Wzajemnie dymy rzucając z bursztyna;
A między nimi z tłómoków pagórek
Żółtych i czarnych — a koło téj góry
Kuchnia, kuchciki, kucharze i kury.

---

[1]) Koguci grzebień — fanfaron, błazenek, chłystek. *(P. W.).*

Przy piersi matek rozpłakane dzieci,
Przy bokach starców stoją flasze z gliny;
Czasem iskierka czerwona wyleci
Z czeluści statku i pomiędzy liny
Błąka się długo, nim zagaśnie smutna,
Nie doleciawszy pod namiotu płótna.

Nad piérwszą klasą cień i lekkie chłody,
Nad drugą klasą cięży jakaś para
I komin sypie deszczem wrącéj wody.
Proszę! za czworo nędznego talara
Można uniknąć piekła..... ale za to
W Paryżu nazwą cię arystokratą. [1])

Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie
Po morzu cichém, jasno-lazurowém.
Wkrótce choroba z pokładu wymiecie
Tłum pasażerów, i zostawi zdrowym
Odgłos dalekiéj po salonach czkawki,
Rozległy pokład i bezludne ławki.

Cicho. Dzień cały po błękitach bije
Okręt kręconą machinami skrzelą.
Już zbłękitniało Korfu — już się kryje;
Już się fortece Santa Maura bielą;
A z drugiéj strony przedzielona żwirem
Forteca Turków, w górach pod Epirem.

Ta ani w buńczuk ustrojona koński,
Ani w błyszczące pióro półksiężyca,
Cicha jak kamień; kiedy zamek Joński,
By ustrojona do ślubu dziewica,
Ma kwiat na głowie, tysiąc iskier w oku,
Bukiet z latarni portowéj u boku.

---

[1]) Poeta robi tu aluzyą do przesadnych sądów i wymagań demokratycznego stronnictwa, zwanego na wychodźtwie centralizacyą. *(P. W.)*.

A niech wié każda poetyczna Laura,
Każda sawantka z twarzą bardzo bladą
I księżycową, że ta Santa Maura
W starożytności zwała się Leukadą.
I pod błękitnym unosi obłokiem
Skałę wsławioną biednéj Safo skokiem.

Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę, bardzo podobną do greckiéj. [1])
Ta się nieszczęściem kochała w Moskalu,
A Moskal zginął na wojnie tureckiéj;
Ta poszła zabrać na Warneńskiém polu
Zwłoki - a uszy w Konstantynopolu.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne,
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama, smutna jak Armida,
I rzekła z płaczem: „oddajcie mi skarby!“
— „Jakie?“ rzekł gruby Emir Bej Raszyda.
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
Zeszły na twarzy płaczącéj dziewczynie,
Bo nie znalazła frazesu w *Korynie*.....

„Wróćcie mi, wróćcie!“ i znowu zamilka,
Patrząc na skarbów znizanych pół-pluton.
Zrozumiał Emir i dał sznurków kilka,
I gładząc brodę śmiał się jak bóg Pluton;
Śmiał się, zważając na prośby szalone —
Orfeuszowskie, co prosił o żonę

---

[1]) Ludwikę Śniadecką, która kochała się była w synu generał — gubernatora Korsakowa. Ten istotnie zginął w 1828 r. pod Warną, dokąd udała się potem Śniadecka i założyła szpital. — Rzecz o uszach jest tylko licentia nieco złośliwa. *(P. W.)*.

I musiał piekłu grać, jak Paganini,
Na jednéj strunie cały płaczu kwartet.
Ale powróćmy do naszéj bogini:
Chciała z rozpaczy umrzeć *broken-harted*, [1])
Więc wiodła ciągłą z doktorami sprzeczkę
O krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę...

Skało Leukady tykająca nieba!
Śmiéj się echami grot tłuczonych falą
Z lancetów, mdłości i pigułek z chleba! —
Noc bezmiesięczna i gwiazdy się palą —
Sam na pokładzie, wichrem bity, blady,
Płynę przy skale nieszczęsnéj Leukady.

Piana pod piersi okrętu się garnie,
Stukanie pompy jak dźwięk idzie rymu;
Na maszcie statku błyszczą dwie latarnie
Pod obłokami kirowego dymu;
Zda się, że światła te, zamglone sadza,
Okręt w krainę piekielną prowadzą.

Te same gwiazdy i ta sama skała,
To samo morze! Lecz gdzież na téj skale
Postać kochanki pogardzonéj biała
Jak drugi księżyc? gdzie? tu — o dwa cale,
Pod tą podłogą, gdzie lampa się pali,
Safo śpi jakaś — sama, w kobiet sali.....

Raz tylko wyszła na pokład i słońce,
Siadła na ławce, spojrzała w błękity
Tak mglistém okiem, że się zeszły końce
Rzęs długich, czarnych — i wzrok był przykryty
Cyprysem oczu; nie spojrzała w żadną
Twarz na pokładzie. Kiedyś była ładną.

Zniszczył ją smutek. Smutna poszła w ciemność
Na dno okrętu; a zwierzchu mówiono,

---

[1]) W oryginale jest błąd; powinno być *broken-hearted*, mający serce rozdarte. *(P. W.)*.

Że tę kobietę dręczy niewzajemność,
Że przed miesiącem była mniéj niż żoną,
Więcéj niż..... dyabła! niech dokończy zycer.....
Że ją angielski porzucił oficer.

Mój czytelniku, uderz się ty w piersi!
Bądź na pokładzie okrętu, w noc ciemną,
Przy skoku Safo: a będziemy szczersi.
Ja ci opowiem, jaki cień był ze mną
W ciemnościach nocnych... co za mną tułaczem
Biegło po morzu z przekleństwy i płaczem.

Sumienie moje, niewidome światu,
Jak Nereida wyszło z morza głębi;
Na czole pełne liliowego kwiatu —
I znów, jak Wenus, na wozie gołębi
Leciało między gwiazd sferami śliczne,
Pół chrześcijańskie, pół mitologiczne.

Bo przez noc całą tak ciemną i mglistą
Co robić? — serce własne gryść i kąsać?
Trzeba nareszcie zostać panteistą,
Poznać się z duszą natury i pląsać
Z czarownicami, co się stają widne,
Podług strawności — piękne lub ohydne.

Ave Maria! Już rosy brylanty
Sypią się z nieba i niebo różowe.
Już przypływamy — i nad czołem Zanty
Widać fortecy uzbrojoną głowę
W niebie, nad miastem. Już wychodzą różni
Na pokład statku zmytego podróżni.

Ten pije kawę, ów rozciąga członki;
Wszyscy się zdają rozrastać jak krzewy.
(Nasze by damy mówiły koronki.)
„*Bon jour!*“ Tak do mnie akcentem z Genewy
Przemówił młody Zantejczyk, figura
Przez lat dwanaście kształcona na *jura*.

Przez lat dwanaście uczona w Genewie,
Zdala d ojca, matki i ojczyzny...
Może, czy wszyscy jeszcze żyją — nie wié;
Może nie pozna pod śniegiem siwizny
Zmienionych twarzy. Nim został studentem,
Jechał, dziś wraca tym samym okrętem...

Te same deski, co go dzieckiem niosły,
Dziś odnosiły do domu człowiekiem.
Gdyby tak drzewom przypomnieć, że rosły:
Toby się sęki zasklepione wiekiem
Same otwarły, przez kory szczeliny
Niepowstrzymanych łez lejąc bursztyny.

Ale ten człowiek był, jako Ilissos
Pod Atenami, bez fal i bez wody;
I ten sam statek, ten sam Heptanissos, [1])
Co go odnosił w rodzinne zagrody,
Dla niego prostą był tylko machiną,
Na któréj ludzie za pieniądze płyną.

Z jakiéjże gliny byli ulepieni
Ci, co wracając na ziemię ojczystą,
Padali czołem na czoło kamieni,
Całując ziemię chwastami nieczystą,
Zimną..... co nieraz, nim usta oddarli,
Na głazach ziemi całowanéj marli!...

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!
Śmierć — lub to wszystko, co mi losy rzucą
Na kamienistéj drodze życia — płuce
Ogniem pożarte, [2]) widziane oczyma
Sny straszne twarzą: wszystko mię zatrzyma!

Wszystko mię wstrzyma w obcéj ziemi łonie
Umarłym, może jednę chwilę wcześniéj

---

[1]) Siedm wysp. *(P. Aut).* [2]) Poeta przepowiedział tu sobie rodzaj śmierci. *(Przyp. Wyd.).*

Niż zmartwychwstanie twoje, o Syonie,
Jerozolimo, trapiona boleśniéj,
Niż gród Chrystusa!.... A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno, inni powrócą — spać będę!

PIEŚŃ CZWARTA.

GRECYA.

I zaraz ku nam olbrzym Adamastor
Wyjechał z Zante na barce Trytonów;
Na głowie swojéj miał pomięty kastor,
Surdut na plecach, parę pantalonów.
Nie epopeję pisząc, nie idylią,
Powiém, że to był metr hotelu Giglio.

Stanął i zaczął trwożyć: O! nie płyńcie
Na greckie brzegi — w Patras kwarantana!
Lepiéj do mego hotelu zawińcie,
Oberża moja podróżnikom znana!
W Patras musicie dni dziesięć i cztéry
Przebyć kwarantan — od osp i cholery.

Chociaż poznałem, że to syn Adama,
Nie Adamastor stał przy nas na łodzi,
Zląkłem się bardziéj, niż bohatér Gama.
Lecz pomyślawszy rzekłem: nic nie szkodzi —
Płynę do Patras, sam ujrzę w Patrasie,
Czy jaką szkodę poniosę na czasie.

A ty, co trwożysz, maleńki Cyklopie,
Zamiast nas pożreć zatrzymanych trwogą,
A może miłych jakiéj Penelopie,
Prowadź nas w miasto, — albo lotną nogą

Spiesząc przed nami, na stołach bez Harpii
Postaw nam zrazów, bifsteku i karpi.

Zamiast nas pożreć, my ciebie pożremy,
Jeżeli obiad nie wystarczy głodnym.
Z taką odprawą oberżysta niemy
Odjechał. Ja zaś z czołem niepogodném
Jako Eneasz modliłem się: „Panie,
Nie daj mi w greckiéj siedzieć kwarantanie!“

A potém wszedłszy na fortecy góry
Spojrzałem: Zante szmaragdami siana,
W szczerych szafirów oprawna lazury,
Niebem i morzem dokoła oblana,
Taiła mnóstwo domków w głębi łona
Z domkiem poety, hrabi Solomona.

Szczęśliwy! zastał swój ogród i drzewa,
Swoję kanapę i okno na morze,
Swój miły stolik, gdzie pisze i ziéwa,
Swoje gazami oskrzydlone łoże;
Może dziś będzie cieszył się lub szlochał,
Patrząc na domek, gdzie kocha, lub kochał...

Miło powrócić i usiąść na ławach
Przed własnym domkiem, gdy ucichną gwary,
Gdy nocne świérszcze i koniki w trawach
Zaczną piosenkę nocy, a pies stary
Łapą drzwi chaty zawartéj otworzy,
Przyjdzie i u nóg pana się położy;

I myśleć wtenczas! O fale! o fale!
Szumcie wy głucho pod okrętu łonem.
Patrzę na gwiazdy i cygaro palę
I nieraz wielkim rozpaczy pokłonem
Biję przed Bogiem, gdy z chmurnych obsłonic
Błyska... modlę się... lecz nie proszę o nic.

Miło być także na morzu ozłotném
Błyskawicami i białym ognikiem;

Miło być także dumnym i samotnym,
I niedzielone mieć uczucia z nikim,
I nad powietrza ulatując ciszą,
Słuchać harf takich, jak ludzie nie słyszą.

Chrystus nas woła: wy, którzyście smutni,
Chodźcie na łono Ojca!... Patrz w błękity:
Oto gwiazd siedem — wszystkie w kształcie lutni —[1])
Wychodzą z fali tam, gdzie zorzy świty
Mają zabłysnąć. Lutnio ogniem sina,
Na tobie dzwoni północna godzina,

Godzina cicha, tajemnicza, senna —
Na wielkiém morzu falą wahanemu;
Oto nad lutnią lśni gwiazda promienna —
Dowiąż gwiazd dziesięć ogniowi złotemu
Okiem i myślą, a z niebios wyleci
Koń, który parska gwiazdami i świeci.

Gdy go raz oko z błękitów wyczyta,
Już go nie straci i myślą nie zmaże.
Na strunach lutni położył kopyta;
W nozdrzach, jak w rumu zapalonéj czarze,
Płomyk wytryska wielki, błękitnawy,
Czasem, jak w nozdrzach arabskiego[2]) krwawy.

Za tymi gwiazdy wychodzi Dyanna,
Z gwiazd najświetniejsza, a najmilsza oku,
Gdy ją obleje światłem zorza ranna,
Kiedy w różanym topniejąc obłoku,
Z błękitnéj razem staje się zielona
Jak listek, potém czerwieniąc się kona.

Lecz kiedy wyjdzie, nim zorzą pobladła,
Zapowiadając prędkie cieniom końce:

---

[1]) Ob. List z d. 21 Sierpnia 1837. *Listy* J. Słowackiego 3-ie wydanie. *(P. Wyd.)*. [2]) W I wydaniu: arabczyka.

Błyśnie ci w oczy jak kawał zwierciadła,
Z którego dziecko rzuci tobie słońce;
A gdy nad smutnym takie blaski roni,
Przywykasz razem do smutku i do niéj.

Niebo na wschodzie okrywa purpura,
Potém ją skrawa zastępuje białość,
A róż odcięty, jako lekka chmura,
Płynie w błękity... O! klasyczna stałość!
Nieraz widziałem przez ten obłok cienki
Łono sypiącéj różami jutrzenki.

I dzisiaj — pełna jasnego brylantu,
Rosy, róż pełna, wyleciała do mnie
Z błękitnéj fali, z po nad gór Lepantu;
A za nią słońce rozlane ogromnie
Wyszło, jak zégar wieczystego czasu,
Nad błękitnymi górami Patrasu.

Takie olbrzymie twarze Nibelungi
W północnych pieśniach opisują. — Słońce!
Piérwszy twój promień padł na Missolungi,
Gniazdo, gdzie niegdyś wolności obrońce
Sto razy większym oparli się siłom,
Kapitulacyj nie biorąc mogiłom.

Jeżeliś widział rząd domków i fraszek
Poustawianych na dziecinnym stole,
Tak owo miasto. — Cóż to? biédny ptaszek
Leci przez morza lazurowe pole,
I pada przy mnie na ławie, a potém
Kania z ogromnym twardych piór łoskotem

Lecąc, o ławki stuknęła się drewno,
I długo w statku zabłąkana liny
Na morze wyszła z pieśnią płaczu gniewną.
A ja patrzałem na serce ptaszyny,
Jak biło, jak się układały piórka
Do spokojności... była to przepiórka.

O Missolungi! czy pieśń moja zdąży
Za pieśnią wieszczów, co sławili ciebie?
O Missolungi — Jak ta kania krąży
Żelazném skrzydłem po morzu i niebie!
Jak oczy iskrzą się nad dziobu hakiem...
— Ten biédny ptaszek jest prawie Polakiem.

Dla niego może Kościuszkowskim czasem
Było zniszczenie w Missolungi gniazda;
A dziś — gdy kania z okropnym hałasem
Piór natężonych, jak lecąca jazda
Kirasyerów na polach Grochowa
Goniła... Lecisz, ptaszyno? bądź zdrowa!

Lub niech cię kania zjé — boś mi przerwała
Do Missolungi już zaczętą odę.
Ta sobie stoi maleńka i biała
Pod górą — patrząc na błękitną wodę,
Jako nad Styxem zebrane do kupy
Białe umarłych domków kościotrupy.

Stoi nad brzegiem, nie owiana liściem
Żadnego drzewa; lecz na nie upada
Z gór czatujących nad Lepantu wniściem
Ciemność i światło — a każda z gór blada
Mgłą błękitawą, a jedna z gór mroczna,
Jak piramida stoi sześcioboczna.

Tak równe ściany pokazuje słońcu,
Tak równe boki ma cieniem pokryte,
Tak ciężka spodem, tak lekka na końcu,
Jako pod niebo ręką ludzką wzbite
Z cegieł pomniki... Nim się ten kraj wsławił,
Bóg wielki przeczuł i pomnik postawił.

Nieuwieńczona śniegowymi srebry,
Musi być u stóp śniegiem kości biała.
Gdybyś, Byronie, był nie umarł z febry,
Ale od bomby, kuli, lub kindżała: —

Dałbym téj górze posępnéj nazwisko
Grobu twojego — a Parnas tak blisko!

I mnie dziś łatwiéj wléść na szczyt Parnasu,
Niż ludziom przebyć przed świętym aliansem
Rów wykopany. Trzeba na to czasu!
Na Parnas będą jeździć dyliżansem
Wieszcze Europy — a republikanie
Za lat dwadzieścia... kto wie, co się stanie?

Wierzę w respublik ojca jedynego
Robespiera (to *Trybuny* wina,
Że został Ojcem). Credo w Mochnackiego,
Rzeczpospolitéj jedynaka syna,
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować.

Potém zaś wstąpił do arystokracyi
I trzy dni bawił; a po téj troszeczce
Przyszedł w obliczu przyszłéj generacyi
Sądzić umarłych i żywych — w książeczce!
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych,
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

I w obcowanie ich ducha z narodem
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym
I w zmartwychwstanie sejmu pod Herodem
Obieranego: a gdyby mię śmiésznym
Nie okrzyczano, powiedziałbym grzeczny,
Że w tego sejmu wierzę żywot wieczny.

Zrobiwszy taki sumienia examen,
Takie wyznanie, biédny wierszokleta,
Chciałbym dokończyć i dobić... lecz Amen
Uwięzło nagle, jak w gardle Makbeta.
Zacząłem pisać — teraz z wielką biédą
Biję się w głowę, jak zakończyć Credo?

Wierzę, że idą ludy, jako chmura
Pełna błyskawic na trony zachwiane,

Wierzę, że nawet królewska purpura
Próchnieje w trumnach; wierzę w zatrzymane
Lawy żołnierza, tam gdzie stanął Kokles;
Wierzę, że Milcyad żył i Temistokles.

Wierzę, że jeszcze żyje dziś Kanaris, [1])
Bo właśnie teraz wracam z jego domu;
Bo sam widziałem, jak błękitów Farys
Od ogniowego opalony gromu
W Patrasie grecką dowodzi flotylą,
Wierzę, bo sam go widziałem przed chwilą.

On, co żył niegdyś jako salamandra
W ogniu brulotów — dziś spokojny mieszka
W domku glinianym, jak domek Ewandra;
Dzikimi chwasty zaplątana ścieżka
Do progów jego prowadzi — przed progiem
Odłam marmuru, co był kiedyś bogiem.

Belek się ledwo dotykały heble,
W ścianach obficiéj powietrza niż gliny;
Sosnowe szczeble i niebieskie szczeble,
To jest deszczułki z sosen i szczeliny,
Wiodą na piętro — wejście, piérwsza próba,
Już było dla mnie, jako sen Jakóba.

Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską
Niezabudkami rzeczułkę — przy zdroju
Miejsce kładkową przeskoczone deską,
Zawsze błękitne i zawsze w pokoju,
Dokoła w kalin ustrojone wianki
Było kąpielą gwiazd i méj kochanki.

Nie wiem, dla czego — lecz nieraz w gorąco,
Gdy się na upał zaczynają skarżyć

---

[1]) Znakomity marynarz grecki i jeden z bohaterów walki o niepodległość Grecyi. On to zaproponował admirałowi Miaulisowi spalić flotę turecką w porcie Chio i dokonał tego dwoma brulotami z niesłychaną śmiałością. Wiele razy czyn ten powtórzył; był późniéj admirałem i ministrem marynarki. *(P. W.)*.

Świérszcze piosenką po trawach syczącą,
Szedłem na kładkę — czytać albo marzyć.
I tak czytałem niegdyś walkę Greka
Jak dziecko, które czegoś chce i czeka.

Chce z głębi wody ślad srebrzysty dostać,
(Rankiem kąpała się Ludka w téj wodzie)
Czeka, czy biała i powiewna postać
(Widać aleje i lipy w ogrodzie)
Może z pod wielkiéj jarzębiny wstanie
I wyjdzie... Dziwnie uczące czytanie!

I czytam marząc, jako Ipsylanty
Zwyciężył — ginął... i dał Grecyi brata;
A kiedy czytam, to rosy brylanty
Strząsając, zefir po kwiatach przelata
I fale w złote pomarszczywszy prążki,
Przewraca karty welinowe książki...

Kartki rozwiane przycisnę kamykiem
I będę czytał. Oto wódz naczelny
Demetrius, licznym dowodzący szykiem,
A za nim... czarny hufiec nieśmiertelny;
Każdy z nich mocny, każdy bez nadziei...
Skąd są? — powstali z mogił Cheronei... [1])

Wszyscy — prócz wodza!... ten nie zmartwychwstanie,
Zabity mieczem zgubionéj stolicy!
Lecz innych dusze jak w urnowym dzbanie
Chowane w piersiach marmurowéj lwicy,
Która im była pomnikiem po śmierci,
Wyszły — i pomnik rozpadł się na ćwierci.

Pierś lwa rosnące roztrzaskały dusze!
I dzisiaj leży na samotném polu,
Jak wielkim prochem rozsadzone kusze;
A głowa pełna przedwiecznego bolu

---

[1]) Ostatnia batalia Greków przeciw Alexandrowi. *(P. A.).*

Padła na ziemię — zda się, że spoczywa,
Wydaną duszą smutna i straszliwa.

Długo Grek patrzał na tę lwicy głowę,
Jak na zamilkłe nieszczęściami wróżki.
Snycerz dał smutną marmurowi mowę;
Patrząc — słyszałem dwa słowa Kościuszki:
Finis Poloniae, przechowane w głazie,
Jak łza w kamieniu — albo myśl w obrazie.

O Cheroneo! o Maciejowice!
Cyt... coś białego śród liści jaśnieje...
Ach nie! to tylko białe gołębice
Przez ogrodową leciały aleję...
Chodź znowu, książko na kwiaty rzucona,
Będę znów czytał — to jeszcze nie ona.

Pieniędzy, krzyczą — Grek rzuca na szalę
Dyamentową oprawę pałasza;
Nie dosyć jeszcze — rzucił miecza stale,
Płaci żelazem... Już Ibrachim basza,
Jak Nil, co wszystkie wody na świat wyda,
Lub jak waląca się z gór piramida,

Spada na Grecyą. — Gdzie są Termopile,
Po których niegdyś wąż Xerxesa przelazł?
Gdzie są ci ludzie, co żywota chwile
Licząc, nie drżeli — i marli?... Zavellas
W polach Klissowy z ośmią set człowieka
Zastąpił drogę dwom baszom — i czeka.

Słyszę, jak serce w moich piersiach bije;
Zda się, że patrząc w trup Leonidasa,
Patrząc głęboko — czekam, aż ożyje: —
A wtenczas ani jasnych kwiatów krasa
Ani lecący aleją gołąbek
Nie obłąkały mych oczu, na ząbek.

Lecz wtém nadzieja odbiegła mię wszystka:
Zerwałem różę, co tam kwitła świeża,

I przywiązawszy do każdego listka
Myśl i życzenie i życie rycerza
I Zavellasa... o szaleństwo młode!
Wszystkie te listki rzuciłem na wodę.

I jeszcze listków zostało mi trocha;
Myśląc, że siane w ziemi nie zakwitną,
Więc jeszcze jeden listek — czy mnie kocha?
Posłałem falą wędrować błękitną;
I nie wiém, jaki los tamte pochłonął,
Ale ostatni — pamiętam — utonął...

I znowu książkę rozłożyłem białą
I zimne karty zacząłem całować,
Wołając: Greki, niechaj ginę z chwałą!
Wy mnie nauczcie, jak wrogów mordować,
Jak rzucić drogę marzeń księżycową
Z umarłém sercem i z twarzą surową...

I marząc o krwi z uczuciem tygrysa,
Stężałem członki, krew czując na licu...
Słyszycie tętent?... to koń Botzarisa!
W obóz turecki leci po księżycu;
A nim się straże obudzone zwarły,
Botzaris w baszy namiot wpadł — umarły... [1])

I odezwały się w górach klasztory;
A nie były to pogrzebowe dzwony,
Które kupuje na śmierć człowiek chory;
Lecz jakieś wielkie pomięszane tony
Płaczu, rozpaczy — wyjące po skałach,
I większéj zemsty głos — zamknięty w działach.

---

[1]) Botzaris, jeden z najdzielniejszych przywodzców powstania w Grecyi (1820 r.). Osaczony w Missolungi, które się poddać musiało, powziął myśl ocalenia miasta przez wycieczkę. W 200 ludzi napadł w nocy na obóz turecki i wielką w nim rzeź sprawił, ale padł od kuli. Do tego czynu robi tu poeta alluzyą. *(P. Wyd.).*

A wielkie morze, lazurowe morze,
Któremu niegdyś poświęcano w Aulis
Córy królewskie... ciebie teraz porze
Między flotami tureckimi Miaulis;[1])
Z nim jest drewniana ateńska forteca,
Którą Kanaris brulotem oświéca.

Obydwa płyną uwieńczeni w laury
Wydarte morzu — prędkim idą lotem;
A ów Kanaris zda się, jak centaury,
Na pół człowiekiem, a na pół brulotem.
Ten człowiek śmiały i pan dwóch żywiołów,
Którymi niszczy — czy ma twarz aniołów?

Czy pod nim, jako pod niebieskim duchem,
Cicha się łódka nastąpiona nie gnie?
Czy jego wiosło niesłyszane uchem?
Czy ogień za nim jak pies wierny biegnie?
Jak on wygląda, gdy błękitne morze
Pięć jego czółen oblało w Bosforze?

Sułtan go widzi — lecz zniszczyć niezdolny!
Nie zgasi nawet płomyka w stambulce
Wodza greckiego... Oto konik polny
Usiadł przedemną na cichéj rzeczułce,
I suszy skrzydeł przezroczystych szkielka
Błyszczące w słońcu, by tęczy perełka.

I suchą nogą, na źdźble żółtéj słomy,
Dziecko powietrza, wędruje na łódce
Przez zwierciadlane rzeczułki załomy,
I port w rozchwianéj znajdzie niezabudce,
Albo popłynie daléj z nurtem wody
Pod brzóz płaczących nachylone chłody.

A kiedy płynął i srebrzystym rysem
Znaczył rzeczułki fale zwierciadlane,

[1]) Wspomniany już admirał grecki. (*P. W.*).

Myśl moja cała z wielkim Kanarisem
Płynęła za nim w kraje malowane
Piękną przyszłością... i widziałem życie
Z twarzą na słońcu — z oczyma w błękicie.

O przyszłość, przyszłość! — Jam się tak do ciebie
Uśmiéchał dzieckiem: — ty z taką światłością
Dni moje siałaś, jak gwiazdy na niebie!
A moje smutne dzisiaj... jest przyszłością.
Kwiat spodziewany na wątłéj łodydze
Życia mojego — rozwinął się... widzę —

Co? Jeszcze w myślach owa przeszla chwila,
Jeszcze marzone dawniéj Greków twarze,
Jeszcze Kanaris na słomce motyla,
Jeszcze nad księgą leżę, jeszcze marzę...
I chciałbym cały włosem się osłonić
Nad dawną księgą — i dawne łzy ronić;

I być zbudzonym, jak dawniéj — nad rzeką,
Gdy na aleje złote słońce spadło;
Kiedy słyszany jakiś głos daleko
Wołał, jak echo; gdy w rzeki zwierciadło
Patrząc — patrzałem na twój wzrok uroczy,
Nie śmiejąc prosto patrzeć... w twoje oczy.

PIEŚŃ PIĄTA.

PODROŻ KONNA.

Czytałem kiedyś wielkie porównanie...
Jak wystawiony na niebieskie rosy
Pielgrzym, gdy ze snu głębokiego wstanie,
Listek uwiędły, co mu spadł na włosy,

Odrzuca z czoła: — takeś ty skaliste
Nakrycie grobu precz odrzucił, Chryste! [1])

Lecz kiedy przyjdzie zmartwychwstanie ludu,
Kiedy się skończy sen pełny omanień:
Jakiegoż trzeba będzie wtenczas trudu,
Aby odwalić nasz grobowy kamień?...
Ow marmur, pełny naszych cierpień rytych,
Na którym modlą się dzieci — zabitych?

Patrząc na oczy pełne błyskawicy,
Na czoło króla płomieni brązowe,
Pytałem znanéj mu już tajemnicy,
Bo sam odwalał kamienie grobowe
Z grobu uśpionéj głęboko ojczyzny;
Musi znać leki — bo zna wszystkie blizny.

Pytałem Greka — ale w nim już nie ta
Z kradzionym ogniem pierś Prometeusza!
Moje pytanie było, jak Hamleta
Metafizyczne słowo — czy śni dusza?
Kładzione zawsze na grobach od wieka,
Nierozwiązane dotąd przez człowieka.

Chciałem mu nadać wielkość Waszingtona,
Mojém pytaniem na zbawcę pasować;
Bo téż mu złotych brakło milijona,
A mógłby spalić Stambuł, zamordować [2])
Tylu wezyrów, tyle krwi wytoczyć,
Że Sułtan miałby gdzie pióro umoczyć

I czém podpisać na wolność firmany
I Kanarisa odesłać z krainą
Temistoklesa, przez drewniane ściany
Zdobytą. Dzisiaj Rigny — Navarino [3])

---

[1]) Oda Manzoniego na Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. *(P. Aut.)*.

[2]) Był pod Stambułem i Alexandryą. *(P. Aut.)*.

[3]) Rigny dowodził eskadrą francuską w bitwie pod Nawarynem d. 20 paźd. 1827, w któréj połączone floty Anglii, Rosyi i Francyi zniszczyły flotę turecko-egipską i tym sposobem przyczyniły się do zupełnego oswobodzenia Grecyi. *(P. W.)*.

Kanarisowi wykradły jak Paris
Helenę sławy. — Czy cierpi Kanaris?

Nie wiém... Czy orzeł kiedy myśli o tém,
Że kiedy w zimie słońce zda się nisko,
Mógł o południu natężonym lotem
Doleciéć — patrząc oczyma w ognisko
Niebieskich krain? — myśl głupia dla ludzi,
Lecz może dręczyć orła, co się nudzi...

Ale powtarzam, myśl głupia dla świata
Mogła się przyśnić orłowi na skale,
Lub temu z ludzi, co jak orzeł lata...
Dosyć! — cygaro hawańskie zapalę
Tymi strofami, które nie są odą
I do niczego mądrego nie wiodą.

I właśnie takie ciężkie i nietrafne
Z ust wychodziły moich parabole,
Kiedy żądałem, by słowa jak Dafne
W laur przemienione kładły się na czole
Zapomnianego przez ludzi Greczyna;
Lecz że świat taki — to nie moja wina.

Możebym także chciał, (to wszystko mary),
By jaki człowiek, spotkawszy w ulicy
Moję figurę... włożył okulary...
Po dyabła nosić sławę w tajemnicy?
Cieszył się Dante, gdy przekupka rzekła:
Patrzcie! ten człowiek dziś powrócił z piekła.

Ja bardzo lubię sławę popularną,
Lękam się bardzo wymuskanéj sławy;
Dla tego każę na bibułę czarną
Bić nowe dzieło — gołe, bez oprawy;
I wyjdzie na świat książeczka pokorna,
Jak gdyby z pod pras Bogumiła Korna. [1])

---

[1]) Głośny czasu swego księgarz i wydawca wrocławski. *(P. W.)*.

O moja głupia Muzo, zapominasz
Uszanowania winnego księgarzom!
Ja nie znam Korna — mówią, że luminarz...
A zaś skład jego podobny cmentarzom,
Gdzie sobie cicho autorowie leżą,
Co lato ziemią przysypani świeżą.

A czasem zajrzy Bogumił na cmentarz,
Patrząc, czy kiedy nie zjadł się w letargu
Jaki kalendarz albo elementarz;
A kogo kocha — tego na świat targu
Drukiem prowadzi... i stawia za kratą,
Wieńcząc go świéżą laurową erratą.

O mój księgarzu wrocławski, o Kornie,
Dokończ téj strofy!... dalibóg zaczęta
I pindarycznie żywo i wytwornie;
Lecz moje pióro nigdy nie pamięta
O drugim wiérszu... wbrew dawnéj przestrodze:
Nim piérwszą stawisz, myśl o drugiéj nodze.

Tak chciał Feliński: wiersz skomponuj drugi,
A potém piérwszy dosztukowuj zgrabnie;
A będą mocne — i łańcuch się długi
Nie przerwie nigdzie, nigdzie nie osłabnie;
Na takim niańki uwiązani pasie
Chodzą dawniejsi wieszcze po Parnasie.

Lecz ja... Dobranoc!... Jutro zorza złota
Ujrzy mię w siodle i na Rossynancie,
Tam, gdzie Cerwantes, autor Donkiszota,
Utracił rękę — mój obraz w Lepancie
Będzie odbijał się tak lazurowie,
Jak cień Quichota w Cerwantesa głowie.

Naprzód malować trzeba kawalkadę,
Która się brzegiem Lepantu pomyka.
Guid jedzie przodem, a ja za nim jadę...
Lecz wam opiszę pierwéj przewodnika,

Który albańskie rozwiawszy wyloty,
Jechał na koniu, gdyby motyl złoty.

Na kapeluszu słomianym miał mycę
Do roziskrzonych podobną płomyków;
Ze sztuki płótna marszczoną spodnicę;
Gadał mozajką dziesięciu języków;
Śmiał się jak dziecko — a dzieckiem był prawie;
Śpiéwał — jak polny konik śpiéwa w trawie.

Twarz jego młodą gdzieś widziałeś we śnie,
Może na jakim widziałeś rysunku,
Gdzie młody Greczyn, wysłany zawcześnie
Z ojcowskiéj chaty w wojennym rynsztunku,
Patrzy na Turków oczyma tygrysa...
Na litografii zgonu Botzarisa.

Są twarze w ludach powszechne, *c'est tout clair* —
Tłómaczyć przyczyn byłoby to wstydem;
Wreszcie opisze go wam książę Pükler —
Muskau -- co z naszym podróżował guidem
I pokazywał swą karykaturę
Grekom, wylazłszy nad Parnasu górę;

Który się nie kładł spać, aż biła czwarta;
Który chciał ogród założyć niemiecki
W guście angielskim tam, gdzie była Sparta;
Dla Bawarczyków pozawieszać niecki,
By się hojdając, z krainy Likurga
Mogli przenosić myślą — do Strasburga;

Który — to zawsze mówię o tym księciu, —
Niechaj pamięta autor o autorze —
Który zasnąwszy wieczór w przedsięwzięciu,
Zbudzony — spytał się: w jakim kolorze?
A rząd bawarski, myśląc o sadzonym
W Sparcie ogrodzie — powiedział: w zielonym...

Który się na to obraził... i chwilę
Zastanowiwszy się — po kilku chwilkach
Tak zadrżał gniewem, że wszystkie motyle
Na kapeluszu siedzące na szpilkach
Zaczęły spadać i kłuć w nos Ottona. [1])
O zemsto... mówią, żeś słodka — ty słona!

Zwłaszcza, gdy ciebie Pückler w sól attycką
Całą osypie..... i da na zabawkę
Figurę wroga — pod Momusa mycką,
Osolonego solą — jak pijawkę —
Tak się zapewne kręcić i wić będzie
W dziele..... pan Otton..... na króla urzędzie.

Lecz kłaniaj za to ogrodowi w Sparcie;
Ziemia gruzami pozostanie skalna.....
Sparta zostanie na światowéj karcie
Spartą..... historya straci naturalna
Na jakim kwiatku, co ma kształt pantofli,
Lub na rodzaju spartańskich kartofli. [2])

Adieu, Püklerze, bo mi nie do uszu
Twe imię, w rymów sadzone ogrodzie;
Podróżuj w twoim wielkim kapeluszu,
Co tak wygląda, jak żagiel na wodzie,
W górach jak tarcza okrągła Pelida,
Nad ruinami bogów... jak egida...

Bądź zdrów! — a jednak miałbym prośbę małą
Do waszéj Mości książęco-autorskiéj,
Ażebyś także moje grzeszne ciało
Na koniu skréślił — na szkapie cecorskiéj...
Tak musiał niegdyś Żółkiewski ponury
W trzy dni po zgonie straszyć grzeszne ciury...

---

[1]) Ówczesny król grecki. *(P. W.)*.
[2]) Dwie powyższe zwrotki dotąd niedrukowane. *(P. W.)*.

Trudno znać siebie, powiada przysłowie;
A ja powiadam: trudniéj widzieć siebie
Przez te szkła biédne, które w naszéj głowie
Oprawił Stwórca — kryjąc się na niebie
Tak, że choć błękit przenikniecie do dna,
Skryta wam jedna rzecz... widzenia godna...

A druga także rzecz bardzo ciekawa
Dla nas — my sami..... także nam ukryta;
Szczęściem, że wierne zwierciadło — i sława
Często niewierna — wszak wiécie, kobiéta —
Dopomagają nam szkłem i umysłem
Patrzeć na siebie... i są szóstym zmysłem.

Dlatego bardzo i gorąco żądam
Widziéć się kiedy w gazet artykule
Takim, jak jestem — albo jak wyglądam...
Tymczasem muszę całą ziemską kulę
Przebiegać sobie samemu nieznany
Z twarzy i z głowy... niewymalowany.

Szczęśliwy Józef Poniatowski (czyli
Szczęśliwy, gdyby nie umarł), że widzi
Siebie samego w najciekawszéj chwili
Na każdéj ścianie. — A niech nikt nie szydzi
Z téj strofy, bo ją skończy myśl Solona:
„Nie mów, że człowiek szczęśliwy — aż skona.“

Zaprawdę ja wam powiadam, co rzekły
Przedemną usta filozofów wielu,
Że... Lecz nadzwyczaj staję się rozwlekły;
Więc nic nie powiem — i prosto do celu
Nie zatrzymany strofą ni morałem
Na moim koniu biédnym pędzę czwałem.

Hop! hop... jak upior... obracam tak nogi,
Że kwadratowe tureckie strzemiona
Kolą w bok konia jakoby ostrogi;
A moja szkapa z wiatrami puszczona

Pędzi, jak gdyby czuła żłób koniczyn;
Lecz wtém zwolniłem kroku... dla trzech przyczyn.

Primo: towarzysz mój, (a tu mi skłonno
Aż do łez, pomnąc na konia strukturę),
Był jako człowiek, który idzie konno;
A kiedy biédne zwiérzę szło pod górę,
I chociaż mogło iść o własnéj mocy,
Jeździec udzielał mu swych nóg pomocy.

I tak się razem nieśli. O widoku
Rozczulający! łez nie pojmie profan.
A jako niegdyś w błękitnym obłoku
Sokrata skreślił błazen Arystofan
Latającego po niebieskim sklepie
Na żołwia nogach, w szyldkretu czerepie:

Tak ja po greckich w gimnazyum naukach
Mógłbym podobną ubawić was sceną,
Wymalowawszy na głębokich jukach
Ukochanego filozofa Zeno.....
Który w téj chwili przez niemożność skoku
Był piérwszą z przyczyn, że zwolniłem kroku [1]).

Druga z tych przyczyn była także cnotą
Filantropiczną: właściciele koni
Za kochanymi końmi szli piechotą;
Jeden, jak Turek, miał turban na skroni,
Drugi, jak ojciec podobny do syna,
Belwederskiego miał twarz Apolina.

Trzecią z tych przyczyn, dla których wstrzymana
Wietrzność mojego była wiatronoga:
Oto że nagle ja i karawana
Przyszliśmy, gdzie się zakończyła droga

---

[1]) Mowa jest o Zenonie Brzozowskim, który w téj podróży towarzyszył Słowackiemu. (*P. W.*).

Przeszkodą — wprawdzie dla Mojżesza małą:
Z téj strony morzem, a z téj strony skałą — —

Więc wszystkich świętych wezwawszy i biesa,
Rzucam się w morze. . czy w cuda wierzycie?
Z fali stracona ręka Cerwantesa,
Jak cień wielkiego nosa na suficie
Wyszła, figowe pokazując godła
Światu — a mnie zaś przez fale przewiodła.

I opryskani falą o brzeg bitą,
Na popas w małym stanęliśmy khanie;
Tam z głową senną, cieniem drzew nakrytą
Inni spoczęli przy chróścianéj ścianie,
A ja, nie spity napojami maku,
Znalazłem grotę — w rododendrów krzaku.

Na saméj wstążce srebrzystego żwiru,
Co się nad morzem pod krzakami winął,
Jak sztuczna biała oprawa szafiru,
Spocząłem .. i wzrok na błękicie zginął
I myśl smutniejsza przyszła mię kołysać,
Niż myśli, które chcę i mogę pisać.

Smutna! Myślicie, że grzechów siedmioro
Przyszło mię dręczyć — lub łza emigranta?
Nie! — Ach, myślałem, że już madreporą
Stało się ramię biédnego Cerwanta,
Ramię nieszczęsne, które zaczynało
Czuć, że się jakiś duch oblekał w ciało...

I urodzony w Cerwantesa głowie
Będzie radością wstrząsał wszystkie nerwy;
Ramię, co było w romansu połowie,
Potém doznało takiéj wielkiéj przerwy,
Jak kiedy zabrzmi trąb dziesięć tysięcy,
Potém milczenie... nic nie słychać więcéj.

Dziwnie utracić jaki ciała członek
I myśleć potém, że już leży trupem,

Że już w nim żadna z kosteczek ni z błonek
Nie myśli o nas... i stała się łupem
Robaków — a zaś dusza pełna sromu
Do ciaśniejszego przeniosła się domu.

Dziwnie być musi płakać nad cząsteczką
Własnéj mogiły i czyśca męczarnie
Od niéj odwracać;... bo jeszcze jest sprzeczką,
Czy dusza za nas płaci solidarnie;
Czy członek, co się na ciała pogrzebie
Nie znajdzie, w piekle zapłaci za siebie...

A tu-bym bardzo mądrze i głęboko
Dowiódł: że kiedy nasz Zbawiciel kazał
Wyłamać rękę lub wyłupić oko...
Więc trzeba, abym tę strofę przemazał,
Bo jéj dokończyć, jak chcecie, nie mogę,
Bo osiodłany koń... i ruszam w drogę.

PIEŚŃ SZÓSTA.

NOCLEG W VOSTIZY.

Daléj, mój koniu, powoli — dość czasu.
Krajograficznie strofami wyłożę,
Jaka mię droga prowadzi z Patrasu.
Po prawéj stronie góry — z lewéj morze,
Za morzem znowu i skały i góry,
Nad niemi niebo błękitne bez chmury.

Nie ma tu ziemia czego złożyć w stércie;
Koń dzwoni w głazy — depce chwast — dziewanny;
Czasem po drodze w rozłożystym mircie
Widać rudery tureckiéj fontanny,
Gdzie w kamień woda płacząca nie tętni,
Na które patrząc, nawet Grecy smętni.

Taka głęboka przy fontannach cisza,
Tak ciemne mirty i tak liściem szumią
Nad fontannami, jak pacierz derwisza.
Cały ten smutek błękitami tłumią
Wody Lepantu i z czystego nieba
Patrzące czoło (jestem w Grecyi) Feba.

Ani po drogach bawiącéj się dziatwy,
Ani człowieka w polu, ni na drodze;
Czasem szumiącym lotem kuropatwy
Porwą się w stado, tuż przy konia nodze,
I padną blisko — i znów cisza wielka...
Jaskółek żadna nie wyśle ci belka.

Niebo tych czarnych gwiazdek pozbawione —
Wdzięcznie błękitne... zda się, że nad smętnym
Krajem przeszłości leży zamyślone
Jakim obrazem dawnym i pamiętnym
Tylko samemu Bogu, co w niém duma.
Kraj ten zniszczyła tak wolności dżuma...

Ząbek się lasu dopiéro wyrzyna;
Małe sosenki, jako pszczoły, brzęczą
Jedwabnym kolcem... Jeżeli masz syna,
A twego kraju ludzie nie zamęczą:
Może zobaczy Grecyą pełną krasy,
Ubraną w ludzi szczęśliwych — i w lasy.

Ale my, dzieci nieszczęścia, stąpamy
Po głazach, chwastach i ruinach głuchych:
My się przez wielkie pustynie wołamy
W ciszy bezludnéj; my przy źródłach suchych
Szukamy wody spaleni zarzewiem.
Gdzie będą szukać naszych mogił? — nie wiem.

Gdy tak myślałem, mrok osłonił szary
Przybywających wreszcie do Vostizy.
Tu jeszcze pomnik turecki... dąb stary
Na podniesieniu z głazów, przy ulicy,

Siedział spokojny. O téjto godzinie
Turek tu niegdyś pił dymy w bursztynie.

Lubiłem lipę, co nad sławnym Janem
Cień rozstrzelony zbiérała pod siebie
I co rok miodu obdarzała dzbanem
Niewymyślnego w żądzach i w potrzebie,
Co była drugiém poety mieszkaniem,
Głośna słowików - szpaków narzekaniem;

Pod którą nieraz błyszczał dzban na stole;
Co tak wysoko niosła czoła wianki,
Jakby ze dworu wyglądała w pole
Na przyjazd pana lub pańskiéj kochanki;
Co nad szmérami słodkich ust dziewicy
Szumiała cicho, pełna tajemnicy.

Ta lipa dla nas, jak Partenon grecki,
Ma pełno smutku niewymówionego.
Stanąłem patrząc na ów dąb turecki;
Smucił mię także — lecz nie wiem dlaczego;
Bezużyteczny liściami i chłodem,
Oko zadziwia wielkim pnia obwodem.

Pień jego w sobie ma siły potęgę
I wielki smutek starości... i żałość
Nad tymi, co go znali... stone-henge
Zaniesie myśli w olbrzymią zuchwałość
Tytanów dawnych... W téj świątyni progu
Myślisz o człeku, co ją siał... i Bogu.

O mój turecki dębie, dębie stary!
Ty mi cudownym wyrosłeś kościołem:
Tutaj się mogą modlić wszystkie wiary,
Tu wszyscy ludzie bić ugiętém czołem.
Lubię cię, dębie wyniosłego czoła,
Z liściem rozwianém, jak skrzydło anioła.

Szczęśliwi ludzie, których anioł dzierży
W swojéj opiece! szczęśliwe te kraje,

Co mają drzewa — na miejscu oberży —
Siane po łąkach, gdzie płaczą ruczaje;
Wędrowiec staje, gdzie kwiatów najwięcéj...
Nagle krzyknąłem — do krocset tysięcy

Milionów!... tu mi kochany Eurypid
Słowo Eumenid dał do wykrzyknika;
A mój towarzysz rzekł: *mais c'est insipide*
Spać tu... w téj klatce... co ma kształt kurnika;
Comment, Giuliano? — tak się zwał nasz sługa —
W Vostizy musi być oberża druga!

Non c'è, rzekł sługa. Więc spać tu — na ziemi?
Wszak to nie ściany, lecz z łuczywa krata,
Pajęczynami wybita czarnymi —
A ja dodałem: jak horyzont świata
Zawarty zewsząd, bez okien, którędy
Dusza-by mogła wyjść za zmysłów błędy...

I zakończyłem słowami: daj świécy!
— Świécy? rzekł kompan — wszak tu wiatr zagasi
Słońce w lichtarzu, księżyc w szabaśnicy!
Rzekłem: Giuliano, hej! *tho se mu krassi*... [1])
Gorzkie jak piołun — niech Bóg będzie z nami!
Jest co jeść? nie ma? więc *tho se mu psami*!

To się po grecku znaczy: daj mi chleba!
Przyniósł. . postawił... i znowu zapytał
Bardzo układnie: czego panom trzeba?
A gdym na chlebie zębami pozgrzytał,
Zdjęty przeczuciem nieszczęśliwych wróżek,
Nie spodziewając się, wołałem — łożek!

I światła! Tu jak na biegunie
Północnym ciemno — i wiatr wszędy świszcze;
Pusto jak w zgniłym orzechu świstunie...
Tu mój towarzysz rzekł: więc ja przepiszczę

---

[1]) Wino w całéj Grecyi zaprawiają żywicą. *(P. Aut.)*.

Na hebanowym moim flażolecie
Tę noc — przepędzę ją najlepiéj w swiecie.

I już wyciągał wiatro-brzmiący bardon;
Lecz ledwie zaczął, dmuchnąwszy w otwory,
Przegrywać: jakiś głos: *„I beg you pardon* [1])
But I don't like the music, I am sorry"
Z prawéj się strony wydobył przez kratki —
Anglik zamknięty był do drugiéj klatki.

I była Babel okropna języków,
Aż wreszcie jakaś Opatrzności ręka
Zesłała parę płonących knocików,
I dwa, napięte jak struny, krosienka;
To były łóżka .. jeśli kto nie wierzy,
Tłómaczę jaśniéj — to, na czém się leży.

Ach! leży tylko! — bo wszystkie zefiry
Zbiegły się do nas i wiatr z nami pląsał;
A dar krosienek, jako Dejaniry
Koszula — gdzie się go dotkniesz, tam kąsał.
Ach, jam się dotknął — i ogień mię złapał
I byłem w piekle — mój towarzysz chrapał.

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się
Samemu sobie bardzo poetycznym:
Na skały igle — na ruin terasie
W usposobieniu umysłu Vehmiczném, [2])
Kiedy głos przeczuć bardzo głośno gada
Trzykrotnym głosem: biada! biada! biada!

Gdy patrzy w słońce, o zachodzie krwawsze,
Kiedy się żegna z kim, i przy miesiącu
Mówi z westchnieniem głębokiém: na zawsze!
Gdy przy dognanym zeskoczy zającu,

---

[1]) Bardzo przepraszam, lecz nie lubię muzyki, bardzo mi przykro. *(P. W.)*.

[2]) Sądy Vehmiczne, tajemne w Niemczech. Osądzony na śmierć był ostrzegany o wyroku trzykrotnym wykrzykiem: biada. *(P. B.)*.

Dobędzie noża i obcina skoki —
Gdy nań piorunem strzelają obłoki;

W chwili, gdy skończy szkoły i nauki,
Gdy go za rękę uściśnie sam rektor;
Gdy go mianują sędzią — gdy go wnuki
Obsiądą — gdy kraj obroni, jak Hektor,
Albo gdy myśli o zbawieniu Lachów —
Gdy wygra partyą bilardu lub szachów;

Albo gdy idzie sam w nocy na cmentarz
I na kochanki usiądzie mogile;
Albo gdy mówi doń kto: czy pamiętasz
Paryż? — Są różne poetyczne chwile:
Kiedy naprzykład w towarzystwie znaném
Siądziesz pośrodku... na cenzurowaném —

Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,
To jest, że możesz zgasić oświécenie;
Albo gdy jesteś dział asekurantem
I w Napoleońskie wierząc przeznaczenie,
Słuchasz bez drżenia kul lecących świstu;
Gdy „Comte“ przeczytasz na kopercie listu —

Gdy... i tam daléj. Z tych miłości własnych
Żadna nie przyszła do snu mię kołysać;
Przy dwóch światełkach, jak gwiazdy niejasnych,
Chciałem z krosienek moich wstać i pisać,
Czekając zorzy różowego świtu,
Wtém dészcz... w téj klatce nie było sufitu...

I zawołałem: ty śpisz, Eneaszu,
A tu dészcz na nas leje się z dachówek!
Wnet rozbudzeni oba na poddaszu,
Więcéj do czynu sposobni niż słówek,
Wściekać się więcéj zdolni, niż łzy ronić,
Przemyślaliśmy, jak i gdzie się schronić.

Szczęściem, że w ścianie uwitéj z sośniny
Po obu stronach były dwie framugi;

Ach nie framugi — zaczęte kominy!
Więc ja jak krótki, mój kompan jak długi,
Oba jak dłutem z marmuru wycięci
W niszach przeciwnych — ktoby rzekł, że święci.

Przy naszych nogach zapalone lampy,
Ręce złożone na piersiach pobożnie;
Każdy z nas biały, jak w operze Zampy
Wiedźma z marmuru — bardzo nieostrożnie
Pierścionkiem złotym za żonę pojęta;
Lub jak niewiasta Lotowa w sól ścięta;

Lub jak mumija w ścianie piramidy...
Niech porównania daléj lecą kłusem.
Byliśmy, jako ów posąg Tetydy
Zakryty wody srebrzystéj obrusem,
Stojący sucho w wodnéj samołówce,
Który czytelnik ujrzy w Zofijówce.

Tu, wychyliwszy głowę, mój towarzysz
Głosem żałosnym rzekł: czy żyjesz? — Żyję.
A on mi znowu rzekł: o czém ty marzysz?
A ja mu rzekłem: że się nie ukryje
Żadna zasługa pod żadną przeszkodą;
Ja mówię pacierz... Bóg słyszy pod wodą.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Nie spali ogień... a kompan: nie słyszę;
Woda tak szumi, już mokre mam nogi...
A ja mu na to: ciérp, a ja opiszę
Nasze cierpienia ściągnięte bez winy
I przedam wiernie córkom Mnemozyny —

I kiedyś, w późne wieki, wstanie mściciel
I tu postawi hotel, mości panie!
Tu, na tém miejscu, gdzie teraz Jan Chrzciciel
Mógłby duszeczki kąpać, jak w Jordanie;
Tu, gdzie stoimy — ja ci przepowiadam —
Że stanie hotel — tu, gdzie w nurty padam,

W nurty natchnienia, myśląc o żegludze
Dawnych rycerzy — Eneja — Ulissa...
A mój towarzysz rzekł mi: ja się nudzę,
Stojąc w téj niszy jak kozacka spisa;
Wyznaj, że Grecya *c'est ennuyeux en diable*,
Ja cały mokry — *mais c'est insupportable!*

Nie masz zegarka? ja mój do kompasu
Zregulowałem, tam na łóżku leży;
A ja mu na to: mamy dosyć czasu!
Nim Febus we drzwi Aurory uderzy,
Gadajmy sobie o czém pożyteczném,
Lub o zbawieniu... lub o ogniu wiecznym...

Albo śpiewajmy sobie kontredansy
Tańczone dawniéj — ja dyszkantem wlekę;
Albo ci powiém powieść Sancho Pansy
O trzystu owcach wiezionych przez rzekę —
Ty licz, ja będę tron mówcy dziedziczył;
Jeśli chcesz, ty mów. . a ja będę liczył.

Czy znasz Byrona? — Nie! — To wielka szkoda!
Mógłbyś się teraz przenieść w ideały;
Czajld Harold niegdyś był w Grecyi... Ta woda
Łóżka nam porwie srebrzystymi wały.
Czy znasz Platona?... przyszło mi do głowy
Zaczęcie jednéj Sokrata rozmowy:

„Chodźmy — rzekł — w klonu szerokiego cieniu
Na pochylonéj odpocząć murawie;
Oto zanurzmy tu stopy w strumieniu; —
Jak tu cień miły, jak tu świerszcze w trawie
Śpiéwają słońcu! . “ Daléj w mowie walnéj
Sokrat piękności daje idealnéj

Rysy, granice — i w mgliste przezrocze
Obwija posąg cudownego wdzięku,
A strumień żywy stopy mu łaskocze..
Tu nasz Giuliano z latareńką w ręku

Wszedł i zobaczył nasze dwie figury,
Jak dwa posągi, oprawione w mury,

Z lampami w nogach. — Rzekłem: Pigmalionie,
Jeśli z posągów chcesz mieć żywych ludzi,
Przynieś parasol! — Tak przez wodne tonie
Przeszliśmy oba – a jeśli was nudzi
Ta pieśń, pomyślcie, że to jest obrazem
Greckich oberży, łóżek... i nas razem.

PIEŚŃ SIÓDMA.

MEGASPILEON KLASZTOR.

Wiem, że ze śmiechu przeskakiwać w smutek
Jest wielkim błędem.. charakteru wina,
A raczéj nerwów rozkiełznanych skutek —
Brak sentymentu — że w trop Lamartina
Idąc, nie łączę w pieniach — o herezya! —
Trzech westchnień ciągłych: Miłość — Bóg -- Poezya!

Miłość od Boga staje się odporem,
(Spytaj się o to panny... (Choło)niewskiéj,
Co rządzi młodych panienek klasztorem.
Miłość — (prócz czystéj miłości niebieskiéj) —
Wprowadza duszę w jakiś grzészny zamęt —
Niewolno kochać, jak święty sakrament.

Lecz piérwsza miłość — piérwsza, platoniczna...
O wstaw się za mną — o Najświętsza Panno!
Ty jesteś taka na obrazach śliczna —
Widziałem Ciebie dziś — pod tęczą ranną,
Nad błękitami Lepantu — w niebiosach --
W tęczy — na chmury rozpłakanéj włosach...

Poezya także często walczy z Bogiem;
Chybabyś pisał ciągle o myślistwie,
Jak *Pan Tadeusz* obeznany z rogiem. —
Bóg Lamartina jest w złém towarzystwie!
Chrystusa trzeba dać do takich kmotrów,
Byłby znów Chrystus między dwojgiem łotrów.

Więc rozwiązawszy tak dobrze zawiłość
Teologiczną, przyjmuję za godło
Tych kart — Poezyą, Chrystusa i Miłość —
I to mię będzie teraz ciągle wiodło
Z góry na górę — od boru do boru —
Do Megaspilion, na tę noc, klasztoru.

A ty, Poezyo, nie bądź więcéj mniszką,
Ale opowiédz, jak szedłem wysoko
Nad przepaściami zawieszoną ścieżką;
Jak coraz daléj posyłałem oko
Za laurem pięknie kwitnącym podemną,
I za otchłanią mórz — błękitnie ciemną;

Jak o południu cień kolczatéj gruszy
Osłonił całą podróżnych gromadę;
Jak ciernia krzaki, które wiatr wysuszy,
Dały nam ognie w oczach słońca blade;
Jak źródło w naszym zajęczało dzbanie,
Jakeśmy orłów słyszeli krakanie ..

A morze jasnym wabiące lazurem
Daleko od nas — szukane oczyma —
Za gór przebytych błysnęło się murem
Przez dwie szczeliny maczugą olbrzyma
Albo Rolanda [1]) rozcięte zamachem.
Powietrze cząbrów poiło zapachem...

A teraz myślę, jak z liter i cyfer
Ułożyć oczom klasztor Megaspilion,

---

[1]) Bohater średniowiecznego poematu. *(P. Wyd.)*.

Klasztor, gdzie niegdyś bronił się Lucyfer
Mahometowi — tak długo, jak Ilion,
Albo jak nasza piękna Częstochowa,
Kulami ryta — cudem boskim zdrowa...

Zjeżdżaj na koniu w dolinę głęboką.
Góra zielona... wjéżdżaj na tę górę
Ślimaczą drogą... teraz podnieś oko!
Gdzie patrzysz? wyżéj!.. tam, tam aż pod chmurę!
O jaki widok!.. skała rośnie złota
Z arabeskowym rysunkiem Callota[1]).

Z łona zielonych krzewin i cyprysów
Wyrasta ścianą prostopadłą skała
Porysowana, jak mnóstwem napisów,
Mnóstwami domków — a jaskółka śmiała,
Ow miły piastun wieśniaczy i boży,
Tak nie przylepi gniazd i nie ułoży.

Cała budowa, jako wachlarz płaska.
Jeden ma tylko bok i jedno lice;
A wytnij sobie z jakiego obrazka
Całą niemieckich miasteczek ulicę,
Niechaj mur jeden jednostajnie siny
Nosi te domki — krużganki — kominy

I galeryjki — i sine okienka –
I domki wczora tynkowane świeżo,
Niechaj to wszystko różnorodnie wsięka
W jednę podstawę — pożegnaj się z wieżą
I z dzwonicami, któreś sobie roił,
A jeśliś domki pobudował, spoił,

I sobie całą ułożył strukturę —
Zanieś to wszystko wyobraźni okiem
Na szmaragdową cyprysami górę,
Przylep do skały... jeszcze pod obłokiem
Na samym szczycie, gdzie głazu ułomek,
Postaw forteczkę i jaskółczy domek...

---

[1]) Sławny rysownik arabesków i snów dziwacznych. *(P. Aut.)*.

Niech dym, co mnichów kominami goni,
Framugę sadzy zrobi nad klasztorem;
Niech się to wszystko kiedyś Turkom broni,
Niech teraz będzie spokojne wieczorem,
I zda się lekkiém pajęczyny włóknem,
W promieniach słońca jasne każdém oknem;

Niechaj to wszystko razem się pokaże
Nad głową twoją i za drzewy znika,
I znów, jak dziewic szpiegujące twarze,
Gdy z poza liści śledzą wędrownika
I same także śledzone ciekawie,
Znów błyska — znika — i śni się na jawie; —

A będziesz widział — nie widzisz? więc próżno!
Ja doskonaléj nie opiszę rymem...
Trzeba, ażebyś wziął sakwę podróżną,
Mój czytelniku, i został pielgrzymem;
Inaczéj z wielką litością i żalem
Będę o tobie myślał w Jeruzalem.

Tymczasem... co to? wieczorny skowronek
Śpiéwa nad nami w obłoków błękicie?
Nie — to klasztorny na krużganku dzwonek
Już zapowiedział pielgrzymów przybycie.
Widzę na ganku dzwoniącego mnicha,
Znów karawana idzie w górę — cicha.

Oczy po takiém ciągłém wniebowzięciu
Patrzą w obłoki — a klasztor przed nami,
A mnichów trzystu sześćdziesięciu pięciu
W błękitnych szatach, z czarnymi brodami,
Snuło się w słońca złotego odbłysku,
Jak rój komarów — lub mrówki w mrowisku,

Lub jak rój pszczelni — bo tak doskonale
W plastrze tynkowym porobił komory;
Tak poświdrował korytarze w skale,
Wiszącym domkom takie dał podpory;

Tyle zapasów nagromadził w doły,
Że Bóg się spyta: — ludzie wy, czy pszczoły?

Czy jakie inne i mniejsze robaki,
Co w przylepionym na skale listeczku
Nagromadziliście wina, tabaki,
Cnót po troszeczku, grzechów po troszeczku,
Czekając jasnéj zmartwychwstania chwały,
Gdy cicho listek odedrę ze skały?

I wy myślicie, że ja wam przepuszczę,
Patrząc na tynku odpadłego łatę,
Na korytarze wasze — co jak bluszcze
Idą na skałę kręte, węzłowate —
Na źródło wasze cudowne, na składy?
O moje małe bezpłciowe owady!

Wy, którzy świécę zapalacie jasną,
Gdy pielgrzym kładzie grosz swój do skarbony,
Nie obrazowi — lecz na miłość własną
Rzucając blaski, wy, kraczące wrony
W kraju bezpłodnym i pięknego nieba,
Gdzie się i modlić — lecz i orać trzeba!

A tażto beczka? (to wszystko Jehowa
Mówi do mnichów tam, gdzie sąd ich czeka,
A ja powtarzam tylko boże słowa)
Ta beczka, votum chorego człowieka,
Którą dał biédny — ach, nie mnie Jehowie,
Lecz wam — za cudem odzyskane zdrowie...

I wasze głupstwo, żeście się chwalili
Z takiego daru, i wasza ciemnota —
Życie podobne do próżniackiéj chwili —
I wasza grubość chłopska, nie prostota —
I wasze kłamstwa cudów — i tam daléj...
Weź, Lucyferze! niech ich piekło spali!

Tu się jednego twarz archimadryty
Odwróci, z jedném mnichow pokoleniem,

I rzeknie Bogu: „Nasz dom, niezdobyty
Ibrahimowym mieczem i płomieniem,
Zniszczyłeś, Boże; a Lucyfer dumny,
Żeś odkrył pełne prochem grzechów trumny.

„A ślad na skale gmachu — jak na belce
Znak skruszonego gniazdeczka jaskółek;
A pomyśl, kiedyś, zatrwożony wielce
W naszym klasztorze lud znalazł przytułek,
Wtenczas widziałbyś dla mrących z przestrachu
Aniołem stróżem każdy kamień gmachu.

„I gmach się wtenczas cały w lud zamienił,
Jak twój tron jasny mieni się w aniołów;
Tak wiele duchów zebrał i spromienił
W twoje podnóże... i do naszych stołów
Siadało wiele — nas mnichów niegodnych,
Lecz wiele sierót płaczących i głodnych...

„I w nocy pełnéj pioruna i błysku
Sam szedłem — własne zapalić szpichlerze [1]),
Co pod nogami na skały urwisku
Stały, ubrane w cyprysowe wieże;
I zapaliłem... i przy tym pożarze
Widziałem w dole białe Turków twarze.

„Potém z klasztoru patrzaliśmy mnichy
Na mur poryty ognistymi rysy,
Na dom nasz własny... już jak węgiel lichy,
I na stojące w płomieniach cyprysy,
Jak ci szatani, co tam — widzisz, Boże —
Stoją przy piekła płomiennym otworze.

„Niejeden mrący, spragniony i ranny
W ostatniéj chwili — usłyszał nad sobą
Płacz brylantowéj cudami fontanny,
Otworzył usta — westchnął — i był z Tobą...
Źródło, że wiecznie płakało nad ludem
Żywych i mrących — nazwaliśmy cudem".

---

[1]) Budynek spalony. *(P. Aut.)*.

Wtenczas przytomny obronom szlachetnym,
Na potępienie mnicha rzekłem z boku:
A owa, owa — w tysiącznym ośmsetnym
Trzydziestym szóstym (nie mylę się) roku,
Dnia trzynastego września (tak mi świéża[1])
Data i dzień ten)[1]) dana mi wieczerza?

Sam ją kazałeś zastawić na stole
I sam przyszedłeś, o archimandryto,
Cieszyć się patrząc, jak mię w gardło kole
Kość twoich garnków — twego chleba żyto —
Mszcząc się, że paszport wydała mi Francya,
Że czczę papieża — lecz gdzie tolerancya?

Czyliż dlatego, że wam do kościoła
Przysłano z Moskwy obraz Nikołuszki?[2])
Tu mnich uleciał na skrzydłach anioła,
A ja na łonie tureckiéj poduszki
Budząc się, widma spłoszyłem niesforne.
Słońce błyszczało przez szyby[3]) klasztorne.

Lubię, gdy cichy promień słońca strzeli
W ciemną altanę—lub na sklep, gdzie *prix fixe*
Błyszczą klejnoty — lub do księżéj celi
Złotym promieniem lecąc na krucyfix —
Albo na rzymskich kościołów mozajki,
Lub na błękitny dym rzucony z fajki.

Lubię, gdy pada promień złotolity
Na siwe włosy starego żebraka;
Albo na czoło umarłéj kobiéty,
Albo na skrzydła pływające ptaka;
Albo na róże, co wysoko niosą
Jesienne czoła błyszczące się rosą.

---

[1]) *Wary.* w I wydaniu: (fakt powierza)
(Dziennik mój szczery)...
[2]) Obraz istotnie przysłany z Moskwy. *(P. Aut.).*
[3]) *Wary.* w I wyd.: Słońce przez szyby błysnęło klasztorne.

Lubię, gdy pada z chmur na odsłonioną
W pochmurnym rynku statuę Kopernika;
Lubię, gdy pada w nasze ciemne łono
I znów z człowieka robi słonecznika,
Za światłem życia obracając twarzą
Myśli marzące... póty, póki marzą.

W komnacie mniszéj, otoczonéj w koło
Rzędem tureckich sof kwiecistéj barwy,
Promień słoneczny padł na moje czoło;
I snów zwichrzone rozpędziwszy larwy,
Rozwinął znowu moje myśli senne
Na życie marzeń mglistych... cało-dzienne.

PIEŚŃ ÓSMA [1]).

NAPOLI DI ROMANIA.

Gdzie nasz Neapol — i morze — i ganek?
Skąd widać było dwa białe miesiące,
Skąd widać było wybrzeże — i wianek
Białych żagielków — i światła płonące
Pod żagielkami — gdzie ostrygi szare
Ze srebrną piersią — i *frutti di mare?*
Gdzie na wybrzeżu sklepik przy sklepiku,
Żagiel przy żaglu — przy świetle światełko,
I tych światełek na brzegu bez liku,
A każde swoje białe ma skrzydełko,
Jakby gwiazdeczek jakich nowych plemię,
Które skrzydłami Bóg przysłał na ziemię.
Czarowny widok — czarowne wieczory!
Ciebie zachwycał zgiełk ludzi i tęcza,
W jaką się ludzkie wiązały kolory
Nad błękitnawém morzem w pół obręcza.

---

[1]) Obacz w tym tomie str. 36: *Do Teofila Januszewskiego.* *(P. Wyd.).*

Jam patrzał w księżyc — co lotem aniołów
Puszczał się w błękit — z mogiły popiołów[1]).
Dziwnie dziś jestem w mieście — miniaturze
Znanego tobie Neapolu. Domy
Zaległe tutaj ponad morskie wzgórze,
Forteca weszła na szczyt skały stroméj,
Mniéjsza zaś druga w otchłoń lazurową
Weszła się kąpać — jak Castel dell'Ovo.
Morze błękitne — i góry z mgłą siną,
Lecz nie tak ścięte, jako cukru głowa
Ani jak krater....“[2]).

. . . . . .

GRÓB AGAMEMNONA.

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtoruje myśli posępnéj i ciemnéj —
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona
I siedzę cichy w kopule podziemnéj,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,
Któréj mi tylko echo wiecznie słychać!

---

[1]) Waryant téj trzeciéj zwrotki opiewa:
Czarowny widok — czarowne wieczory —
Ciebie zachwyca ów zgiełk — owa tęcza
W jaką się ludzkie wiązały kolory . . .
Jam czekał cichy, aż po lawy ścianie
Drący się księżyc wejdzie na szczyt — stanie;
Aż spojrzy na mnie z ogromnéj mogiły
Czarnych popiołów. — I mnie także trzeba
Na jakim wielkim grobie nabrać siły,
Nim się puścimy w świat . . . nie drogą nieba.

[2]) Więcéj niema. *(Przyp. Wyd.)*.

Druidyczna to z głazów wielkich grota;
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos — ta bieli płótno!
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk, i rwie jéj przędziwo.
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowym pochowane słońcem,
Jak by mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. — Strasznym jest Rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy:
Jest objawieniem — wielką pieśnią ciszy.

O! cichy jestem — jak wy, o Atrydzi,
Których popioły śpią pod świerszczów strażą —
Ani mię teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą.
Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy! —

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble lub gołębie,
I listkami się czarnymi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszcza.

Nie bronił mi go zaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
Tylko się słońcu stała większa szpara
I wbiegło złote, i do nóg mi padło.
Z razu myślałem, że ten, co się wdziéra
Blask, była struna to z harfy Homera —

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułowić i napiąć i drżącą
Przymusić do łez i śpiéwu i złości
Nad wielkiém niczém grobów — i milczącą
Garstką popiołów! — ale w mojém ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc — to los mój, na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
To los mój, senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych — i tak pełny wstrętu —
Na koń! chcę słońca i wichru, tętentu!

Na koń! — Tu łożem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody płynie laur różowy,
Ze łzą i wielką błyskawicą w oku,
Jakby mię wicher gnał błyskawicowy,
Lecę — a koń się na powietrzu kładnie,
Jeźli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei
Trzeba się memu załamać koniowi;
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla małowiernych serc — podobne snowi.
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To téj mogiły, co równa jest — naszéj...

Mnie od mogiły termopilskiéj gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów;
Bo jestem z kraju smutnego Ilotów,
Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju — gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół-rycerzy — żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce kruszy wstyd — w każdym Polaku.

Ja tam nie będę stał przed Grecyi duchem —
Nie — piérwéj skonam, niż tam iść — z łańcuchem!

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potém spytali wręcz: — „Wielu was było?“ —
Zapomnij, że jest długi wieków przedział —
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?!

Na Termopilach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
I długo płakał lud takiéj ofiary
Ognia wonnego i rozbitéj czary.

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym:
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym;
Póty mieć będziesz hyjenę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie!

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę — Dejaniry palącą koszulę,
A wstań, jak wielkie posągi bezwstydne,
Naga — w styxowym wykąpana mule!
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczém — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichéj się mogiły
Podniesie naród — i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednéj bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą!
Pawiem narodów byłaś i papugą,

A teraz jesteś służebnicą cudzą —
Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu — gdzie nie trwa myśl nawet godziny:
Mówię, bom smutny — i sam pełen winy!

Przeklnij! — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida, przez wężowe rózgi.
Boś ty, jedyny syn Prometeusza —
Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi.
Choć Muzę moję w twojéj krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!
Lecz wiédz, że ręka przekleństw, wyciągnięta
Nademną — zwinie się w łęk jak gadzina,
I z ramion ci się odkruszy — zeschnięta!
I w proch ją czarne szatany rozchwycą;
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!!! —

PIEŚŃ VIII
(KONIEC).

Nie, nie, dopóki będziesz ręką drżącą
Zakrywać piersi puste, owdowiałe,
To ja nie klęknę, nawet przed klęczącą,
Bo ja mam inną, smutną matkę, chwałę,
Co mi ociera łzy płynące rzadko,
A i tę trzecią mam, co mi jest matką.

O najbiédniejsza! tobie z pól myceńskich
Chciałbym już posłać prochów moich urnę.
Wrzuć w proch ten dwoje obrączek małżeńskich,
Zaklnij Dyannę i duchy pochmurne,
Aby ci widzieć mnie raz pozwoliły
W promieniach... jam ci był drogi i miły.

Teraz nie jestem niczém, a te mary,
Co okrążyły mnie, wzywają daléj,
I pokazują girlandy i gwary
Anielskich duchów, pójdę... krew mnie pali;

Już osądzony śpiewam jak łabędzie,
Lecz gdy cię dojdzie pieśń, co z tobą będzie!

Tyś uśmiechała się, to było wczora,
Kiedyś mię smętnym w dzień znalazła inny
Zapłakanego nad śmiercią Hektora.
Nie był to głupi płacz, ani dziecinny,
Głupsze są teraz łzy, co lecą skorsze,
Gdy wspomnę los mój, ach! łzy stokroć gorsze.

Żórawie, co tam nad Koryntu górą
Rozciągnęłyście łańcuch ku północy,
Weźcie na skrzydła moję pierś ponurą,
Zanieście z sobą, może przyszłéj nocy
Kraj przelatywać będzie ta pieśń głucha,
Jak dzwon żałosny brzmiąc w krainach ducha.

Żórawie! wy co w powietrze różane
Co rano długą wzlatujecie szarfą,
Wyście mi były niegdyś ukochane,
Wyście jesienną moją były harfą!
Wy i szumiące sosny nad grobami,
Gdzież się ja dzisiaj zobaczyłem z wami!

A jednak... jam to przeczuł w życia wiosnę,
Że będę kiedyś nieszczęsny i błędny,
Że może z serca niedoli urosnę
I będę z duchów miał wieniec podrzędny.
I z dziką kiedyś pożegnam tęsknotą
Wasz łańcuch, zorzą pochłonięty złotą.

Dziś ta godzina przyszła, bądźcie zdrowe!
Tam Archipelag mnie woła błękitny,
Tam Korynt trzyma koronową głowę
A za Lepantem Parnas starożytny...
O Muzo moja, jakże ty pozdrowisz
Górę, gdzie siedział Apollo i Jowisz?

O romantyczna Muzo, na kolana!
Bo ja ukłony mam tu dla téj góry

Od lipy wonnej klasycznego Jana
I od śpiewaka dzieci i tonsury,
I od śpiewaka Potockich ogrojca
I cichy, łzawy pokłon mego ojca.

Ja wiem, że teraz on jest przy mnie duchem,
Ale mu twarda śmierć zamknęła wargi;
Oto mi nawet szeleści nad uchem
Figowe drzewo, jakby szmerem skargi.
Słyszę głos mi już ojca niepamiętny,
Lecz jego musi to być głos, bo smętny.

Więc smutnym głosem i niedomówionym
Pozwala czasem śmierć mówić po śmierci.
Góro, co błyskasz księżycem czerwonym,
Jak wulkan krwawy.... o pęknij na ćwierci....
Boś ty wyśmiana wróblów świergotaniem,
Albo zawczesném rannych kurów pianiem.
. . . . . .

PIEŚŃ DZIEWIĄTA.

Jest na korynckiéj górze mała grota,
Figowém drzewem od wejścia zakryta,
I tam odbiegła mię moja tęsknota;
Stamtąd albowiem oko tęskne wita
Kraj cały, żyzny, zielony, szeroki,
Przerżnięty wstęgą korynckiéj zatoki.

Nigdzie tak piękne i tak szafirowe
Morze nie świéci, jak tu w téj dolinie.
Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę
Oko na morze to błękitne wpłynie,
To zamyślone odwrócić się nie chce,
Tak go ten błękit rozwidnia i łechce.

A tam na prawo, gdzie drzew nagle braknie,
Korynt.... już myślisz.... że tam kolumnady,
Jakich wzrok często północnika łaknie;
Lecz Korynt dzisiaj, to chatek gromady,
Nad niemi kolumn niewielkich wierzchołek,
A matką wszystkich kolumn ten kościółek.

Wszedłem.... w świątyni dwie młode Greczynki
Miotłami z ziemi zmiatały na kopce
Czarne od prochu korynckie rodzynki,
A na kolumnach ściętych mali chłopce,
Pasterze.... w dudki z trzcin wycięte grali,
Kilka baranów sennych i tam daléj.....

Już wiész, jakie są obrazy sielanek.....
Lecz nie widziałeś ich na greckiéj ziemi;
Ten smutny kolumn już bezżennych wianek,
Te drzewa żywe, co z marmurowymi
Takimi są tu nieraz przyjacioły,
Jak u nas lipy z wiejskimi kościoły.

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy,
Pełny baranów cień każdéj kolumny,
I pełny owiec cień każdéj oliwy,
A pasterz na te cienie patrzy dumny,
Bo są jak sznury pereł dla kochanki,
A w cieniu od drzew leżą owiec wianki.

Tu duch przeszłości.. spokojność rozlewa
Na śpiące owce.... na pasterzy twarze.
Zefir się rzadko na trawy rozgniewa
I Jowisz rzadko tu piorunem karze.
Wszystko zamknięte na wiekowe blizny....
I w takiéj ziemi być! i bez ojczyzny!

Czemuż nie jestem tu owiec pasterzem?
Czemuż nie jestem panem téj winnicy,
Panem téj chaty nad morza wybrzeżem,
Nad którą Parnas, w hełmie z błyskawicy,
Czuwa — i cicho sny bogów nastręcza,
Co się w powietrzu unoszą jak tęcza.

O słońca wschodzie wstawałbym, pobożny.
Od moich owiec raniéj — od jaskółki,
Do mnie by gołąb zlatywał nietrwożny,
Z Hymetu by się zlatywały — pszczółki,
I kładły miody w złamanéj kolumnie,
Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

Na méj policy... czara starożytna
I pełna wina starego amfora;
Przed chatą — jaka Najada błękitna,
Wylewająca łzy w ciszy wieczora,
Brzęcząca smutno o marmur wymyty;
Kilka drzw, kilka malw z jasnymi kity

I sad, gdzie ciemna liściami cytryna
Słońce odstrzela liściem zwierciadlanym,
Pod którą wcześnie noc już być zaczyna,
Noc sprzyjająca myślom zadumanym,
Zielono-ciemna, cicha, wonna, świéża,
Noc dla poety i owiec pasterza.

O wy amora słudzy, wieczne duchy,
Z motylowymi skrzydłami wietrzniki....
Jabym rozesłał was gdzie na podsłuchy
I przez was wiedział natury tajniki,
I co wieczora, pijąc nektar słodki,
Strącałbym z czary — was mówiących plotki.....

O różnych ludzkich miłościach tajemnych,
O sercach, które nie kochane — pękły,
O skarbie w straży aniołów podziemnych.
A gdybyście mi o czém smutném jękły,
O jakim kraju, co leży w mogile,
Wziąwszy was, duchy, za skrzydła motyle,

Skąpałbym całych w czerwonym Falernie,
Malwy rozkwitłą schłostałbym łodygą,
Między rożami gdzie zarzucił ciernie;
Lub wziąwszy za łeb, zrobiłbym go frygą,
Aby się kręcił, szedł w ciemne Ereby,
Że mi przypomniał smutek bez potrzeby.

Przed moją chatą przyjaciele młodzi,
Kiedy się dla nich cały baran piecze,
Pokazaliby słońcu, co zachodzi,
W piryjskim tańcu wydobyte miecze;
Przed nimi z twarzą jasną i wesołą
Grałbym na lutni i prowadził koło.

A tam na szaréj kolumny ułomku
Wianek sąsiadów moich siwobrodych,
Pochyłych ludzi, przy pochyłym domku,
Dawałby ręką takt tańcowi młodych....
I przyklaskiwałby temu rymowi.
Duchy, sny, straty, starce, bądźcie zdrowi....

Czy nie widzicie? żem chory: szatanizm,
Bajronizm, siedem mnie dręczy boleści;
Wierzę w religią mas, w republikanizm,
W postęp.... a nawet... wierzę w te czterdzieści
Cztery ... choć nie wiem, co ta liczba znaczy,
Ale w nią wierzę jak w dogmat.... z rozpaczy.

Mam także ufność wielką w jezuicką
Reakcyą... lecz się nie łączę i czekam;
Tymczasem trudnię się mową sanskrycką,
I z Europy znudzony uciekam,
Jak człowiek, co się na przyszłość sposobi
I chce przekonać ludzi, że coś robi.

Najwyćwiczeńsi w téj sztuce kłamania
Nie warci są mi rozwiązać trzewika;
Ciągle mam czarny palec od pisania
I w oczach ciągle coś nakształt płomyka
Poetycznego. .. stąd mię częściéj wita
Poetą — ten, co widzi, niż co czyta.

Biorę na świadki te strofy ostatnie,
Czy w nich poezyi jest choć za trzy grosze.
Nie bój się, niech je twa krytyka płatnie,
Od nieprzyjaciół moich więcéj znoszę,
Te strofy są złe, powiedz to otwarcie;
Pisałem, jakbym nigdy nie był w Sparcie.

Te strofy są złe, no więc na to zgoda;
Niepoetyczne... zgadzam się i na to....
Chodźcie tu do mnie.... patrz... błękitna woda
Igra pod moją kaiką skrzydlatą;
Łódka przez fale rozbudzone pędzi,
Jak najkształtniéjszy z Olimpu łabędzi.

Przez nachylone żagle księżyc blady
Pokazuje mi majtki zadumane;
Stoją jak dawni rycerze Hellady
O maszt oparci.... złotem haftowane
Pancerze mają i białe kapoty....
Księżyc jest na nich błękitny i złoty.

Oni umieją zostać nieruchomi,
Jako posągi, patrząc w niebo czyste,
Eol sam wichry szalone poskromi
I z żaglów muszle porobi srebrzyste,
W których się oni... na pół skryci, mieszczą,
Jak duchy — myślą wywołane wieszczą.

I cicho, i wraz.... o! godzino święta,
Łódka się w morskie rzuciła głębiny,
I z jękiem nagle stanęła wzdrygnięta....
To była pierwsza fala Salaminy:
Spotkać pierwszego Polaka przybiegła,
I wstrzęsła mnie tak... i jękła i legła.

A za nią inne fale z wielkim gwarem
Od brzegu biegły, szerzące wzdychania.
Jutrzenka żywym spłonęła pożarem.
Słońce... już było bliskie swego wstania;
Myślałem, że w tym wiekopomnym kraju
Stanie w piorunach, jak Bóg na Synaju.

WSCHÓD SŁOŃCA NAD SALAMINĄ.

Pamiętam jednę godzinę żywota —
  Leżałem w greckiéj łodzi... Spało morze —
A każdy żagiel był jak maska złota,
  W któréj się chował w albańskim ubiorze
Majtek. Słuchałem, jak fala klekota,
  Kiedy ją złota pierś kaiku porze —
Księżyc się cicho błyszczał, złoty taki
  Jak słońce. Łódź płynęła z Kalamaki.

I zwolna wschód się oczerwienił siny.
  Po nad Pireą powiał wiater świéży.
Łódź się śród morskiéj wzdrygnęła równiny,
  Jak rycerz, gdy go w piersi wróg uderzy.
Była to piérwsza fala Salaminy,
  Szła od mogiły, gdzie Temistokl leży —
Zatrzęsła łodzią, w około ją obeszła,
  Zagrzmiała, jękła żałośnie i przeszła.

Wstałem - tańczyły fal różane bryły —
  Świtem się niebios okwiecała droga —
Słońce! — myślałem, że wstaniesz z mogiły
  Temistoklesa, jak z mogiły Boga
Zmartwychwstający anioł blasku, siły...
  Lecz nie — gdzie złoty tron był jego wroga,
Skąd Xerxes patrzał na zniszczenia dzieło,
  Wyszło ogromne słońce i stanęło...

Wtenczas zacząłem urągać się w duchu
  Grobowi, co był rzucony w ciemnoty
I morzu, które chodziło w łańcuchu —
  I obróciłem się, gdzie stał tron złoty,
Paląc się w słońca czerwonym wybuchu —
  Bo tak stać musiał, gdy ginęły floty
I za kraj marli rozpaczni obrońce...
  Xerxes na tronie tym ubrany w słońce!...

FRAGMENT[1]).

I porzuciwszy drogę światowych omamień,
I wysłuchawszy serca, gdy rzekło: Jam czyste!
Tu rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,
Pod którym trzy dni martwy leżałeś, o Chryste!
Skarżyłem się grobowi, a ta skarga była
Ani przeciwko ludziom ani przeciw Bogu....
. . . . . .

[1]) Na grobie Chrystusa w Jerozolimie, ob. *Listy* Słowackiego, wydanie 3-ie t. I str. 260. *(Przyp. Wyd.).*

ROZMOWA

z Matką Mokryną Mieczysławską,

BAZYLIANKĄ W PARYŻU.

Słysząc, że głos jéj nożami przenikał,
Gdy swe bolesne męki powiadała,
Szedłem — nie przeto, abym ran dotykał
Ani rozdrażniał zranionego ciała,
Ani świadectwo wydawał o ranach;
Ale był wierny — jak syn na kolanach,
Który dwojakie ma kadzidło w darze:
Łzy albo zemstę — co matka rozkaże...
Szedłem, ażebym dla mojego czoła
Wziął uświęcenia od ręki anioła;
Bo mi się w nocy ta ręka czerwona
Pokazywała przeze mgły skrwawiona,
Wyrzucająca takie strachu strzały
Z palców ognistych — że brak na to słowa,
Żem drżał jak Mojżesz — gdyby mu Jehowa
Rękę był swoję pokazał ze skały.

Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze
U suchych, obcych ludzi na gościnie,
Prostą niewiastę, rzekłbyś: gospodynię
Siedzącą sobie na szlacheckim dworze,
Kędy zarządza dziateczek hałasem,
W czepcu, w rańtuchu, z kluczami za pasem.
Wszakże pomimo tak wielką prostotę
I dziwne z matką moją podobieństwo,
Na twarzy jasne widziałem męczeństwo,
Jakieś męczeństwo wielkie, boże, złote,
Które mnie z góry uderzyło w ciemię,
Jak Pan — gdy rzuca zbrodniarzem o ziemię...

A wtenczas ona: „cóż, ziomku kochany?
Przyszedłeś mocno, jak widzę, wzuszony;
Siądź — powiém tobie, że zamknięte rany
Lepiéj przystoją Polce, niż korony.
Ty młody jeszcze, nie topionyś w Niemnie,
A już ty bledszy, mój synu, odemnie.
Widząc was wszystkich takich w téj stolicy,
Chociaż ja sądzę rozumem prostaczki,
Widzę ja prawie, że i wy biédaczki,
Widzę was jasno — i wy męczennicy“.

Westchnęła — a ja: Matko, powiédz proszę,
Czyś ty do boskich nie zaniosła tronów
Skargi na tyle polskich milionów?
Dwadzieścia!!! Gdyby to miedziane grosze —
Świat prawie kupić! — gdyby pozapalać,
A każdy dał krwi maleńką kropelkę,
O! na Chrystusa i na Zbawicielkę,
Tą krwią czerwoną świat możnaby zalać!
Gdyby błysnęły wszystkim ognie z lica,
Świat można spalić! A ty męczennica?
Polka! w żołdackim utopiona brudzie?
Nie — car nie winien — to winni ci ludzie!!

A ona: „nie skarż, o nie skarż nikogo!
Oni? — cóż oni biédacy tam mogą?...
Wszyscy pod wielkim i krwawym uciskiem
Czekają tylko na piérwszą dogodność ..“
Tu mnie spytała: „jakiém zwać nazwiskiem?“
Nie dosłyszałem — a ona: „jak godność?“
Zarumieniłem się cały i rzekłem:
„Godności nie mam — przed męką uciekłem...“
I nastąpiło ponure milczenie,
Ona ze smutną, a ja z twarzą ciemną...
Czułem, że cierpi zemną i nademną,
Jak gdyby znowu dźwigała kamienie.

. . . . . .
. . . . . .
Ona więc tak mnie pocieszywszy nieco,
Mówiąc o duchach, które w kraju rosną,

I obeznawszy mnie z tą piękną wiosną,
Do któréj myśli jak żórawie lecą:
Mówiła daléj: „Raz nam do klasztoru
Wieść przyszła, że nasz Biskup zmienił wiarę...
Nie wierzyłyśmy — lecz w godziny szare,
Kiedyśmy poszły na modły do chóru,
Strach jakiś przewiał nieznany kościołem
I powiał na nas niewidzialną siłą;
Każda myślała: a gdyby tak było!...
I przerażone padałyśmy czołem,
Jak małe dzieci, które dziad przeraża,
Nie śmiejąc rzucić téj nocy ołtarza.

Potém zostawszy ja sama w kościele,
Rzekłam: z Biskupa duszą się rozprawię,
Myślą go sobie przed oczy postawię,
Wzrokiem zapytam — jakie on ma cele?
Stanął mi: a ja sądziłam oczyma,
Która kość w nim drży — a która się trzyma[1]).
Strach mnie za serce przenikliwy ścisnął,
Bo stał wyraźnie i oczyma błysnął,
A oczy były od zwyczajnych różne,
Jak szkła wypukłe, świécące i próżne,
Wtenczas w przestrachu mój duch osamotniał:
Rzucam się znowu — krzyżem martwa leżę;
A takie poty szły aż przez odzieże,
Żem wstała — a krzyż na ziemi wypotniał.

---

[1]) *War.* Wkrótce przyjechał do nas w odwiedziny
Biskup — blask lejąc z krzyża czerwonego;
Ja tylko wtenczas spojrzałem na niego,
A wnet ujrzałam na nim ruskie czyny.
Raz tylko w oczy spojrzałam okropne,
Szkliste, wypukłe, wyraźne, roztropne;
A już, choć słowy podchodził zdaleka,
W oczach widziałam — wszystko, co mię czeka.

Po tylu latach męki i konania,
Już nie powtórzę dziś jego rozmowy —
To tylko powiém ... że do przekonania
Starał się trafić słodziutkimi słowy —
Siadł blisko .... sztuczka podstępna i chytra ....

Wkrótce przyjechał do nas w odwiedziny[1])
Biskup w orderze krzyża czerwonego.
A ja raz tylko spojrzałam na niego,
A trunek było czuć i woń stęchliny...
Raz tylko w oczy spojrzałam okropne,
Zimne — umarłe niby — lecz roztropne.
A choć przychodził do rzeczy zdaleka,
Już ja wiedziałam wszystko, co mnie czeka.

Po tylu latach męki i konania
Dziś nie powtórzę piérwszéj z nim rozmowy.
To tylko powiém, że do przekonania
Trafiał i prośbą i słodkimi słowy;
Siadł blisko — sztuczka podstępna i chytra,
Próbował i słów magnetycznych ze mną —
Była tam jakaś gregoryańska mitra...
Słowa mówione z trwogą potajemną
Jak węże skórą szeleściły suchą,
Dziwne — ogniste — zaszeptane w ucho.
On szeptał jak czart... wzrok miał obłąkany —
Szeptał... te słowa, mówię ci, szatany!
Nikt o nich nie wié, gdzieś po trumnach siedzą.
On tylko jeden i szatany wiedzą,
Jakie to słowa? skryte, ślepe krety —
Jakie to słowa? mówię ci, sztylety —
Nie słowa ludzkie!...

---

[1]) Drugi *War*. Wkrótce przyjechał ten odmieńca boży;
Ja tylko w oczy spojrzałam zielone,
A już mię przebił strach tysiącem noży,
Już prawie złotą, męczeńską koronę
Ujrzałam — w palmy kwieciste i róże
. . . . . .
. . . . . .
Wszystko, co potém przyszło z Boga ręki,
Te dopuszczenia.... to nic, mówię tobie,
Nic w porównaniu téj piekielnéj męki,
Którą duch w trwodze zadaje sam sobie,
Nic, gdy się męka widzialna zaczyna,
Gdy już ci wrogi stoją przed oczyma —
. . . . . .
(Z rękopisów drukowane w „*Warcie*). *(Przyp. Wyd.)*.

Pan Bóg mnie obronił.
A on téż inny ton wziął ze mną zaraz:
Będziesz, powiada, tu miała ambaras. —
To rzekł i nisko kołpaka pokłonił,
I wyszedł...

Ja téż wnet zebrałem mniszki
I przysięgłyśmy przed Panny obrazem,
Choćby nam przyszło umrzéć wszystkim razem,
To umrzéć — a te biskupy opryszki
Mocować, póki nam żywota stanie;
A nawet westchnąć i modlić się za nie,
Żeby przebaczył Bóg ..

Tegoć, mój drogi,
Trudno ci będzie już dzisiaj opisać,
Jakie to były u mniszeczek trwogi.
Jedne radziły do Rzymu napisać;
Drugie — nasypać prochów do piwnicy,
Beczki postawić radzą pod ołtarze;
Straszne rycerki — chcą odprawiać straże
Przy beczkach z prochem, z ogniem na gromnicy...
Wszystkie jak szpaczki, zbiegają się, radzą,
Wszystkie najlepsze pokazują chęci;
Lecz gdy mi z poczty papiéry oddadzą,
A ja się lękam rządowych pieczęci:
To stoją blade — nieme dreszczem ciała,
Strwożone laku samego zapachem,
I mnie na palce patrzą z takim strachem,
Jak gdybym święty sakrament łamała.

Przyszedł nareszcie rozkaz ostateczny:
Odmienić wiarę — lub się wybrać w drogę...
Gdzie? co? — nic więcéj. — Uczułyśmy trwogę,
Jak gdybyśmy szły w ciemność na sąd wieczny.
Tak nic nie wiedząc, co się z nami stanie,
Czy gdzie w łańcuchy? czy gdzie na wygnanie?
Czy gdzie na nędzę, chłód i wichrów szturmy?
W Sybir? — któżby się nas tam upominał!

Może, myślałam, posadzą do turmy
I tam oskarżą o jaki kryminał?
Dotąd mię jeszcze strach okropny bierze,
Gdy myślę — jaka to szatańska była
Ta ciemność wielka w rządowym papiérze,
Która nie mogła, a śmiercią groziła.

Wszystko, co potém z nami nastąpiło,
Otwartą, groźną przedsięwzięte siłą,
Nic takim strachem nam na dusze spadło,
Jako to piérwsze zagrożeń widziadło.
Pomyśl, którażby nie zmieniła céry,
Spojrzawszy w trupie te białe papiéry?
Papiéry pełne i groźby i siły,
A tak milczące, głuche, jak mogiły.
Strach nas, powiadam, dolatywał wszędzie,
W nas był... i szeptał strachami wygnania;
Męka to była nie do opisania!
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie.

Bóg upominał, lecz strzegł. — Wszystko potém
Było przynajmniéj już jasne, widome.
Cierpieć? my cierpieć byłyśmy łakome...
Z głodu umiérać? — a cóż, gdy pod płotem
Niewinny żebrak na mrozie przypieka?
Czasami żołnierz zgłodzony, kaléka,
A psi go tylko sami głodni strzegą...
Umiérać?... cóż my jak żebrak lepszego?
Męka gdy ciało już kąsać zaczyna,
To nic, duch wtenczas nabiéra odwagi
I samby prawie poszedł na miecz nagi;
Ale ta piérwsza zagrożeń godzina,
Gdzie wsparcia zniskąd, a ciemny strach wszędzie...
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie.

Zadrżałem: tak się ta święta podniosła
I z takim gestem zapalona cała
Polskim duchowym językiem śpiéwała
I w słowach niby rozognionych rosła!

Lecz się spostrzegła poważna matrona,
Że duch zebrany być musi do łona,
A nie ulegać zapału pokusie —
Jasny, spokojny, jak był duch w Chrystusie.

Więc zaraz wziąwszy z siebie takich tonów,
Którymi zawsze człowiek rządzić może,
Rzekła: chcesz słyszeć o moim klasztorze;
Powiém ci krótko kilka naszych zgonów,
Kilka męk. Już wiész zapewne od braci,
Żem była sama Przełożoną, Ksienią;
Widzisz, czém jestem — sądź z mojéj postaci:
Nigdy mnie ludzie podli nie odmienią,
Ani téż choćby złotem mnie przykryto!
Zwyczajną jestem, jak widzisz, kobiétą,
I taką byłam; — to jednakże powiem,
Żem niegdyś była panną myśli trwożnéj,
Bom się rodziła w rodzinie zamożnéj,
Psuta — na szczęście obdarzona zdrowiem
I wytrwałością . . . . . .
. . . . . .

Przyszedł dzień ofiary: —
Sam Biskup zjechał, zwołał uroczyście.
Wszystkieśmy drżały jak na drzewie liście;
Ja nawet jeszcze nie nabrałam wiary,
Trzęsłam się cała, zbiédzona, zalękła,
Strudzona, głowy znękana zawrotem,
Serce mi biło ciężko, jak by młotem;
Myślałam, że gdzieś wielka żyła pękła
I kropliskami ciężko w pulsa sieje —
Krew kapie — a jak dokapie — zaleje.
Słucham — a czuję, że już coraz bladnę:
Strach! — a cóż poczną biédne siostry moje,
Jeżeli trwogą zabita upadnę?...
Nie! przed Biskupem żywa już dostoję.

Ale Bóg dobry — o! tak, Pan Bóg dobry!...
Zaraz mi weszło coś do serca mocy;

Ha! pomyślałam: z Mieczysława Chrobry,
A z Mieczysławskiéj głaz w Dawida procy.
Niech czart próbuje; cóż? — choćby i bito.
Stanę mu twarz w twarz — niech walczy z kobiétą!
I znów uczułam, że ten poryw ducha
Przydał Siemaszce odwagi i siły: —
Więc znów zacięłam zęby — zimna, głucha;
Ducha do ciała, jak nogi stonoga
Zebrałem w sobie: jak na dno mogiły,
Zalękła poszłam do serca — po Boga!

A on, jak gdyby te straszne jaszczury,
Które złotymi jad oczami leją,
Spojrzał: — my stały spokojne, jak mury,
A on, choć z małą, jak sądzę, nadzieją,
Zapytał: A cóż, siostry moje drogie,
Chcecież przejść wszystkie na braterską wiarę? —
My nic; — on westchnął — i znów oczy szare
Obrócił na nas, ale już złowrogie;
Siostry mi potém mówiły, że w miarę
Jak się zapalał i rwał piersi wzdęte,
One już radość jakąś czuły, wiarę,
Różane moje, biédne siostry, święte...

Z umizgiem napół błagań i wyrzutów
Znowu zapytał jeszcze słodszym głosem:
Któraż z was łaską pogardzi i losem,
A weźmie...? — tu nam rzucił pękiem knutów!...
My nic. —

Oddechu wciągnął w schrypłe płuca,
Nareszcie nie mógł już więcéj, wrzał skrycie;
Więc jakby rynna, gdy błoto wyrzuca,
Wrzasnął i zawył: — Cóż? czy przechodzicie?!
Nie skończył, targnął się jak pies w łańcuchu;
My nic: — milczałyśmy i rosły w duchu.

Wtenczas on uczuł, że przed nami pada
I my się czuły mocniejsze od niego.

Widzę go teraz: — skry mu z oczu biegą,
Jak gdybyś widział gdzie żebraka dziada,
Który się na psy szczekające gniewa
I trzęsie klaszcząc, jak kościotrup z drzewa.
— Ja was, zakrzyknął, w powrozy, w łańcuchy!
Wy buntownice, suki, polskie duchy! —
Wywiérał na nas wszystko i wymiotał,
Zębami szczękał, kościami klekotał; —
My nic. — On wtenczas porwał krzyż, zdruzgotał
I wybiegł — drzwiami trzasnął — ze krwią plunął
Rozkaz Moskalom stojącym na dworze,
A echo od drzwi poszło po klasztorze,
Jak gdyby piorun za biskupem runął.

A my po sobie tylkośmy spojrzały,
Oczami mówiąc, że to wąż-lewiatan,
Żeśmy szatana zexorcyzmowały,
Że to nie pop był, ale wiatr i szatan.
A wtenczas tylko już nam bez oporu
Przed żołnierzami przyszło wyjść z klasztoru.

Nie wiész boleści, gdy rzucać przychodzi
Dom, gdzie nas Chrystus matkom z rąk odbierze
I duchem swoim jak matka odrodzi,
A potém jako swe jagnięta strzeże;
Nie wiész, jak w domu takim pachną ściany,
Kwiatki się błyszczą, śpiéwają organy.

Zebrałyśmy się: naprzód jedna z krzyżem,
Z Chrystusem, za nią my wszystkie strapione,
A na ostatku tknięta paraliżem
Staruszka dobra, prosta; ta zdziwione
Oczy na wszystkie strony obracała,
Sucha, niesiona prawie, jak trup biała,
Błyszcząca tylko w oczach, święta w duchu,
Ale bez władzy rąk i nóg i słuchu.
Jam tylko siostry zaklinała wzrokiem:
— Na miłość Boga! twarzami do mura,
Ażeby tego nie zabić praszczura
Naszymi łzami i naszym widokiem! —

Siostry téż były dobre i rozumne;
Jedna szepnęła: — Gdzieś wstąpim po kweście
I zostawimy ją u ludzi w mieście,
Albo do bramy gdzie rzucim jak w trumnę;
Przyjmą staruszkę — chleba wszędzie dają —
Przytulą biédną, złudzą, oszukają,
Rzekną, że po nią powrócim - a ona
Tak gdzieś zagaśnie, jak lampa strawiona.
. . . . . .
. . . . . Ja téż tak myślałam; —
A jednak nagle patrzę na tę starą:
Ona coś szepce i źrenicą szarą
Pyta mnie srogo; — nie odpowiedziałam —
Spuściłam oczy. — Klękłyśmy; ostrożna
Kazałem cicho śpiéwać Ave stelle;
Buchnął płacz — wstrzymać łez było nie można —
Płacz tak szarpiący, jak piekło; w kościele
Jęków, łkania i modłów taka zawierucha,
Że usłyszała nawet ta biédna i głucha!
Wtenczas mniszeczki obie chwyciła za szyje,
Zgięła, nóg wydobyła z siebie, wzniosła kije,
I wywijając tymi kijami nad czołem,
Jakby rycerzem była, jakby archaniołem,
Chciała bronić. — Pobiegłam — zémiło mi się w oczach —
Upadłam przed nią — zda się — cięta po warkoczach
Niby w gradzie pocisków — przerażona, drżąca,
Te białe kije trupa w tym gradzie widząca,
Chcąc te paralityczne pohamować złości,
Chwyciłam za kolana: — nogi jéj — dwie kości:
Spojrzałam w górę: — trup był z papieru wybladły —
Rozkrzyżowała ręce, kije z rąk wypadły —
Już jéj nie było — życia ani w jednym włosku —
Spuściła ręce — na mnie upadła jak z wosku
I głową się na głowie mojéj biednéj wsparła;
Wzięłam na ręce — trup był ledziutki — umarła!
Oddałam Bogu...

— Rzekłem: O matrono,
Która tak straszne opowiadasz zgony,
Jakie ty harfy, jakie ty masz tony?!

Kto cię Dantejską nakrywa koroną?
Odsłoń przedemną, chociaż do połowy,
Tajemnic twoich — niechaj je zobaczę!
Czy ty duch jaki stary, czy duch nowy
Przyszłaś jak Mojżesz prowadzić tułacze?

A ona: — We mnie sama matka płacze;
Nic ja nie jestem, o! nic ja nie jestem. —
Ale posłuchaj, co się daléj działo.
Wyszłyśmy z wielką i spokojną chwałą,
Z tym trupem matki jakby z manifestem,
Strach rozsiéwając podobny do mrozów
Pomiędzy ludem zgromadzonym w tłumie.
A tu ci wyznam i każdy zrozumie,
Że spodziéwałam się jakich powozów;
Bo przecież zbrojną otoczona rzeszą
Nie pójdę z siostry we zbójecką jamę;
Piérwszy raz okiem rzuciwszy za bramę,
Postrzegłam, że nas będą pędzić pieszo.

Słuchaj! — ty nie wiész, co w niewieścich duszach
Strach wstydu rodzi — brzęk bagnetów w uszach;
Nie wiész, jak drgają wszystkie żyłki ciała,
Gdy jakie brudne słowo w uszy wpadnie.
Słuchaj — gdym piérwszy raz ja w kark dostała,
To zabrzęczały zęby tak szkaradnie,
To piekłem zemsty zawrzałam — kobiéta,
Ja, Polka -- piérwszy raz na rynku bita!...

To, mój kochanku, mówię tylko tobie,
Abyś nie myślał, że ja cała święta;
Ja także byłam i gniewem wzdrygnięta.
Nawet myślałam o zemsty sposobie.
Potém dopiéro tak podniosłam duszę,
Że smakowały mi prawie katusze;
A Pan Bóg bronił mnie wielką prostotą
Przed kułakami, tak jak zbroją złotą.

A jakie piękne było wonczas lato,
I jakie piękne były łąki nasze!

Pomnę — na promie, pomimo pałasze,
Bagnety, zgraję kozaków brodatą,
Uczułam wielką i piękną pogodę,
Patrząc na lasy, na błękitną wodę;
I przypomniawszy sobie czasy w domu
Ciche, wpatrzyłam się głęboko z promu
W płynącą wodę; a wzrok widać chciwy
Wydał się ludziom głęboko szczęśliwy,
Bo zaraz Biskup, spojrzawszy w me oczy,
Krzyknął na dońca: — Dzierży! w wodę skoczy!
A doniec się też dotknął mego włosa,
A Biskup patrzał — kat w podłéj postawie! —
Rzekłam do księdza już z litością prawie:
W wodę? — czy myślisz, że to są niebiosa?...

To rzekłszy — oczy znów swoje zakryła.
A ja: — O matko! jak mi twoja miła
Powieść, gdy z trwogi do płaczu sprowadza;
O! jakie myśli z niéj słodkie się rodzą!
Więc gdyby niebo — to tybyś skoczyła?
Więc gdyby jaka ci niebieska władza
Rzekła: o matko — patrz, obłoki schodzą,
Wstępuj do światła po za ziemskie ciemnie...
— Podjęła głowę, wzrok wraziła we mnie,
Usta uśmiechem rozsładzając rzekła:
Widzisz — do nieba jeszczem nie uciekła,
A Witebsk blisko był téj strasznéj bramy,
Przez którą wskoczyć mogą męczennice...
Tam nas Moskiewki, okropne czernice
Wtrąciły wszystkie do wilgotnéj jamy,
A Klasztor cały był ciemny, pijacki,
Głuchy — i ciężki wszędy smród żołdacki
Łoju i skóry i prostéj gorzałki,
I wstrętu, który czynią zgniłe grochy;
A często kobiet bitych słychać szlochy
I świst wężowy smagającéj pałki
I pocałunków na katowskiéj ręce
Klask — i ćwiczonych skomlenie bydlęce.
O! czarne ruskie klasztory — straszliwe!
Piekło, powiadam tobie, piekło żywe!...

Teraz-że pomyśl: co my w takim brudzie
Musiały cierpieć — i westchnij do Boga!
Westchnij — bo ileż to cierpią tu ludzie!
Nim na grób przyjdzie zmordowana noga!
Lecz to dziwniejsza, że takie są miedzie
W sercu tu ludzkiém, ludzkich męczycieli!
Wiész, jak dawano nam bez wody śledzie;
Wiész, jak pokarmu zwykłego ujęli,
Jak obrócono ręce do mularki,
A grzbiety nasze pod kamień i chłostę:
To wszystko były męki bardzo proste,
Lekkie: po ciele szły czasami ciarki,
A czasem głodem krzyczały aż brzuchy,
Lecz duch nie cierpiał; — owszem rosły duchy
I potężniały znoju i głodu żniwiarki.
I raz gdy z lochu po miesięcznym głodzie
Wyszłyśmy nagle na słońce odkryte,
Tośmy krzyknęły: twarze były zmyte
Jakby w słonecznéj i różanéj wodzie;
Lubośmy żyły w lochu prawie gliną,
Rozpoił nas duch boży — tak jak wino.

Wtenczas nie wiedział już Biskup, co pocznie,
A chciał koniecznie przełamać kobiety;
W rękach miał dzidy — a w oczach sztylety,
A w serca patrzał: — zmiany chciał niezwłocznie.
Gdyby choć pozór, że z nas mniszka która
Weszła do cerkwi — obrazom się kłania...
Żadna! — dwie biédne spadły z rusztowania,
A jednę kamień urwany ze sznura
Z oczu nam prawie jak widmo promienne
Zdjął, lecąc jako młyn okropny z góry;
I tylko krwawe purpurowe sznury,
Plamiące długo białości wapienne,
Aż od samego, samego poddasza,
Aż do samego dołu cieknąc struga,
Przypominały nam długo i długo,
Że tak zabita jedna siostra nasza!
A jednak mimo to, że tak szkaradna
Śmierć była, takie nagrobki straszliwe:

Wszystkieśmy były do końca cierpliwe;
Bóg dał, nie przeszła z nas żadna a żadna.

Wtenczas już Biskup nawet nieco trwożny,
(Bo się rozniosło, bo już Witebszczanie,
Już jakieś ruskie powiedziały panie,
Że to nie klasztor, ale dom katorżny)
Wtenczas już, mówię, biskupisko stare
Byłby dał krzyże już i gwiaździne znaki,
Byleby tylko chwycić pozór jaki,
Żeśmy ugięły przed nim naszę wiarę.
Więc raz znienacka do cérkwi nas wiodą
Głodne, trzęsące się od zimna, trwożne;
Zarazem czoło Biskupa bezbożne
Ujrzała — topór ujrzałam pod kłodą:
O! na Chrystusa, co nam winy zmazał,
Sądzę, że topór mi Pan Bóg pokazał;
Bom nic nie rzekła — a nad rozkaz słowny
Mniszkom znak dałam w tak jasnych wyrazach,
Że żaden biskup, choćby jak duchowny,
Nie zrozumiałby. — W takich zwykle razach
Mniszeczki wszystkie czynią, co ja czynię,
Mówią, co mówię, wchodzą, gdzie ja wchodzę:
Teraz jak gąski stanęły na drodze,
Ja byłam woli całéj monarchinią,
Pasterką owiec; a w chwili szkaradnéj,
Kiedy uczułam w sobie taką władzę,
Rzekłam jak Chrystus, że nie stracę żadnéj,
A wszystkie razem w niebo zaprowadzę.
Rzekłam — i nagle porwawszy siekiery,
Ku Biskupowi poszłam: — Weź, Herodzie,
Weź, popie! — ścinaj łby i rzucaj w dwiery[1])
A do mniszeczek: — Kładźcie się na kłodzie!
Ledwiem wyrzekła, wszystkie buch na ziemię —
Każda na belce głowę, ku mnie oczy...
Myślałam wtenczas, że piorun wyskoczy
Z oczu Biskupa, lub jakie złe plemię
Czartów ognistych, krwawych nietoperzy

[1]) Carskie dwiery w cerkwiach. *(Przyp. Aut.)*.

Z pod brwi wyleci i na mnie uderzy.
Porwał żelazo — rękę wzniósł — skamienił —
I tak zacisnął, że zlodowaciała
Zielona jak trup — a sam się zapienił
I tym toporem mi tu koło kłęba
Cisnął i nogi — patrz — skroił kawała,
A potém w twarz mi dał i wybił zęba.
Ja tylko na to, nie zmieniwszy cery,
Choć z dwóch ran już krwią purpurową ciekłam,
Ząb mu podałam wybity i rzekłam:
Zawieś to między twe wszystkie ordery!

Ty może myślisz, że to duma świecka,
Mnie nieprzystojna? — na to nie ma zgody.
Pomyśl: — ja Polka! ja córka szlachecka!
We mnie gadały dawne moje rody,
W usta mi dziwne odpowiedzi kładły;
Ciało z nich było — a i od nich siła,
Walczyły za mnie, ja za nich walczyła;
Gdybym upadła, byłyby upadły.
Widzisz — potrzebne było nasze męstwo!
Widzisz, że przy nas zostało zwycięstwo.
Co? —

Drżałem cały — i z dalszego wątka
Powieści ledwo mogłem pomięszany
Spamiętać tylko jakieś straszne rany,
Które poniosły w brudzie niewiniątka...
We mgle rzucone duchy bez ojczyzny
Pomiędzy spite żołdactwo i diaki —
Wrzask, jęk i krwawe w powietrzu bielizny,
Jako sztandary i skrwawione ptaki;
A dół nietknięty nawet już pamięcią,
Kędy świeciły jak gwiazdy różane
Te głowy, z których twarze pozrywane,
Wybite pięści biskupiéj pieczęcią,
Butem żołnierskim przypieczętowane.

Co mówię? — głowy te — listy otwarte —
Mózgiem mówiły przez pieczęci zdarte;

Oczy gdzieś w błocie świécące i słomie
Ze krwi wystają niby niezabudki;
A ciała — ciała jak bez kształtu kłódki
Tarzały sobą jęczące po domie: —
Na widowisko tak strasznie zwiérzęce
Wejrz, Chryste Panie, i rozkrzyżuj ręce!

A wy, o smętnych pamiątek anioły,
Mówcie wy ciągle nad ludzi łożami
Sennych, to słowo okropne: Dziedzioły!
Tę wioskę mroźną, osłoniętą mgłami,
Gdzieś pod sosnowym śnieżącą się borem,
Z jedyną cérkwią ruską jak z upiorem,
Z troistą wieżą ciągle owronioną,
W prochach zorzanych błyszczącą, czerwoną . .
Ciągle to ludziom przed oczy przynoście,
Ciągle stawiajcie przed źrenice obie:
Niech czują w duchu te wieczne nudnoście,
Które ma człowiek niespokojny w sobie!

— W Dziedziołach — rzekła Pańska męczennica —
Już nie byłyśmy z sobą wszystkie razem:
Wiele nas padło pod biczem i płazem,
Dziesięć zostało bez ludzkiego lica,
A upiorami wszystkie tak strasznymi
Były, i kości tak miały popsute,
Że Biskup nawet już sam za pokutę
Nie byłby żadnéj pokazał na ziemi.
Te zostawiono w Witebsku, a drugie
Dziesięć w Połocku -- a z tego już miasta
Ja szłam z dwunastu siostrami trzynasta
Pod jesień, wicher, śniegi, nocy długie;
I stanęłyśmy w Dziedziołach, w klasztorze
Znowu, u czernic, lecz obmurowane;
Gdyby nie zimne kopuły blaszane —
Turma, nie klasztor.

Przy ogromnym borze
Stał, lecz w dziczyźnie takiéj zbudowany,
Przy takiéj wiosce i na takiém polu,
Że strach był może mocniejszy od bolu...

Noc w noc rozboje, żydy, markietany;
Czasem na jutrznię dzwonią — ciemno w szybach,
Zimno w celicach, ołów tylko brzęczy
Jak wóz z szynami, gdy idzie po skibach;
Słuchasz — a tam gdzieś na polach ktoś jęczy,
I nim umilkną rozżalone dzwony,
Staje ci w myśli, że tam trup czerwony.

Raz na tych smętnych dziedzińcach klasztoru
W poranek szary, pomnę, rąbię drzewo,
A tu na prawo jęk i brzęk na lewo,
Jakby dwa głosy, obadwa do wtóru.
Słucham i patrzę — otwiérają bramę —
Patrzę, kto wejdzie: — o polski mój Chryste! —
Mniszeczki wchodzą, jak my takie same,
Mrozem i wiatrem prawie przezroczyste,
Podarte na nich płaszcze i trzewiczki,
Nogi skrwawione przez mróz i przez grudę,
A twarze takie chude — takie chude,
A oczy — jakby na opłatkach świéczki.

I znów, ostatnich niby wołokitów,
Wpędzono drugą bramą pięć straszydeł;
Ci weszli, jako puszczyki bez skrzydeł,
W łachmanach. — Było to pięciu Unitów
Biédniejszych od nas: — jeszcze jakaś święta
Jasność kosteczek naszych się trzymała;
Ale ci ludzie... skóra im zczerniała,
A twarze mieli takie, jak zwiérzęta,
Już jakby Pańskiéj męczarni niegodne
I przemienione przez bezczestne męki;
Nos wklęsł, a naprzód im wybiegły szczęki,
Jak gdyby kąsać chciały, jakby głodne.
Każdy miał taką czaszeczkę łakomą,
Dziób taki na żer, w oczach takie skrzynie,
Żem pomyślała, jako po łacinie
Mój ojciec w czaszce ludzkiéj czytał: homo...

Tu pokazała mi na nos i wzroki
Jak człowiek, który gestem powieść krasi;

A ja postrzegłam w oczach dół głęboki,
W złomach jéj twarzy wyraz jakiś ptasi: —
Wstrząsłem się cały — zadziwienia krzykiem
Świadcząc, że dobrym byłem łacinnikiem.

— Te próby, rzekła, wściekłego Biskupa,
I różne męki przezeń wymyślone
Zniósłszy, byłyśmy nareszcie pławione...
— Matko! krzyknąłem — jako czarownice?
A ona: — Dziw się katów wymysłowi!
Był staw, jezioro, puste okolice,
Jakby przystojne męczeństwa duchowi,
Nad brzegiem jego wierzby jak upiory;
Tam nas, bywało, zaszywają w wory,
I tak zaszyte obwiązują liną,
A potém diaczki w łodziach wprzód posłani
Płyną i płyną, daleko, daleko,
I na tych linach wleką nas i wleką,
A popy krzyczą: postoj! albo: tiahni!
Słyszę dziś jeszcze tę straszną komendę,
Słyszę, jak we mgłach smętnie się rozlega;
Lud się, bywało, po nad brzegi zbiega,
A my, jaskółki pobrane na wędę,
W téj czarnéj wodzie po pas, to po brodę...
Cóż robić? — boską całujemy wodę
I milczym...

Dobrze to, kochanku, pływać,
Lecz strasznie, gdy cię w toń linami wloką.
Otóż tam, słuchaj — już mi się na oko
Anieli Pańscy jęli pokazywać —
A nie myśl, żeby widma jakie złote,
Albo zjawienia lub gwiazdy i róże;
Nie — Pańscy jacyś posłańce i stróże,
Przysłani na tę okropną robotę,
Jacyś Anieli, mówię, w ludzkich ciałach,
Co przez litosne patrzali się oczy.
Wśród tłumu zjawił się nam na uboczy
Szlachcic ubrany w szarych samodziałach,
Ekonom niby; — ale ja ci ręczę,

Ja tobie ręczę, synu, że ten człowiek,
Kiedy chce, strzela piorunami z powiek,
A z ramion, kiedy chce, rozwija tęczę.
Stał zawsze cichy i patrzał na popy,
Na nas, a wszystko poważnie uważał,
A mnie cichością swoją tak przerażał,
Że dziś go widzę — słyszę jego stopy.
Na milczącego więc kiedy wzrok rzucę,
To on w bok spojrzy, albo brwi podniesie,
Drogę mi niby pokazuje w lesie,
Oczyma mówi: żyj, bo ja powrócę!
O! ten to człowiek jeszcze dotąd widzi —
A to, co widział, pewnie Bogu powie.

Raz się już zbiegli z miasta nawet Żydzi,
Żydówki, ludu wszelakiego mrowie,
Bo się rozniosło, że my bardzo głodne.
Już od trzech godzin mokniemy w stawisku,
W gliniastych mułach i w traw wężowisku
Grzęznąc — zielone, jak grynszpany chłodne.
A krzyki „pastoj!“ na tych, co na łodzi —
A krzyki na nas: „która z was przechodzi?“
I znowu krzyki na łódkarzy: „tiahni!“
A sznur się prężył i naszymi głowy
Pluskał po wodzie... Do swego Jehowy
Wrzasnęli wtedy wielkim krzykiem Żydzi,
Myśląc: usłyszy, jeżeli nie widzi!
Dobre Żydziska, dobre Żydowice
Lamentowały — aj waj! bijąc w łono,
Nu! one głodne, pomarzną, potoną,
Nu! a gdzie Pan Bóg — a gdzie błyskawice?
Czemu nie biją?.... Słuchaj, gdy, bywało,
Te Żydy lament okropny zawiodą,
To serce moje, ot tak aż skakało!
O tak! skakało me serce pod wodą;
Bo ci powiadam, że są jakieś czary
Dziwne w modlitwach nawet obcéj wiary:
Chwyta cię obca, jak matczyna ręka,
Łzy w oczach stają i coś w sercu pęka.
Biedne Żydziska —

Raz taki był lament
I taka niby muzyka wspaniała;
Ja z wody, zda się, że święty sakrament
Widzę na niebie, takem rozjaśniała;
Wtém woda plusła nagle i zalała
Jednę mniszeczkę... Powiadam ci, smoki
Te sznury czarta — biły wód zwierciadło,
I jedno moje dziecko o dwa kroki,
Jedno maleńkie dziecko mi przepadło!
Krzyknęłam i mróz przeszedł mi przez kości,
W takiéj to wszystko stało się cichości;
Nikt nie obaczył — a choćby widziano,
Nikt by nie skoczył z ratunkiem pod wodą;
Żywot tam ludzki tyle szacowano,
Że my już nawet nie byłyśmy trzodą;
Czy ktore pomrą, czy które utoną,
Nikt nie dbał — głów już naszych nie liczono.

Wyznam ci teraz, że mnie potém zgonie
Strach wziął i zgroza dla ludzkich bezwstydów;
W około czarne, ołowiane tonie,
Tam gdzieś pisk popów—a tam gdzieś wrzask Żydów;
A tu podemną trup—nie wyszła dusza!
Może swe oczki we krwi jasnéj kąpie;
A mnie tu ciągną daléj za obróżę,
Co krok to może na biédną nastąpię,
Może nastąpię — oczy tylko mrużę,
A ona gdzieś mnie, ach! za nogi trąca,
Zimna — jak z wosku biała — i świécąca...
O strach! a tutaj ciągle prężą sznury,
Ciągle nas wloką w głąb i krzyczą; „tiahni!“
Już tylko nasze na wodzie kaptury
Jak stado kaczek — już noc na otchłani,
Już jakieś dziwne czerwone chmurzyska
Nachodzą na tę mękę tak okrutną,
A tak mi zimno, głodno — a tak smutno,
Że ot już chciałem pożreć te sznurzyska
Tam, i na poły niemi zadławiona
Buchnąć w tę wodę, przepaść, jak zginiona...
W oczach już moich niebo nie świéciło,

Żadnego blasku, łez żadnych nie było;
Już ogłupiałam — myślę tylko o tém,
Jakby się zalać wodą, najeść błotem,
Bo taka głodna byłam, tak pożądał
Mój głód chociażby maleńkiej okruchy,
Że mi aż z oczu ognisty wyglądał;
Tak się łamały we wnętrznościach duchy,
Jak ci czartowie, węże z krwawą twarzą,
Które pod krzyżem z ciał ludzkich wyłażą...
Wtenczas już widok okolicy dzikiéj,
Naszéj męczarni, błotnisk, pławby, popów
Poruszył nawet i Żydów i chłopów:
Powstały głośne przekleństwa i krzyki.
I raz Żydówka jakaś na brzeg bieży,
Obwarzankami złotymi świécąca,
Jak matka wpada, rozrywa żołnierzy
I karabiny w koziołkach roztrąca,
Dészcz poszedł srebrny, pył jak z kopca śniegu
Z tych karabinów rozbitych, a ona
Już nad nami, już na samym brzegu,
Obwarzankami złota i czerwona
Podniosła ręce — i tak jak żniwiarka
Tych obwarzanków nakryła mnie snopem...
Ja wtenczas, jako Noe nad potopem,
Kiedy pod tęczę już wchodziła arka,
Podjęta szczérą téj kobiety troską
I zachwycona jéj myślą matczyną,
Ujrzałam, mówię tobie, Matkę Boską
Jakby nad całą już polską krainą!
I z wód podniosłam ku niéj moje dłonie,
Krzycząc: O! Polskę moję całą ratuj, złota!
I do niéj wzniosłam dłonie, jak sierota,
W tych obwarzankach, jak w złotéj koronie.

Odtąd nie śmieli już więcéj biskupy
Otwarcie czynić z nami takiéj hecy,
Ale w klasztorze, jak na dnie fortecy,
Dręczyli żywe i chowali trupy.
Ku mnie zaś siła przystąpiła boża
I odpędzała odemnie te katy;

Możem zeświętla tą koroną zboża;
Może przez moje bolesne stygmaty —
Nie wiem: lecz pop już uciekał przedemną,
A uciekając sztyletował wzrokiem.
Bywało, kiedy w korytarzach ciemno,
To mój krok bywa najgłośniejszym krokiem
A chody popów, jak wężów szelesty;
Tu i tam ślepie migocą i chresty.

Nareszcie dolne nam oddano cele,
I tam już, same, w głodzie zostawiono.
Dwa garnce grochu, bywało, ja dzielę,
Wawrzecka sagan stawia i groch warzy.
A mój braciszku, nie tłusto i słono
Jadłyśmy!... ale było nam do twarzy,
Bośmy utyły na suchéj grochówce
I były silne, jak aniołów hufce...

I zaraz wszczęy się jakieś narady,
Co czynić — czego próbować?...
. . . . . .

Na tém stanęło: że my trzy najzdrowsze
W poselstwo wielkie pójdziemy do świata;
Niektóre chciały czekać wiosny, lata,
Lecz my, na wiatry duchy najsurowsze,
Jak stare Polki, zaraz ruchu chciwe,
Pozapalane w ogniach, niecierpliwe,
Ciągle, bywało, kręcim z koszul sznury,
Ciągle gadamy: jak, co, gdzie i kiedy?
Wtém raz mnie jeszcze Bóg w popów pazury
Dał i wybawił, jak owieczkę z biedy.

Pod wieczór idę po wodę z saganem,
A prawdę mówiąc, to wyszłam na zwiady.
Patrzę, przy pompie sam Biskup z polanem —
Choć grozą jasny, lecz jak papier blady.
Przy nim popiska, krwią po rękach ciekną,
Kije czerwone — znać, że kogoś bili —
Kręcą się — szemrzą, czasem sobie szczekną,

Chodzą, jak gdyby głowy potracili.
Zbliżam się cicho — aż widzę Unitów
Księży — pod pompą, z krwią jeszcze na brodzie.
Nadzy — już leżą jak trupy na lodzie,
Czarniejsi od tych lodowych błękitów!
Patrzę — co? a im woda na łby ciecze
I marznie — że tak poranione głowy,
Jakby zamknięte w puhar kryształowy,
Skrzą się — a brody twardnieją, jak miecze.
A nie słyszałem jęku, ani krzyków,
Tylko te ruchy straszne spazmatyków.
A Bóg uczynił z nich okropną zjawę,
Że stali, jako wielkie trupy — złote
I poplamione sińcami i krwawe —
Niby przysłani na ciemne podwórze
Jacy okropni Aniołowie-Stróże.
Daruj — lecz widząc te święte osoby,
Rzekłam: czy to wy, o biédacy głodni,
Coście w tak skrzące powchodzili groby,
Że mi jesteście tu nakształt pochodni?
Mówcie: ja wasze poniosę żałoby
Na świat — jasności, złotych trumien godni!
Bóg też wspomionął na pokorną cnotę
I oto wam dał takie trumny złote.

Tak ich żegnałam — a postanowiłam
Mniszeczek moich nie jątrzyć boleścią,
Ale aż na świat pójść z taką powieścią,
Aby świat wiedział, skąd idę, gdzie byłam,
Jaka swawola w popach wyuzdana
I jak katują wierne sługi Pana.

Wreszcie nadeszła ta noc pożądana,
Że cała ciżba popów, czernic pjana
Padła, snem ciężnim zjęta, jak ołowiem.
Wszyscy morderce! Toż jednakże powiem,
Że jedna z czernic dobre serce miała,
Często ukradkiem do się zawołała,
A dała grochu, soli albo kłosów.
Patrzaj — mam jeszcze od niéj krzyżyk włosów.

Ta jedna, sądzę, przeniknęła skrycie,
Że nam obmierzło już w niewoli życie,
Że już ot wolność nam w naradach wschodzi,
A nie wydała — niech jéj Bóg nagrodzi!

Otóż, wylazłszy po drzewach na mury,
Prędko skoczyłyśmy aż na dół z góry.
Wiatry nosiły nas — i zwolna kładły,
Bcśmy z trzeciego aż piętra upadły.
I zaraz, jako ptaki przestraszone,
Śnieg otrzepawszy z odzieży jak piérze,
Każda'śmy poszły szybko w inną stronę,
Myśląc, że gonią popy i żołnierze.
Nic nie pamiętam, czy skrzypnęła brama,
Czy téż duch jaki pędził strachu dłonią:
Ale sądziłam, że mnie wiatry gonią
I już dwie mile jak wiatr biegłam sama.
Tu się zaczęła nowa dla mnie męka.
Gdzie iść? — nie znałam ni drogi ni strony,
Przez trzy dni w lasach jadłam tylko szrony,
Dziwiąc się biédna, że ptaszków piosenka
Tak tam wesoło w lesie dzionek wita.
Ja mędrsza bardzo od ptaszków kobiéta,
A taka smętna.....

Weszłam nareszcie raz do jednéj chaty,
Gdzie nakarmiła mnie dobra niewiasta;
I obaczywszy na mnie siwe szaty,
Spytała: pewnie na odpust do miasta,
Matko? — Ja skłamać nie śmiałam wyraźnie,
Bojąc się wtenczas bardzo Pana Boga;
Co tu rzéc? smutek objął mnie i trwoga.
Ona mówiła do mnie tak przyjaźnie,
Pocałowała mnie jak matkę w ramię,
W imię przyjęła boże... a ja skłamię?
Wszakże już w myśli pełna tego dymu,
Który ćmi oczy, gdy duch w mocy wzrasta,
Wspomniałam sobie, że idę do Rzymu,
I rzekłam: idę na odpust do miasta.
A Bóg mi zaraz wynagrodził trwogę;

Bo ta kobiéta rzekła: to nie blisko!
I zaraz miasta mi dała nazwisko
I powiedziała jak najbliższą drogę;
Wszystko dar boży.....

Potém o trzy mile
W lesie idącą spotykam kobiétę.
Ta się tak do mnie uśmiechnęła mile,
Że w tym uśmiechu serce, jak odkryte
Serce na dłoni. Z tą ja w rozhowory, —
A ona: wiész ty, co słychać w Dziedziołach?
W strachu są wielkim podleśne klasztory —
Popy biegają tu po wszystkich siołach
I rozsyłają po drogach opryszki
Łowić ubiegłe trzy Polaczki mniszki.
To słysząc, z twarzą już bólem cierpliwą
Rzekłam: a czy już którą ułowiono?
A ona: pędząc żołnierze tą stroną,
Znaleźli przy mnie jednę, lecz nie żywą.
Mówią, że sama najstarsza, u ścieku
Jednéj rzeczułki leżała śród mostu,
Ot może tego, matko, jak ty wieku,
Z twarzy do ciebie podobna i wzrostu.
Właśnie gdy dońce stali przerażeni,
Nadbiegła w pogoń Biskupa kolaska.
Wysiadł i krzyknął: że to sama Ksieni,
Sama klasztoru Ksieni Mieczysławska,
I kazał ściérwo rzucić do strumieni.
Proszczaj! — I ściéżką poszła w głąb pustoży. —
Za odchodzącą patrząc w sosen cienie,
Rzekłam: to boskie było ostrzeżenie!
To anioł boży!
A ten trup zaraz mi zastąpił w głowie;
Bo myślałam, że się on nie rodził,
Lecz go rzucili z nieba aniołowie;
Że Bóg nim drogę goniącym zagrodził.
Odtąd już śmielsza szłam aż do granicy,
A jeszcze Bóg mnie raz tylko spróbował:
Taki mróz spuścił, że aż ze źrenicy
Krew szła. Gdzie spojrzę, lasy — drwa na pował,

Ale zapalić nie ma czém ogniska.
Skostniałam — chleba nie miałam okruchy...
Wtém patrzę: jakieś przy lesie pastuchy
I niespędzone owieczki z pastwiska.
Wolałam ludzi uniknąć tą razą,
A u tych owiec rozgrzać moje ciało;
Jakoż się mnóstwo matek nazbiegało
I na me nogi zimne jak żelazo
Kładły swe ciepłe łona, swe kożuchy,
Tak, że ja tymi niewinnymi duchy
Byłam ogrzana od nóg aż do twarzy
I uzdrowiona, jakby przez lekarzy.

— I tu umilkła — w górę tak patrząca,
Żem ujrzał srebro białego miesiąca
I tę zalaną radosnymi łzami
Wpatrzoną w miesiąc między owieczkami.
O! cudnie polski otwiéra nagrobek
Ten nowy pańskiéj męczennicy żłobek!

— To wszystko... Teraz tu, biédaczki moje,
Oto widzicie, jestem z wami, stoję
Gotowa, chociaż jeszcze trochę chora,
Gotowa, mówię, iść na powrót w drogę...
Tylko się spieszcie, dziatki — bo dziś pora,
Dziś... więcéj mówić wam teraz nie mogę!

To jest historya cała mojéj męki
I całéj téj biédnéj podróży.
Widzisz, kto Panu swemu wiernie służy,
Ten się dobywa cały z katów ręki.
Tu jestem z wami — lecz ci wyznam szczerze,
Że chciałabym się już dostać do Rzymu;
Tu wszyscy dobrzy, mam kadzidel, dymu,
Ale nie dzwoni serce, gdzie uderzę.
Przychodzą jacyś... jakby dziś z puchówek
Powyłazili — warzeni w dekokcie.
Patrzą, trefionych przekrzywiają główek,
Wzdychają w niebo i czyszczą paznogcie.
Słuchaj — ja prosta jestem, poraniona...

O! gdyby tu téż gdzie jaka serdeczna
Z doktorem swoim poważna matrona,
Z dziećmi... ja dzieci lubię, jestem grzeczna...
Nie! — wczoraj jakaś — słodka, jak patoka,
Z migreną w głowie, z bólem w każdym członku,
Hrabina... tak tu spojrzała z wysoka,
Jak gdyby miała sakrament w pierścionku.
Ona tam może bardzo Bogu miła;
Lecz szczebiotała o Świętych, jak sroka,
A oczki żółte, jak prążki mrużyła.
Wstałam — choć jeszcze na tę nogę chora;
A ona mi co? — po francusku gada
I prezentuje swego konfesora,
Młokosa, mówiąc, że dobrze spowiada...
Ot drugi raz mnie weź, w łańcuchy okuj,
A z tymi tutaj ludźmi daj mi pokój!
Ja chcę do Rzymu — —

Rzekłem: o mistrzyni
Bolesnych tonów, czarownego rymu!...
— Zakryłem oczy — Matko, jedź do Rzymu,
Jedź! twoje słowo może Rzym uczyni...
Lecz teraz ujrzysz na świętéj fortecy
Wyżéj złoconych tyarą krużganków
Błyszczące widma — by świętych młodzianków —
Pozastrzelane nikczemnie... przez plecy.
Ujrzysz ohydną wszędy cześć bałwanów,
Ujrzysz męczeństwo straszne ducha światów...
Może się spotkasz z ojcem twoich katów
I dasz mu piérwszy krok — do Watykanów!...
A jeśli krwawéj nie ustrzeżesz duszy,
A dasz ją jako wosk w tych ludzi ręce:
Królową ducha nam wyszlaś po męce,
Umarłą wyjdziesz po tamtéj katuszy!
Albo jeżeli cię znowu gorąca
Dusza, jak matkę porwie z téj mogiły,
To się uczujesz bez łez i bez siły!
Jeżeli święta — to już chyba klnąca...
Żegnaj — —

A ona swe oblicze blade
Wyszkliwszy na mnie: i gdzież ja pojadę?!
A ten krzyk taką był wielką rozpaczą,
Że przy nim jednym — tamte tylko płaczą.

TRZY FRAGMENTA Z POEMATU

PAN TADEUSZ (?) [1]).

I.

. . . . . .

Wielkimi gromadami — przez bramę do sieni
Wchodzą strzynadle [2]) złote i gile w czerwieni,
A nawet ów dziw lasu, tak rzadko widziany
Halcyon, a na Litwie zimorodkiem zwany,
Który czasem strzelcowi pokaże się w borach
Przez mgłę gałązek — niby w anioła kolorach,
Nad zwierciadłem przełomki — piękny i błyszczący,
Jak anioł, w równi złote skrzydła trzymający —
Nawet ów ptak pięknością zaklęty — i dziki
Zbłąkał się i nad domu zleciał gołębniki,
A potém nad sadzawki, w ogrodzie kopane,
Gdzie leszcze, karpie, pstrągi pięknie malowane
Wojski kazał powpuszczać.... ów ptak z jasnym grzbietem
Poleciał — i bił w ryby dzióbem, jak sztyletem.
Słowem wszystko, jak gdyby szukało uchrony
U człowieka, ciągnęło z lasów..... Smętne wrony
Zaludniły podwórze..... obozem się mieszczą

---

[1]) Z autogr. druk w „*Warcie*“ z r. 1881 Nr. 355 str. 3547 gdzie dodano następujący przypisek: »Jaki tytuł właściwie poeta chciał dać poematowi, z którego trzy tylko szczątki ocalały, nie wiadomo. Nazwaliśmy go na domysł *Panem Tadeuszem*, ponieważ w pozostałych fragmentach wchodzą: Wojski, Telimena, Zosia i Soplicowo. — Rzecz szczególna, że poeta brał sobie motywa z Mickiewicza, bo i o Wallendrodzie rzecz obrabiał dwa razy dramatycznie, a raz nadto jeszcze w niedokończonym poemacie.

[2]) Strzynadle, tyle zapewne co nasze trznadle. *(P. Warty).*

W topolach — gdzie pod wieczór wichrzają się — wrzeszczą,
I pod zorze gną czarną drzew obdartych głowę —
Wojski mówi, że wiodą swe sprawy sejmowe.
Tak ptactwem gadająca, choć mgłami ponura
Stała się ta litewska przemienna natura
Zawsze żywa — i z duchem ludzi zawsze zgodna,
Dobra — nie martwa — chociaż skościała i chłodna,
Właśnie jak Litwin, który śród świętych przymierzy
Skupił się w sobie — stężał — niby trupem leży,
A jednak pełny życia — i wielkiéj pamięci,
Gdy mu wróg wbiegnie — on go niby wąż okręci
Od nóg po pierś — pierścienie swoich wieńców skróci,
Rozwinie się — i trupa z objęcia wyrzuci.

. . . . . .

II.

. . . . . .

Ów to dwór Soplicowo, gdzie historya nasza
Odbyła się pod tchnieniem boga Boreasza
Inne wdział szaty, twarzy zupełnie odmienił —
Ów las topoli już się więcéj nie zielenił.
Dziedziniec — gdzie bławatki, cykorye i maki
Barwiły się, jak szalów indyańskich szlaki,
Teraz biały, wczorajszą zasuty zawieją,
A na nim ścieżki świeżo deptane czernieją
Od folwarków do dworu — od stodół do gumien —
Wszystko smętne, a domy stoją nakształt trumien
Na podwalinach.
Wszystko zamarło od czasu.
Z daleka ciemna wstęga sosnowego lasu
Sciemniała — widać przez las błękit bitéj drogi —
Wiatr przez nią leci — sosny jak litewskie bogi
Chwieją się — jodły siedzą, śniegiem przywalone —
Gdzieniegdzie drzewko ścięte — jak cegły czerwone
Poukładane w stosy.... inne do trójnogów
Podobne, jak ołtarze dawnych Litwy bogów,
Czerwienieją po lesie — osmętnione mgłami,
I sosen tak nakryte liściem — jak chmurami. —

O zimno! twoję piękność smętną — uciszenie
Lasów — i rzadkie słońca złotego promienie
Czuję dziś.... nakształt czaru i nakształt uroku,
Który wszystko ucisza.... i pod śniegiem chłonie. —
Z miłością-bym więc ciche zamieszkał ustronie,
W okrąg którego puszcza czerni się bezbrzeżna,
A nad nią we mgłach błyszczy Matka Boska Śnieżna.

W Soplicowie — choć już się zbliżały zapusty,
Zjazdu nie było — dom był cichy — prawie pusty.
Wczora właśnie — francuskie oficerstwo starsze,
Które wtenczas przez marsze i przez kontramarsze
Włóczyło się po Litwie z armią dowozową,
Opuściło gościnne zawsze Soplicowo.

. . . . . .

III.

. . . . . .

Noc była — wietrzna, śnieżna — a wichry śpiewały
W kominach swoje zwykłe płaczące chorały. —
Kobiety.... przy dwóch świecach — w bawialnym pokoju
Siedziały przy robótce, w zaniedbanym stroju,
Same jedne — wizyt się w domu swoim żadnych
Nie spodziewając — dla mgieł i czasów szkaradnych,
Gdy nagle przed oknami — jak świst, grzechot węży,
Zaszumiał przeraźliwie straszny brzęk uprzęży —
Straszny dla domu łoskot — z którym zwykle jadą
Sanie ogromne, liczne — tak zwaną szlichtadą,
Z napaścią, która domy półsenne odurza,
Jak napaść zbójców.... Taka przyleciała burza
Na dziedziniec. — Zlękła się Telimena mocno,
Spojrzawszy na szlafroczek i na odzież nocną —
Spojrzała przez okiennic szpary — a śnieg złoty —
Pełno kagańców; — bieży — zrywa papiloty,
W oczach widać, że straszne zobaczyła mary,
Lecz nie brzydkie.... krzyknęła do Zosi: „huzary!“
I uciekła.
Tymczasem wchodzi do pokoju
Człowiek niewielki wzrostem, w podróżnego stroju;

Sądziłbyś, że cywilny — gdyby nie miał szpady
Pod pachą — dosyć piękny na twarzy — i blady
Mimo zimna. Twarz była jak marmur niezmienna,
Owszem — rzekłbyś, że bielsza od mrozu — promienna,
Jak miesiąc złota.... Oddał lekki ukłon Zosi,
Ona się zlękła — oczy spuszcza — nie podnosi,
Nie śmie.... stoi jak posąg — a w sobie rozważa,
Czy ma uciec, czy zostać — poznała cesarza
Napoleona.....

. . . . . .

USTĘPY

Z PRZEKŁADU ILIADY HOMERA.

I.

Z PIEŚNI PIERWSZÉJ.

(od wiersza 1—492).

Achilla gniéw — i klęski zeń spadłe na Greków
Spiéwaj, bogini, bogów śpiewaczko i wieków:
Gniéw śpiewaj, który w ciemne piekło zaprowadził
Tyle dusz, i przed czasem tylu męży zgładził,
Na polach trupem całe położył zastępy,
Psy zwołał, i na ciała rzucił czarne sępy,
Przed losem i przed bożym upokorzył tronem,
Naprzód Achilla z czarnym skłóciwszy Memnonem.

Powiédz, w jakiéj nieszczęsnéj godzinie poczęta
Tylu nieszczęść przyczyna, ta kłótnia nieświęta?
Za jaką się swojego kapłana urazę
Mścił Apollo, okropną zwaliwszy zarazę
Na Greczyna obozy, tak że niesłychany
Był mór, i z trupów całe urosły kurhany?
A to wszystko, aby król krzywdzący kapłany
Ujrzał się sam — w cierpiącym ludu ukarany.

Stało się tak, że Chryzes, kapłan Apollina,
Któremu wzięta była przez Greki dziewczyna,
Jedynaczka, najmilsze dziecko, córka droga,
W płaczu wzniósł naprzód ręce, niosąc je do boga,
A potém się przed ludźmi rzucił na kolana —
Postać ojca, a w laury kapłańskie ubrana,

Wlokąc się z upodleniem i żebraczym wstydem
Za wszystkimi, najgłośniéj krzycząc za Atrydem:

„O króle! o hetmany, wołał, niech wam Bogi
„Miasto upokorzone położą pod nogi!
„Niech wszystko podług myśli wam zdarzą i dadzą,
„I cało do ojczyzny miléj doprowadzą;
„Ale niech stąd z próżnymi rękami nie idę!
„Oddajcie mi najmilszą córkę — Chryzeidę,
„Jeżeli nie z litości: złota wam odważę —
„Weźcie, lub was przed słońca obliczem zaskarżę...“

Krzyk był Greków i prawie jednomyślna zgoda,
Aby mu wrócić dziecko; lecz ojciec naroda,
Agamemnon, król dumny, w brance rozkochany,
Odepchnął klęczącego starca przed kolany
I rzekł: „Precz stąd, żebraku! włóczęgo i szpiegu!
„Precz od greckich namiotów i srebrnego brzegu!
„Jeżeli dbasz o głowę i o kości stare,
„Precz stąd — ani mi ufaj w święconą tyarę,
„Ani myśl, że na Bogów twoich zadrżę wzmiankę.
„Twoję córkę, a moję dziś miłosną brankę
„Chowam — skłonioną mojéj potędze i woli —
„Aż ją czas... uwiędniałą na licu wyzwoli
„Z moich objęć i w korną służącą zamieni,
„Płeć pozbawiwszy bieli — a oko płomieni.
„A wtenczas... to dziś dziewczę kochane i młode
„Poślę do Argos... płótno myć i nosić wodę.“

Rzekł; i kapłan milczący z pochyloną głową,
Smętny, do serca rdzenia rażony tą mową,
Odszedł... i brzegiem morza, gdzie o skalne ściany
Smętnie i głucho biły szumiące bałwany,
Szedł w myślach pogrążony, od świata daleki,
I tam, gdzie go nie mogły już usłyszeć Greki,
A bóg Apollo jeden ojcowskiéj się męce
Przypatrywał, do boga swego podniósł ręce
I zawołał: „O władco Smintu! urodzony —
„Stróżu Cylicki — z jasnéj i świętéj Latony!

„Ty, któremu Tenedu lud się kłania drżący,
„I tu i tam na moję ojczyznę świécący
„Boże! jeślim ja tobie z modlitwą i łzami
„Opasywał ołtarze lauru girlandami,
„Jeślim tobie ofiary składał, starzec biały,
„Puśćże teraz na Greków twoje wszystkie strzały!“

Tak się modlił; i zaraz ćmy sakramentalne
Opuściły Olimpu mgły i czoła skalne.
Sam Apollo — ognistym łukiem jak obręczą
Otoczony — w mgłach idzie, strzały na nim brzęczą
I smętną wróżbę niosą na doliny klęte;
Czoło boga ciemności chmurą obwinięte —
Pod nim flota, nad którą staje bóg wspaniały;
Łuk swój krzywy naciąga, srebrne puszcza strzały.
Naprzód muły oborne, i psy postrzelane
Padają, potém ludzie; powietrze rumiane
We mgłach ciężącą parą oddechy naciska —
Ciągły strzał szelest, ciągłe widać płomieniska.
Przez dziewięć dni i nocy trupy wożą blade,
Nareszcie dziesiątego dnia zwołują radę,
Na którą sprasza Achil, syn srebrnéj Tetydy,
Przez Junonę natchnięty, i tak na Atrydy,
Króle wyprawy, zaraz powstający z góry:

„Długoż tak zapatrzeni na Trojańskie mury
„Na tym fatalnym brzegu mamy podle ginąć?
„Nie lepiéj nam do miléj ojczyzny odpłynąć,
„Póki mamy do rudla ludzi i do wiosła,
„Niż czekać, ażby trupem zaraza wyniosła
„Ostatki ludu, Troi mieczem niewycięte?
„Wezwijcie też nareszcie jakie ludzie święte,
„Wezwijcie tu proroki: niech powiedzą, czemu
„Kazał nas Pan Bóg słońcu zarażać złotemu;
„A odkrywszy przyczynę, niech lekarstwo dadzą
„I snów się o to, z Boga idących, poradzą!
„A jeżeli to grzechy nasze temu winne:
„Pobijemy ofiarą barany niewinne,
„Cielce tłuste, a Boga łaskę ubłagamy,
„Że zdejmie te ze słońca i ciał sine plamy.“

To rzekł i siadł; — a Kalchas, ksiądz grecki sędziwy,
Pan ofiar i rozlewacz przeświętéj oliwy,
Jasnowidzący starzec, któremu mogiła
Nigdy nic nie wydarła i nie zostawiła,
Bo przeszłości i całéj przyszłości był świadom —
Wstał — i trwożny, bo nie śmiał rycerskim się radom
Wręcz sprzeciwiać... takimi słowy odpowiedział:

„Achillesie, kochanku Bogów! gdybyś wiedział,
„Jaką na grzechy nasze Bogi patrzą twarzą,
„Przez co znienawidziły, za co morem karzą.
„Zadrżałbyś! Lecz po wiedzę tych rzeczy nie sięgniesz;
„Chyba mi tu na głowę i na miecz przysięgniesz,
„Że Co powiem, rozkrywszy tajemnicze światy,
„Choćby to obraziło króle i magnaty
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . [1])

To rzekł prorok; a zaraz się w Agamemnonie
Złość zapaliła: powstał na błyszczącym tronie,

---

[1]) Miejsce tu wypuszczone wpisujemy z przekładu, dotąd drukiem nieogłoszonego, przez Jana Zborowskiego:

Powiem, lecz przysiąż wprzódy, wodzu mężny,
Że mi i słowem i ręką dasz wsparcie.
Bo że przeciwko mnie stanie mąż gniewny,
Król możny Argów, tego jestem pewny.
Gdy na słabego mocny się rozjuszy,
Choć w czas gniéw strawi, z sobą go uniesie
I żywi póty, aż wyleje z duszy.
Powiédz, czy chcesz mię bronić, Achillesie?
— Kalchasie, Achil prędkonogi mówi,
Co wiesz, mów śmiało, daremnie się trwożysz;
Bo nikt, na Feba miłego Zeusowi,
Którego wzywasz, gdy Achiwom wróżysz,
Nikt, póki żyję i widzę, z Danajów
U naw ci czarnych krzywdy nie wyrządzi,
Ni Agamemnon, pan szerokich krajów,
Który się w wojsku być najlepszym sądzi!
— Ani, dla ślubów ani dla ofiary,
Rzekł wieszcz ośmielon, gubi nas gniéw Feba;
Lecz że znieważył Atryd sługę nieba,
Nie wydał córki i odrzucił dary:

Pociemniał... pierś charknęła — oczy zapalone
Jak u psa pokazały w gałkach skry czerwone,
I tak straszliwy stojąc, z błyskawicą w oku
Zawołał: „O przeklęty nieszczęścia proroku,
„Którego spróbowałem nędzny tyle razy,
„Wieczny wróżbiarzu nieszczęść — i plag — i zarazy!
„Jeszczeż i teraz język rozwiązałeś na to,
„Śmiały starcze, abyś mię z wojskiem i armatą
„Poróżnił?... aby znowu przeciw mojéj głowie
„Jęli wierzgać i bunty podnosić Grekowie?
„Patrz, co mówisz... widzicie sztukę tego dziada?
„Oto na mnie jednego całą winę składa!
„Oto ja gniewu Bogów winien — syn szatana!
„Za to, żem słonecznego obraził kapłana,
„Żem ku brance nachylon, uwiedzion pieszczotą —
„Nie chciał oddać niebieskiéj dziewczyny za złoto...
„Prawda! bo mi téż drogie to nieporównane
„Dziecko, sztuk umiejętne — białe i różane...
„Ani mię Klitemnestra, gdym ją brał dziewicą,
„Nie zczarowała taką wonią — błyskawicą,
„Jako ta, wzięta ojcu gwałtem panna biała;
„Wszakże... gdyby dziś sprawa nasza na tém stała,
„Abym ja miłośnicy téj ustąpił komu,
„Zgodzę się: niech ma ojciec! niech wraca do domu,
„Jeśli tego wymaga sprawa pospolita —
„Choć kochana, choć moja, choć mieczem zdobyta,
„Niech idzie!... Słusznaż jednak jest rzecz, mówcie sami,
„Abym ja jeden, pierwszy wódz i król nad wami,
„Miał utratę? i wszemu panując ludowi,
„Sam jeden próżne serce miał — i namiot wdowi?...
„Byćże to może, aby bez żadnéj nagrody
„Król został — i ponosił wszystkie wasze szkody?
„Krew wylewał — i królem był — a tak jak sługą?...

Za to nas chłoszcze okrutnymi razy!
I nie odwróci Feb od nas zarazy,
Aż bez okupu będzie odesłana
Ojcu dziewczyna z pięknymi oczyma;
Gdy Chryza stuglów wspaniały otrzyma,
Może gniewnego przebłagamy Pana.

„Nie, za tę brankę — Grecya musi mi dać drugą...
— Nienasycony! krzyknął Achilles, zgłodniały
Na łup! a więcéj branek łakomy, niż chwały!
Zajęty ciągle tylko zuchwałą grabieżą!
Myślałby kto, że wszystkie do ciebie należą
Dziewczyny i bogactwa, przez rycerzy krocie
Pojmane... wszystko twoje, co leży na flocie!
A my — sam dym łykamy tylko, paląc grody.
Słuchaj! — Jeżeli jakiéj, królu, chcesz nagrody
Od wolnych... bo ja wolny tu przed tobą stoję -
Jeśli więc chcesz, to czekaj, aż weźmiemy Troję.
Wtenczas i ty pożywisz się, miast obdzieraczu,
Wśród płomieni, posoki, i wrzasku i płaczu...
Na to zaś król: „To ja się mam obedrzeć z łyka,
„A ty nic nie dasz?... patrzcie tego wojownika!
„Że silny, to już myśli, że jakie półboże,
„Nad Greki Pan — nademną królem — wszystko może!
„Nie, mówię wam, a próżnych słów nie będę tracić,
„Za brankę mi musicie po królewsku spłacić,
„Odliczywszy mi za nią złota góry spore...
„A nie — to pójdę i sam któremu odbiorę
„Jego brankę!... nie patrzę, na którego przyjdzie,
„Czy Ajax czy Ulisses — czy ty sam, Pelidzie!
„Choćbyście się wściekali, nic to nie pomoże...
„Zresztą czas to pokaże... A teraz na morze
„Spuśćmy łódź i wybierzmy sprawniejszych wioślarzy,
„A potém tę dziewicę przecudownéj twarzy
„Który z was książąt przez fal poprowadzi grzbiety.
„Ulisses mi to zrobi — albo też król Krety,
„Albo Ajax... a może też lepiéj przystoi,
„Że sam Pelid — i siebie razem uspokoi,
„Podjąwszy się poselstwa, i Bogi ubłaga...“
Na to Achilles — stokroć chmurniejszy, niż plaga
Niebieska — do zachwianéj podobny kolumny,
„Tyranie! krzyknął, żółcią zaprawny i dumny!
Niewolniku łakomstwa własnego i zbytku!
Wiecznie tylko swojego patrzący pożytku,
Podły — a nam rycerzom włażący na plecy!
Nie wiem prawdziwie, za co my się bijem Grecy,
Dla czego ja sam twoje wypełniam rozkazy?

Wszak mi Trojanie żadnéj dalekiéj obrazy
Nie zadali... w spokojne mi państwo nie wpadli,
Żyt nie palili — koni na łąkach nie kradli...
Daleko stąd się pasły moje tłuste stada —
W cichym kraju, gdzie jedno sam brzeg odpowiada
Grzmotowi srebrnéj fali, złote żniwa stoją...
Dziś — ja sam nie wiem, za co szalony pod Troją
Ja — i wojska, krzywdami tylko tutaj płatne,
Nie za obelgi kraju, ale za prywatne
Krzywdy, zjechaliśmy się tu całe pół świata
Walczyć — za jakąś ot tam krzywdę twego brata;
Dotychczas nie zyskawszy nic dla siebie sami,
Tylko guzy i ciała okryte ranami,
Lub podłe fraszki, które trzeba było kupić
Krwią własną... I ty jeszcze i z tych mię chcesz złupić,
Z tych jeszcze?.. to, com dostał, całe ludu hordy
Wyrąbawszy — przez ogień i szable i mordy —
Tę okruszynę, co tak wygląda nikczemnie,
Tak mniejsza od twych łupów, jak ty sam odemnie,
Chcesz splądrować?.. Więc złoto do twego namiotu
Płynie — a ze mnie tylko morze krwi i potu?
Albo mi to oddają, czego wszyscy nie chcą,
I miłość własną próżném kadzidłem podlechcą,
Bo sam wyznaj, tak ze mną czyniliście długo...
Ale odtąd ja waszym niewolnikiem, sługą
Nie będę! Mnie do kraju flota odprowadzi,
A z Trojanami sobie Atryd sam poradzi".
— Na to rzekł król: „Uciekaj... z serca tobie życzę,
„Uciekaj, ja na ciebie bynajmniéj nie liczę,
„A na groźby też nie dbam, sercem się trwożę.
„Patrz, ilu tu rycerzy — Pan Bóg sam pomoże,
„A królestwu szwankować nie da i osobie!
„Nikomu tak nie cięży wyższość — ile tobie.
„Gdzie kłótnie, gdzie krew tryska, gdzie pożar wybucha,
„Tam ty — tam kąpiesz twego okropnego ducha!
„Silniejszyś jest od wielu ludzi — sam wyznaję,
„Ale i siłę — to Bóg człowiekowi daje;
„Więc uciekaj! — więc łodzie swoje kładź na wałach! —
„Więc panuj tam gdzieś sobie spokojnie na skałach!
„Ja ciebie zatrzymywać i prosić nie każę,

„Tyle twój gniéw, jak sobie twoję przyjaźń ważę:
„Jedź więc i Mirmidony twe trzymaj w pokorze!
„Ale tu — ja król — rządzę, panuję i trwożę,
„Ty ulegasz! i to wiédz, że gdy Chryzeidę
„Poślę, wnet do namiotu twego prosto idę,
„A choćby gwałtem — jeśli opór kto utrzyma —
„Wezmę ci błyskającą ciemnymi oczyma
„Bryskę twoję... Wtenczas to przeklniesz po sto razy
„Dumę twoję i skore do obelg wyrazy,
„ I pokażesz w osobie swojéj pełnéj sromu,
„Że nad króla nikt wyższy — jedno Pan, Bóg gromu...“
— Słyszący taką mowę Achilles skamieniał,
Drżał cały — na przemiany potniał i czerwieniał,
Pierś mu się podnosiła — wściekłość i rozwaga
Walczą w nim, jak dwie wiedźmy... Gdy pierwsza przemaga,
To oczyma jak ognia pieczęciami piecze,
Już już na króla leci, zda się, że rozsiecze —
I znowu go rozsądek gdy zimny zatrzyma,
Stoi... i tylko błyska po Grekach oczyma.
W takich burzach gdy lewą prawicę zacisnął,
A prawą dobył miecza wpół z pochwy — i błysnął,
Gdy już miał biéc, a cały zdawał się szalony,
Zbiegła z nieba Minerwa — z rozkazu Junony —
Równo sobie ważąca dwóch rycerzy losy.
Zbiegła i Achillesa porwawszy za włosy
Złote i rozwichrzone, wstrzymała w zamachu.
Nikt jéj nie widział — stała ciemnościami strachu
Otoczona, sam tylko patrzy się w anioła
Achil i widzi oczu płomieniste koła
Świécące na powietrzu ogniście, i woła:
—„Przychodź, Minerwo — ręce do ciebie podnoszę!
Patrz! co ja cierpię... patrzaj, co od ludzi znoszę!
Patrz na tego Atryda bez czci i bez wiary!
Przychodź, świadkiem bądź razem obelgi i kary“.
— Na to Minerwa: „Na to mię widzisz zjawioną,
Abym ci uciszyła gniewu pełne łono.
Poddaj się rozsądkowi i spuść się na Boga,
Juno każe... A to wiédz, że zarówno droga
Niebiosom gwiazda twoja, jak gwiazda Atryda.
Mógł łagoduie, miecz schowaj — na Trojan się przyda —

A zawierz mi niebieskiéj, która mą źrenicę
Niebieską wtrącam w złotą przyszłości świetlicę
I czytam jasno w przyszłéj życia twego zorzy;
Zawierz, że ci Atryda tego upokorzy
Czas i wypadki same — tak że przed namiotem
Ujrzysz go z pokłonami dla ciebie i złotem".
— Na to Pelid: — „Łagodność mi wlałaś do ucha,
O Minerwo! gniéw ciebie serdeczny posłucha,
A krzywdę swoję ludzką wam Bogom zostawi.
Kto Bogu, temu także Pan Bóg błogosławi...."
Rzekł; i pośród zdziwionych Greków — jak z kamienia —
Stał, patrząc ciągle w oczy miesięczne zjawienia,
Aż się cień boski w kręgi tysiączne rozprysnął
I wrócił w niebo. Wtenczas miecz do pochwy cisnął,
A sam ostatkiem gniewu wrząc, rzekł do Atryda:
— „Greków to wstyd i ziemi téj całéj ohyda,
Że cię nosi, straszydło z różnych jędz uwite!
Ty psie na twarzy, serce masz tchórzem podszyte!
Bo kiedyż cię widziano, podły, czego wartym
Gdziekolwiek— czy w zasadzkach, czy w boju otwartym?
Za tyłem zawsze wojska, jak szatan się wiłasz,
My giniem, a ty na śmierć rycerzy posyłasz;
Bo téż to łatwiéj włóczyć po obozie nogi,
Łatwiéj okradać swoich — niż obdzierać wrogi!
I gdyby nie to, że cię nam na karki wwiodły
Losy .. i gniew Jowisza, o łakomco podły,
Gdybym w Grekach swobodę znał i miłość bratnią:
To ta twoja obelga byłaby ostatnią.
Bo już... lecz zatrzymany tu byłem przez zmorę.
Słuchaj więc, oto berło na świadectwo biorę:
Na to martwe w niém drewno, na tę gałąź suchą
Przysięgam, że na jęki greckie zamknę ucho,
Że tak jako ta gałąź umarła zostanę
Wiecznie! na Styxu ognie przysięgam rumiane,
Na Jowisza tron złoty — na Olimpu chmury,
Że choćby tu z ciał waszych Hektor walił góry,
A z żył waszych lał morze i rzeki czerwone:
Nie przyjdę — choć wołany, na waszę obronę
Nie przyjdę! — a poznasz to wtedy, gwałcicielu,
Że człowiek jeden taki, jak ja, waży wielu;

Poznasz — w Trojańskich ci się to tarczach pokaże,
Ile ty wart, i wiele ja na polu ważę!"
— Rzekł; i z największym gniewem rzucił pośród Greków
Na ziemię berło, złote tysiącami ćwieków.
Rzekłbyś, że z garści rzucił złotymi gwiazdami —
I siadł — nie dbając, że nań król namarszczył brwiami.
A wtém dźwignął się z krzesła zwolna Nestor stary,
Pylijski król — szanowny i mądry bez miary,
Hamujący od dawna te rycerze szybkie.
Słowa mu z ust płynęły, jak miód, słodkie — lipkie —
Wnikające. Przy szmerze téj słodkiéj wymowy
Dwa pokolenia przeszły — on zaś Nestorowy
Żył wiek, a swe pylijskie dobrze rządził Greki
Przez dwa (i coś na trzeci zachodząc) półwieki.
Ten w obozie przez wszystkich starzec poważany
Wstał i zaczął z powagą, przez wszystkich słuchany:
„O! jaki wstyd dla Greków — pociecha dla Troi,
„Gdy tu pomiędzy wami rzecz publiczna stoi
„Od kłóteń rozerwana... O! jakże to smutnie,
„Że nam przeciwne duchy wsiały takie kłótnie!...
„Wy młodzi — wy najpiérwsi — we wszystkiém na czele,
„Na Boga! ten wasz ogień zagaście w popiele!
„Nie ważcie sobie lekce, co wam Nestor gada —
„Wielkim ja kiedyś królom byłem za sąsiada!
„Takich już nie obaczy ziemia. . Któż dziś śmiało
„Z dawną Pirotousza porówna się chwałą?
„Z Dryjantesem odwagą, wziętością z Kneuszem,
„A cóż rzéc z cudownikiem owym Tezeuszem,
„Albo choć z Polyfemem?.. Tych ja wyliczyłem,
„Z którymi niegdyś ściśle i przyjaźnie żyłem,
„Będąc młody — palący się ogniem krwi żywéj
„I uczciwą zazdrością ku sławie uczciwéj.
„Straszni to byli ludzie — straszne wojowniki
„I łowce, czy to poszli z oszczepem na dziki,
„Czy na potworne jakie w pustyni straszydła
„Wpadli, tnąc łby centaurom, smokom z ognia skrzydła.
„Straszni ludzie! a często jednak radę brali
„Odemnie — nawet mądrość pewną przyznawali
„Mnie młodemu... Bywało, ci bohaterowie
„Nieraz mówią: słuchajmy, co nam Nestor powie.

„Tożby się i wam także posłuchać mnie zdało...
„Królu, nie bierz mu branki! wojsko mu ją dało.
„A ty też, Achillesie, spuść nieco z téj dumy,
„Niech król będzie nad nasze serca i rozumy!
„Ty piérwszy — tam gdzie człowiek sprawę mieczem czyni,
„Bogom podobny siłą — urodzon z Bogini;
„On — powagą wzniesiony i godnością trwoży
„Nad wszelkie syny boże — nad wszelki lud boży.
„Złączcie więc razem, złączcie niezgodne umysły!
„Niech siła i powaga wejdą w związek ścisły.
„Ty, królu, pozwól, że ja Achila złagodzę,
„A ty sam swego gniewu sobie ukróć wodze.
„A Boże broń — takiego nam stracić rycerza,
„Jak Achil, piorun wojska naszego i wieża...“
Skończył i usiadł. — Na to król ludów odrzecze:
„Lata twoje sędziwe, z ust miód słodki ciecze.
Ale powiédz, kto tego uhamuje ducha?
Królami on pogardza, nawet praw nie słucha!
Mająż mu wszyscy starsi uderzyć kolanem — —
On ma być prawodawcą — i wszechwładnym panem?
Jemu wojsko — wodzowie — ja sam się pokłonię?
Któż zniesie taką dumę siedzącą przy tronie?
Czyliż mu tutaj siła za przywilej stanie,
Gdy — —“
Przerwał mu Achilles i krzyknął: — „Tyranie!
Mam za to, żem ci służył — żem wkładał na szyję
Twój łańcuch — nie zapomnę tego, póki żyję!
Żem dekretom bezprawnym ulegał, mam za to!
Idź i rozkazuj sługom — nie mnie, autokrato!
Weź Bryzejdę — choć mieczem zdobyta na wojnie
I przez naród przyznana — weźmiesz ją spokojnie..
Co do mnie, od spraw greckich ręce mam umyte.
Odtąd — walczyć nie będę za żadną kobiétę.
Tę oddam — Bogi każą zapomnieć urazy.
Ale ty się nie skuszaj na gwałty dwa razy,
Bo drugi raz ci tytuł króla nie posłuży
I twoja krew się na tym ot mieczu zakurzy!“
Na tém ustała kłótnia — zakończona rada —
I rozeszła się wodzów poważna gromada.
Achilles z Patroklusem do swoich namiotów,

Atryd zaś na brzeg idzie.... Tam wkrótce był gotów
Okręt o licznych wiosłach — na nim posadzona
Piękna Chryzeis — przydan od Agamemnona
Ulisses w przenajświętszym posła charakterze;
I cielce złotorogie w błagalnéj ofierze
Ofiarowane, niższe zaległy pokłady.
Więc rozwinięto żagle i przez błękit blady
Poszła łódź...
Agamemnon zaś sam przedsiębierze
Oczyścić wojsko — święte zaczęto pacierze,
Wotywy, wodozlania, opłókania boże.
Myje się lud — wylewa czarne męty w morze.
Skróś, jak brzeg długi, leżą poświęcone w darze
Cielce, byki — kamienne Apolla ołtarze —
Na nich ogień — i wstęga dymu czarnowłosa
Wonności miłe bogom unosi w niebiosa.
Gdy tak wojsko zajęte za świętymi prosi,
W Agamemnonie gniew się na nowo podnosi.
Przy nim dwaj heroldowie stali do posługi,
Eurybates zwan jeden, a Taltybiusz drugi.
Do nich obu król krzyczy: „Wraz mi do namiotów
Achilowych po brankę, jeśli dać ją gotów!
Jeśliby się zaś wahał — człowiek niespokojny,
Powiédzcie mu, że przyjdę ja sam po nią zbrojny...“
Z niechęcią wypełniając srogi rozkaz pana,
Idzie brzegiem heroldów para zadumana —
Przychodzą. Namiot widzą do głębi otwarty —
Rycerz siedzi ponury, cichy, o broń wsparty —
Oba stanęli cicho w milczeniu na boku,
Nie śmieją ust otworzyć, ani pomknąć kroku —
Spuścili laski — niby zgaszone pochodnie —
O! piękny wstyd... Achilles wstawszy, rzekł łagodnie:
„Przecz nie wchodzicie? czemu stoicie u proga,
Święci posłowie ludzi, a czasem od Boga.
Wchodźcie! z czcią i pokojem będziecie przyjęci.
Do was ja, starce, żadnéj nie czuję niechęci;
Wiém, co poselstwo wasze od króla mi niesie,
Wyście temu niewinni. — Spieszaj, Patroklesie,
Przyprowadź Bryzeidę! — Wy zaś, ludzie święci,
Zapiszcie to, co powiém, głęboko w pamięci,

A z branką razem rzućcie to królowi w oczy,
Ten ślub: Że niech się Grecya krwią zraniona broczy,
Niech ginie, niech z całego obędzie się ciała,
Z krwi wysączy — to Achil tu jak trup, jak skała,
Tu... I ten król wścieczony — ten ohydny zdzierca,
W przestrachu, bez rozumu nad wojskiem — bez serca,
Niezdolny sobie w żadnéj zaradzić potrzebie,
Zlęknie się i zrozpacza — wściekły sam na siebie..."
Rzekł. — A Patrokles brankę przyprowadził — Ona
Żałosna w uciszonym smutku pogrążona —
Idzie — pod ręce starzy heroldowie wiodą
Żałosne dziéwczę, brzegiem kręconym nad wodą.
Achilles także w próżnym nie został namiocie.
Idzie na brzeg najdzikszy — siada przy fal grzmocie,
W błękit oczy utapia i siedzi, jak skała...
Z tych to błękitów niegdyś jego matka wstała.
On też nad niemi — we łzach — serdecznéj goryczy
Siedzi i do krzyczących fal tę skargę krzyczy:
„O Matko, o Bogini rządząca tą wodą!
Oto ja syn twój, umrzéć przeznaczony młodo,
Pod takim smętnym losem miałem przecie prawo
Żywot mieć krótki, ale otoczony sławą!...
I patrz, co ze mną czynią Bogowie — co czyni
Ciskacz gromu — patrz, matko moja, o Bogini!
Tak-że to dotrzymuje Jowisz obietnicy?
Otom zhańbion wydarciem miłéj niewolnicy,
Zelżony przez Atryda, pod obelgą jęczę..."
Słyszy to biała Tetys, gdzie w podwodne tęcze
Zanurzona w pałacach boga Oceana,
Słyszy i z fal wytryska tak niespodziewana,
Jak widmo z mgły; do syna po fali przybiega,
Pyta o troskę — prosi — miłośnie nalega.
„Zwierz mi się, mówi, bożku przesrebrnego lica!
Ja matka — ja najlepsza twoja powiernica."
Na to Achil westchnąwszy: — „Wiadomo ci pewnie
Wszystko wiedzącéj Boży, Olimpu królewnie,
Żeśmy tu przypływając z naszą grecką flotą,
Zdobyli gród Apolla jasny — Tebę złotą,
Skąd zdobycz krwią żołnierzy i Greków czerwona
Była równo pomiędzy wodze podzielona.

W tym podziele dla Agi naszego Memnona
Przypadła, jak powszechna była na to zgoda,
Najcudniejsza dziewczyna — panna — Chryze młoda,
Boskie stworzenie, bogom ulana do miary...
O to się dziéwczę zgłosił ojciec — kapłan stary;
Z podarunkiem i królów téż ufając łasce,
Kapłan o złotém berle, w laurowéj przepasce
Przyszedł — starzec kurzawą okryty podróżną;
Chciał płacić — błagał — jęczał: lecz wszystko napróżno.
Choć za nim brat królewski mówił — choć zdaleka
Za tym ojcem przemawiał głos każdego Greka:
Wszystko napróżno! Atryd był na prośby głuchy...
Wtenczas ojciec ów, Boga swojego i duchy
Zakląwszy, to uczynił, że Bóg słońca mściwy
Szelestem strzał i jękiem powietrznéj cięciwy
W słońcu zaćmioném stanął, i wypuścił mory.
Wnet to odgadli nasze oboźne znachory —
Wnet kapłan pojął krzywdę Bogom uczynioną.
Rósł gwar — ja sam kapłanom stanąłem obroną,
Zwołałem radę. — Na niéj nasz kapłan proroczy
Królowi jego winę prosto oczy w oczy
Wypowiedział. Wtenczas to ten monarcha w gniewie
Niehamowny, przez chuci spalony zarzewie,
Cóż czyni?... Oto Chryzę oddaje, a za to
Bryzeidę, co była moich ran zapłatą,
Moich namiotów światłem — porywa mi w złości
Przeciwko wszelkiéj wierze i sprawiedliwości
W obliczu Greków!... I gwałt taki krwi nie zrodzi?...
O! nie — Ty Matko, któréj białe skrzydło chodzi
Po niebieskich błękitach, gdzie jest gwiazdom droga,
Ty leć, ty nieś tę krzywdę syna przed tron Boga!
Wszak mi często mówiłaś, że Bóstwo czerwone
Piorunami... raz tobie winno swą obronę,
Gdy się przeciwko niemu — pod Olimp wysoki
Podniosły zbuntowanych aniołów obłoki;
Gdy sama Juno pawie skrzydła przeciw Panu,
I Duch mądrości — i Bóg straszny Oceanu
Podnieśli — zapalone straszną dumą duchy —
Gdy szli i Boga chcieli już okuć w łańcuchy:
Ty jedna, jeśli dobrze pamiętam... z otchłani,

Kędy leżeli twórce skał spiorunowani,
Wywołałaś straszydło dawno niewidziane,
Stureczne, Bryjarejem na Olimpie zwane,
U nas zaś Egeonem... i duchów potopem
Pochwycony tron Boga, onymto Cyklopem
Podparłaś. Sam się Neptun cofnął przed tym chłopem,
Sama Juno — gdy on przez obłok różnotęczny
Zaczął swój ruch okropny, wichrowy, stureczny, [1])
Cofnęła się — ukorzył się wnet Olimp cały,
Duchy się zlękły, Boga jednego wyznały,
Łańcuchy upuściły... To, matko, z zapałem
Powtórz, klęcząc przed Boga wielkim trybunałem;
Tą usługą — u kolan Boga położoną —
Skrusz go! niechaj na Greki spojrzy brwią zmarszczoną.
Niech je uciśnie!... Niech się ginącymi widzą!
Niech sobie tego króla, sprawcę nieszczęść, zbrzydzą!
Niech go samego wreszcie przymusi niedola
Spuścić głowę nad smętnią przegranego pola!
Niechaj krwawe — żałobne myśli go przymuszą
Wyznać się względem ducha mego — niższym duszą!..."
Na to Tetys: — „O! dziécię moje nieszczęśliwe,
Rzekła, a mówiąc, z oczu sypała łzy żywe,
Perły oceanowe — bogdajbym ja była
Nigdy cię przeciw sądom losów nie rodziła!...
Bo i krótko żyć tobie! i żyć taki smutek!...
Albo przynajmniéj, gdyby jakikolwiek skutek
Miały matki pacierze — a ty był na wojnę
Nie przyjechał, lecz w kraju życie wiódł spokojne,
Ani się znalazł pod tym straszym Ilionem,
Gdzie każda prawie chwila tobie grozi zgonem!...
A teraz — cóż ja mogę?... To jedno, uboga
Matka, że twe modlitwy zaniosę przed Boga,
Że dotrę do samego Jowisza na tronie;
A ty, synu — nic nie czyń! czekaj, stój na stronie!...
Jowisz teraz z Bogami odszedł nieba stropów,
I udał się na ucztę — aż do Etyjopów,

---

[1]) Ruch ducha, który broni Bóstwa, straszniejszy w siłach, niż Morze i Powietrze, Neptun i Juno. *(Przypisek Autora).*

Aż na kraniec ostatni gorącego świata,
Gdzie zwykle na dwanaście dni co roku lata
I widzialnie z duchami między ludźmi gości
Dla niesłychanéj tego ludu niewinności,
W któréj się dziwnie kocha. . Czekaj więc, aż z onych
Puszcz złotych — ludów czarnych — granitów czerwonych
Bogi wrócą na śnieżną Olimpu fortecę,
A wtenczas ja z prośbami twojemi polecę,
I one Jowiszowi samemu przełożę."
To rzekłszy, odstąpiła cokolwiek na morze
Piękna Tetys — na miejsce skąd wybłysła była,
I w otwarte się fale zielone wrzuciła;
A one ją wieńcami kapiącego śniegu
Zarzuciły. Sam Achil został się na brzegu
Zrozpaczony — —
Tymczasem Ulisses przybywa
Do Chryzy — dna złotego kotwicą zarywa,
Żagle powiązać każe; potém ofiar stada
Wychodzą na brzeg — Chryzys ostatnia wysiada,
Wygnanka — w swe rodzinne wraca okolice...
Sam Ulisses przecudną prowadzi dziewicę —
Prosto z nią do świątyni Feba... gdzie ją stawia
Przed ojcem i w te słowa do starca przemawia:
„Witaj, święty kapłanie! w kościół poświęcony
Wchodzę jako suplikant od Atryda strony.
Nietylkoć bez okupu dziéwczę twoje hoże
Wracam — ofiarę jeszcze na ołtarz przywożę.
Bóg daj, aby się anioł tém ubłagał biały
A przestał na nas ciskać morowymi strzały.
Rzekł; a ojciec przyciskał już dzieweczkę oną
Próżno odszukiwaną, boleśnie straconą —
Rozradowany. Greki zaś już ołtarz święty
Otoczyli tłustymi byki i skopięty,
Na ręce zlali wody przeczyste, lustralne,
Przygotowali słone placki ubłagalne,
Kapłan nareszcie w strasznéj wystąpił powadze,
Wzniósł ręce i niebieskie tak upraszał władze:
„Boże srebrnego łuka! o ty, który złotą
Cyllę napełniasz twoją świécącą istotą,
A na Tenedu fali zachodzisz i wracasz

I wyspę moję Chryzę cudownie ozłacasz:
Jeśli się to starego kapłana obrazy
Mściłeś, o Panie, takiéj rozsianiem zarazy:
Bądźże mu teraz łaskaw, gdy twéj łaski szuka,
Prosząc za ludźmi, a spuść twą cięciwę z łuka."
Tak Chryzes prosił — wnet go usłuchał Apollo.
Tymczasem Greki zboże pomięszane z solą
Sypią ówdzie, gdzie rogi nosi byk wspaniały;
Bydłu głowy podnoszą, rzną — i tną w kawały,
Ze skóry łupią, cząstki najlepsze z łopatek
Oczyszczone, w słoniny srebrny liść i kwiatek
Ubrane, bogom święcą -- składają na stronie;
Kapłan staje nad ogniem świętym, wznosi dłonie,
Poświęca Bogu jadło woniące — ofiarne,
Obrzędy święte pełni — wino leje czarne;
Ogień za modlitwami w niebo czyste goni,
W około młódź w złocone instrumenta dzwoni.
A gdy się zadość stało przez człowieka ręce
I ogień, gdy łopatki i wnętrza bydlęce
Poszły ofiarą bogom będącym daleko,
Resztę mięsiwa Greki rozdzielają — pieką,
Na stołach kładą, równe między sobą dzielą,
Sycą głód — potém winem swe duchy weselą.
Stokroć czara obchodzi młodzieńców gromadę
I wraca. Pieśń nareszcie zakończa biesiadę.
Już słońce zaszło w mroczne, mgliste oceany,
A oni jeszcze ciągną długie swe peany
I wyciągają długie, smętne nuty z ducha —
Brzmi powietrze, Apollo przyzwala — i słucha.
Tę noc przy łodziach spali; lecz skoro różana
Jutrzenka nad błękity boga Oceana
Rozsypała swe róże, oni ze dniem wstają,
Żagle podnoszą — wiążą -- łódź czyszczą, zmywają,
Wiatr pomyślny napełnia żagle i wydyma —
Płyną — morze przed łodzią grzmi, pieni się, zżyma,
Nareszcie już Tenedos piaszczysty i złoty
Widzą i pomięszane z łodziami namioty.
Przybijają do brzegu — wyciągają nawę
Na piasek — sami idą zdać z poselstwa sprawę;
Weszli w obóz, z gwarną się pomięszali zgrają...

W Pelidzie zaś okropne gniewy nie ustają.
Pod namiotami swymi bezczynny się kładzie,
Ani go w boju widać, ani też na radzie.
Żuje zemstę — na wiatr zeń idzie próżno siła,
Mgła go ognistych, czarnych duchów otoczyła...

II.

Z PIEŚNI XVII.

(od wiersza 1—131).

Gdy tak trup Patroklusa zabity na ziemi
Pomiędzy zwyczajnymi leżał umarłymi,
Menelaj — piérwszy serce poczuwszy, przypada,
Staje przy trupie, tarczą złotą go zakłada,
Broni, a kopią w ręku miedzianą pobrząka.
Tak łani zabitego gdy widzi jelonka,
Matka biédna — przybiega i łzami go rosi,
Pyszczkiem dzieciątko swoje rusza i podnosi;
Podobnież i on — gdzie nań grad pocisków leci,
Stoi — i przy tym trupie, tarczą krągłą świéci.
Wtenczas syn Panteusza — ów co sławnie strzela —
I z trupa i z wiernego zwłokom przyjaciela
Urągowisko czyniąc, wybiega i mówi:
„Słuchaj! jeśli być nie chcesz podobny trupowi,
Ty coś stanął strażnikiem umarłego ciała,
Precz stąd! Jam zabił — Dla mnie z niego łup i chwała.“
W Menelaju się na to złość zagotowała,
Wzgarda wytrysła, podniósł do Jowisza dłonie;
„O! jak ty się tam musisz, krzyknął, śmiać na tronie!
Ty Boże na piorunach siedzący czerwonych,
Ilekroć się tu ludzie chełpią z dzieł kradzionych.
Lew w mocy taką dumą na kudłach nie wzbiéra,
Ani się tak najeża skacząca pantera,
Ani niedźwiedź — pastérskiéj przestrach okolicy,

Nie dmie się tak, jak próżni ludzie — śmiertelnicy.
Ale nad ludzi rodzaj gorzéj się napusza —
Bóg widzi — to potomstwo nędzne Panteusza.
Wczoraj jeszcze zgładziłem i zmiotłem ze świata
Temuto samochwalcy rodzonego brata;
Wczoraj Hyperenora te skrwawione dłonie
Wydarły żywotowi i ojcu i żonie;
A ty równego losu chcesz, próżna istoto?
Ha! jeśli tak, to dobrze, idź w Stygijskie błoto!
Idź — albo mi się celem nie stawiaj na oku
I mądry — póki pora — uchroń się wyroku!"

Na to Euforb: „Strasznymiś mi przypomniał słowy,
Że mi za krew braterską trzeba twojéj głowy
Że ojcu ona memu i brata się wdowie
Należy... Walcz, a sami osądzą Bogowie,
Któremu z nas fortuna zostanie i sława!"
To mówiąc, cisnął włócznią. Ale ta niekrwawa
Po puklerzu wydawszy brzęk, na dół zleciała.
Atrydowi Jowiszem ojcem pierś nabrzmiała,
Uderzył — w gardło trafił — od razu zabija.
Świéci się wielką raną przewiercona szyja —
Wali się na wznak ciało — z mosiężnymi grzmoty
Upada — we krwi swéj włos rozsypuje złoty,
Kamionkami i złotą przetykany nicią —
Włos, który wodne nimfy z ulotną kibicią
Prawie mogłyby za swój wpleść w pereł korony —
Teraz na ziemi — w prochu i we krwi zbroczony!..
Tak w pięknéj okolicy, gdzie oliwne drzewko
Tańcem listków i kwiatów i ptaszęcą śpiewką
Wesołe — na błękitach jak wymalowane
Stało, od źródeł w ciągłą zieloność ubrane —
Wtém wionął wiatr z północy — a oliwka ona
Leży odarta z liści i wykorzeniona;
Już nie ozdoba, ale gościńca zawada...
Tak właśnie Euforb. Atryd ku niemu przypada,
Zbroję zdziéra — podnosi w górę — dumą płonie,
Pierzchają przed nim ludzi szeregi i konie,
Pierzchają, jako kiedy z gór królewskie zwiérzę,
Lew, schodzi — to zmykają przed nim psy — pastérze,

A on zwaliwszy wołu — łapami przytłoczy
I spokojnie w nim swoje białe zęby broczy
I tak bezpiecznie swoją zatrudnion zdobyczą,
Ani dba, że pastérze, psy i echa krzyczą. —
Wtenczasto już Appollo sam ujrzał, że pora
Pobudzić duchy — choćby samego Hektora.
Postać więc wziąwszy na się Hektorowi znaną
Menteja, stanął zdala mgłą wymalowaną,
Niby ów wódz Cykończyk, i krzyknął z daleka:
„Nie złowisz woza, który przed tobą ucieka,
Ani dogonisz z wiatru urodzone konie,
Przyzwyczajone jeno pod Achilla dłonie
Kark schylać. Próżno biegasz przez polne błękity!
Tu wróć — Troja pierzchnęła — Euforbiusz zabity,
Euforbiusz — pełny ognia — zabity na wieki —
Spartańczyk zabił — patrzaj, tryumfują Greki!“

To rzekłszy bóg, ulotnił swe mgły piękne, blade
I wmięszał się w rycerzy walczących gromadę.
Ale w ucho ścigacza Achillowych koni
Smętnie i przeraźliwie ten głos boga dzwoni.
Spojrzał, jedném spojrzeniem obleciawszy, zoczył
Euforba ciało, który na piasku się broczył;
Spartańczyka, że zbroją zeń obdartą błyskał,
Widząc, rzucił się — Trojan szeregi pościskał,
Ogrzmił głosem — jak Wulkan z nimi szedł, i szalał
I wiódł i ogniem całe szeregi zapalał.

Na głos Hektora Atryd wielki podniósł głowę
I taką z sobą samym rozpoczął rozmowę:

„Mamże teraz odbieżeć podle tego ciała,
Które tu za mnie ta śmierć nieszczęsna spotkała?
Mamże ścierpieć, że z mego przyjaciela zbroję
Zedrą? czy wziąć na siebie Hektora i Troję?..
Nie byłoby to — gdybym tak poczynał sobie —
Kusić Bogi, w Hektora stojące osobie?
Wszak zabić go nie w moim to stoi wyroku:
Przebacz mi więc, o Grecyo, jeśli cofnę kroku,
Ja, com się w boju teraz zmęczył i zadyszał...

Gdybym przynajmniéj gdzie głos Ajaxa usłyszał,
Gdybym go gdzie wynalazł! Snadniéjbyśmy razem
Obronili to ciało miedzią i żelazem
I Achillowym smętnym trupa łzom oddali"...
Rzekł; a już czas go naglił — Troja nakształt fali
Szła — Hektor sam na czele, za nim zbrojna tłuszcza.
Co widząc Atryd, ciało Patrokla opuszcza,
Cofa się walcząc. Tak lew z rozognioną skronią,
Gdy go krzykiem, strzelaniem od ściérwa odgonią,
Ucieka — ale oczy straszne w ludzi wraża,
Obraca niemi — strachem goniące przeraża.
Tak on... aż swe Spartany spotkawszy, na nowo
Postawił pierś ku wrogom — w krąg obrócił głową,
Przez chmurę pyłu ujrzał, jak wyniosłe drzewo,
Boską postać Ajaxa, szeregom na lewo
Stojącą, ociemnioną strachem, krwią zmazaną,
Pierś jego, która Grekom dzisiaj była ścianą,
Odwagę, z któréj ciągle szło w boju natchnienie.
Ku niemu król: „Ajaxie, błagam cię na cienie
Miłych, trup Patroklusa zastępuję niemy;
Chodź, zbawmy go od hańby — więcéj nie możemy —
Chodź — Achillowi wróćmy przyjaciela zwłoki!
One tam nagie — we krwi zwalane potoki
Pod Hektora nogami i urągowiskiem...
Chodź!" — Odpowiedział na to Ajax oczu błyskiem
W serce ruszony. I wnet oba wodze wściekli
Przez tłumy się walczących rycerzy przesiekli,
Nadchodzą... Hektor trupa już miał włosy krwawe,
Już go dać psom trojańskim przysięgał na strawę,
Już ciągnął, gdy ogromną tarcz Ajaxa zoczył;
Zadrżał — porzucił trupa — na wóz złoty wskoczył
I odjechał, a sługi wprzód wyprawił swoje,
By do miasta odnieśli Achillesa zbroję.

III.

Z PIEŚNI XXI.

(od wiersza 342—396).

Zaraz ją wysłuchawszy, duch elementarny
Błysnął złotym płomieniem, dym wyrzucił czarny,
Biegnie, zapala trupy — zwiędniałe wywędza,
Wodę w wrątek zamienia, w koryto odpędza;
A jako pod jesiennym Boreasza tchnieniem
Srebrzą się pola letnim spalone płomieniem,
Podobnie grunt się szary i kościami biały
Świécił w ogniu, już cały żałośnie zwiędniały.
Prędko po trzcinach płomień chwyta się, przelata,
Rzekę jakoby w pierścień ognisty oplata;
Drzewa się popalone węglem, prochem walą,
Lilije więdną — czarne tamarynty palą,
Cyprys w piramidalne zamienia się zgliszcze,
Ogniem dotknięta woda burzy się, wre, świszcze,
Zajmuje się płomieniem... w roztworzone płuca
Ryba chwyta powietrze, z wody się wyrzuca —
Znów nurtuje i zimna szuka w ciemnéj skale
I wywrócona, brzuchem wychodzi na fale.
Aż nareszcie duch rzeki sitowianą głowę
Podniósł, spojrzał ogniowi w oczy, schwycił mowę
Razem z krótkim oddechem i rzekł: „Ognia Boże!
Któż twoim płomienistym skrzydłom dotrwać może?
Słabszy — mdleję. Niech będzie los, niech Troja kona!
A ty zdejm ze mnie twoje ogniste ramiona“.

Rzekł; i znowu ogniowi będący zdobyczą
Zajęczał; wrą ukropy, fale kipią, syczą.
Tak ogień, gdy miechami ofiarnymi wzmagan
Otoczy pełny wody i tłustości sagan,
Obwija go tysiącem jasnych, złotych węży,
Jęczy sagan, wytryska para — w dymach cięży:
Podobnie woda ogniem Wulkana dotknięta
Huczy, wytryska, staje, zdębia się cofnięta,
Aż nie widząc ratunku sobie z żadnéj strony,
Ozwała się do boskiéj powietrznéj Junony:

„O Saturnina żono — ze łzami powiada,
Dla czego twój syn na mnie taki wściekły wpada,
Przeciwko innym Bogom niech używa siły!
Jeśli chce, niech ma z Troi gruzy i mogiły!
Ja się poddam pod twoje rozkazy książęce,
Lecz każ, niech zdejmie ze mnie te ogniste ręce!
Jeśli nie wierzysz, słuchaj duchowéj przysięgi:
Niech Ilijon otoczą te pożarne kręgi,
Niechaj wieżom porobią warkocze i włosy!
Ja się temu nie oprę; choć Bóg — uczczę losy“.

Ta prośba tak Junony poruszyła serce,
Że zaraz ognistego wstrzymała mordercę.
„Stój, rzekła; za śmiertelnych ty nie walcz, archanioł,
Przeciwko archaniołom!“ — Ogień zaraz stanął,
A fale w spokojniejsze powróciły życie
I znów słodko zagrały w mruczącém korycie.

Gdy tak Junony wola uśmierza rozłogi,
Większym gniewem na siebie szły duchowe bogi,
Wściekłością zapalone na siebie wzajemno.
Wichrzą się — na Eterze od wzburzonych ciemno,
Pod ciemnością posępnym chmury biją grzmotem,
Daléj ziemia grobowym odtętnia łoskotem,
Walka pełna zawichru, huku i płomieni —
Jowisz pogląda z góry i twarzy nie mieni,
Puszcza los, a tymczasem drzewce piorunowe
Podniósł straszny bóg bitew — na wojny królowę.

„Coć, rzekł, szalona wiedźmo, do tego powiodło,
Żeś między Bogi nawet wniosła twoje godło?
Jestże to dziw, że twoim odurzony szałem
Człowiek na Boga godził mieczem i postrzałem?
O Tydeuszu mówię, który mi za wroga
Stanął i zaczerwienił dzidę we krwi Boga...“
. . . . . .

POETA I NATCHNIENIE.

FRAGMENT.

POETA.

Atesso!

DUCH.

Jestem; alem uciekała,
Bo mię ta dziwna pieśń w otchłanie niosła.
Wszak wiész, żem z tobą razem zmartwychwstała
I razem z tobą znowu razem rosła.
Wszak wiész, gdzie oliw czarny gaj i skała,
I srebrne ogniem ozłocone wiosła;
Wszak wiész, ta chata nasza bez zapory,
To falerneńskie wino i amfory

I w ścianach różne marmuru odlamy
I strumień, co tam w takt lutniowy ciecze;
Wszak ty pamiętasz — bywało, czytamy,
A ja Eschyla tobie rym kaleczę;
A gdzieś daleko na onyxie bramy
Słońce, na tańca pirejskiego miecze
Wzięte, przez liście cytryn się przeciska
I w oczy nasze zamyślone błyska.

Tam chór prowadzą młodzieńce na polu,
A tam z Hymetu księżyc biały miga...

POETA.

Dosyć, o duchu biały, bo mi z bolu
Znów serce pęka...

DUCH.

O! ten sen mnie ściga!

POETA.

O straszny boże burz, o ty Eolu,
Coś ze skał wiatry wypuścił na Fryga,
Dziś pomieściłeś wszystkie akwilony
W grobach i z mogił moich dmiesz szalony —

DUCH.

Spokojnie, o mój kochanku!

POETA.

Spokojnie!

DUCH.

Jesteś jak nimfa Echo.
Ja ci mówiłam po Farsalskiéj wojnie,
Że mak, co rośnie pod Greczyna strzechą,
Nie uśpi,... harfa, chociaż zagra strojnie.
Chociaż wesoło, nie będzie uciechą;
Że pamięć kształtów będzie w sercu brzydła.
Wtenczas wyrosły mi motyle skrzydła.

I poleciałam... gdzieś na jakąś górę,
Nad którą słońce w krwi, księżyc w zaćmieniu,
Męka, co całą męczyła naturę,
I krzyż na słońcu w czerwonym pierścieniu,
A ja... w te śmierci otchłanie ponure
Na moich skrzydeł tęczowym promieniu
Lecąca, jako dziś, patrz — upior blady,
Ja, piérwsza z różnych piękności Hellady...

Czemu nie patrzysz na mnie? o! czy żal ci
Mojego włosa... pełniejszego łona...
I ducha tego, co jak czarę kształci
Pierś... i pięknością oblecze ramiona?
Teraz patrz — wiatr mi kształt spokojny gwałci;
Gdy zadrżysz, jestem ja sama wzruszona,
Oczy się moje jak szafir kryształą,
Rany na nogach i rękach się palą...

POETA.

Rany twe płoną — widzę — szafir nocy
Ma z twoich strasznych ran cztéry pochodnie.

Pal się!... nie mogę żadnéj dać pomocy.
  Tylko to powiém, że przez krew i zbrodnie
Szukałem ciebie, rosnąc w piękność mocy,
  Która po twojéj trzyma niezawodnie
Najpiérwsze miejsce u samego Boga...
On wié, że w moim duchu nie miał wroga.

Lecz ty aż teraz, jak krzyż zapalony,
  Przyszłaś, kiedy ja wichrem nieszczęść zbity
I tak jak sztandar kulami zniszczony,
  I tak jako hełm Hektora bez kity,
I tak jak harfa, co straciła tony,
  I tak jako trup w grobowcu odkryty,
Na bezlitosne wystawiony wzroki
I tak widzący swój zgon, jak proroki,

Walę się w prochu... Gdzie byłaś, siostrzana
  Duszo, kiedym ja cierpiał? czy pod krzyżem
Z tęczowych twoich skrzydeł oberwana
  Śmiałaś się, gdym ja stutysięcznym spiżem
Na świecie imię obwoływał Pana,
  A sam, spędzany zawsze skrzydłem chyżém
Śmierci, musiałem nędzny grób rozrywać
I sam przychodzić i znów odlatywać?

Gdzie byłaś, gdym tu nareszcie za karę
  I za ostatni los — z potęgą słowa
Wstał, słysząc w duchu jakieś wieki stare,
  Których ogromna szmerność podgrobowa...

DUCH.

Przy tobie byłam; przez powietrze szare
  Snułam się cicho, jak wizya tęczowa;
Obłok nas jeden tylko dzielił cienki,
Taki łagodny, jako róż jutrzenki.

W dzieciństwie twojém samotna... a potém
  Musiałam z większą liczbą mar przychodzić
Cicha — gwiazdowém uwieńczona złotem,
  Smętna, że duszy twojéj rozpogodzić

Nie mogłam. Przestań już pamięci lotem
W dalszych się wiekach twoją myślą rodzić...
Patrz, jak w stygmatach piękna, w górne sfery
Lecę, ran niosąc zapalonych cztéry.

POETA.

Nad tobą wyżéj...

DUCH.

Co?

POETA.

Trzy milijony
Słońc i duch jakiś...

DUCH.

Co? posłaniec boży?

POETA.

Tam głębszy szafir — z pod słońca korony
Na trzech obłokach niby lekkiéj zorzy
Jak jaka srebrna lampa zawieszony
Pali się miesiąc — liczba gwiazd się mnoży,
Wyiskrza szafir, na nim jak stal pryśnie
Coś, co od słońca jaśniejszego błyśnie.

Ach! od słońca by w oczy mi nie biła
Taka ogromna jasność, jak z tych oczu
Spuszczonych! cały świat rozweseliła
Oblana słońcem złotém po warkoczu;
Taka miłości w niéj ogromna siła,
Że gdy stanęła na ciemném przezroczu:
Słońc się girlandy — niby zawrócone
Żórawie — wiążą w ognistą koronę.

Siostro! twe rany mocniéj się płomienią,
A z twoich oczu wesołość wylata,
I szaty twoje się jak tęcza mienią,
I pierś — wzniesiona, i skrzydli się szata.
Nie leć! te słońca ciebie opierścienią,
Jak powój, który kołem się oplata;

I tam zostaniesz, statui starożytnéj
Podobna — śród słońc złotych — przy błękitnéj...

DUCH.

O nie zostanę! bo w téj gwiazd powodzi
Ona się zniża, i z duchami swymi
I na miesiącu swym na ziemię schodzi,
Bo zapragniona jest znowu na ziemi.
Oto więc na swéj półmiesięcznéj łodzi
Płynie, rękami sypiąca złotymi
Litosną miłość... dawno tak widziana
Na wyspie Patmos przez świętego Jana...

Patrzaj na ciemne szmaragdowe lasy,
Zniżyła się tam i rzuca z pod siebie
Dwa wielkie tęczy rozwiniętéj pasy,
Które się od niéj zaczęły na niebie.
Przychodzą nowe na świat Pańskie czasy;
Niechaj umarły swych umarłych grzebie!
A ty, nie maż ust światowym piołunem,
Ale téj łaski Pańskiéj bądź zwiastunem!

Widzę, jak oczy twe światłami skrzą się
I za tym widem przeszły i wróciły
Bez łez... Czyć zawsze napisano w losie
Nie być miłości duchem, ale siły?
Mów do mnie! może w twoim smętnym głosie
Nie będzie echa podziemnéj mogiły.
O nie! ty cały łamiesz się w boleści,
A twoja ręka szuka rękojeści...

POETA.

To nic — jam pobladł... duch mój jest otchłanią
Tęsknot i musi strzéc się własną mocą.
Czuję, że gdybym ja poleciał za nią
Tam, gdzie te światła całą ziemię złocą,
Byłbym jak jedna z gwiazd, co się tumanią
I przez tęczowe jéj rąbki migocą,

I już już własnéj twarzy mieć nie mogą,
A ja tu czekam w ciemności —

DUCH.

Na kogo?

POETA.

Żaden duch nie jest bez przyjaciół własnych,
Żaden głos nie jest bez ech — po za światem...
Raz ja nad Ikwą [1]) po mych łąkach jasnych
Błądząc, znudzony błękitem i kwiatem,
Bo mi w pamięci koral twych ust krasnych,
Co perły takim obwodzi szkarlatem,
Jaśniéj się palił; i twoje oblicze
Skrzyło jak słońce myśli tajemnicze;

Znudzony, że mój głos tu nie pomaga
Ludziom w niewoli, ogień serca pije,
A ciągłéj szczęścia ofiary wymaga
I ciągle serca mego jadłem żyje,
A tu na świecie różna jakaś waga
Waży wypadki... człek podłością tyje
I spity winem, pieśń, co aniołowie
Dają, za pościel kładzie i wezgłowie: —

Siadłem pod chatą kobiety cmentarnéj,
Co odmykała trumnom kołowroty;
I pełny byłem wtenczas myśli czarnéj
Jak Brutus... który na twarz białą cnoty
Krwią swoją rzucił — a u gospodarnéj
Kobiéty były z malw ogromne płoty,
I z nędzą piękność tak złączona sielska,
Że chata się ta zdawała anielska.

Wszystko mi jakiś wzrok duchowy blady
Przemieniał w dziwy: zda się — rószczką trącę,

---

[1]) Rzeka płynąca pod Krzemieńcem, miejscem urodzenia poety. (*P. W.*).

A te malwowe z tęczy kolumnady
  Dostaną nieba; a te pałające
Cynowe miski, to jakby na składy
  Rusałki swoje oddały miesiące,
A te na półce girlandami świécą
I gdy kur nocny zapieje, wylecą.

Ja byłem wtenczas dziécię — lecz do gliny
  Kiedy wejdziemy, my straszniejsi z duchów,
To mamy straszne w dzieciństwie godziny,
  Gdzie duch bez żadnych więzów i łańcuchów
Ma ostrzeżenie. W mogilne doliny
  Chodzimy chętnie... niby dla podsłuchów.
A duchy wtenczas rozmawiają z nami
Same, lub tylko natury ustami.

Otóż i wtenczas w myślach moich zamęt,
  Zwątpienie było — rozpacz nad ubitą
Polską... Gdzież, rzekłem, jest taki sakrament,
  Coby w niéj martwéj chodził siłą skrytą,
Jak krew żyjąca?... taki był mój lament,
  Który me oczy wnet zamienił w sito
Siejące perły łez. A wtém od Boga
  Przyszła nauka wielka i przestroga.

Skrzypnęła czegoś jedna stara belka
  I poruszyła gniazdo jaskółczychy;
Z gniazda wypadła ptaszyna niewielka
  Bez piérza, mały zimny trupek, lichy;
Więc potém tego dziécka rodzicielka
  I ojciec w domek przylecieli cichy
Prosto do gniazda, do swojego kątka
I nie znalazłszy swojego dzieciątka,

Wyszli oboje — Boże, z jaką wrzawą?
  Wié matka, któréj ludzie dziecko skradli...
Wreszcie ujrzeli go pod moją ławą —
  Oboje z nieba jak martwi upadli,
Ojciec na lewo, a matka na prawo;
  Usiedli przy niém, a skrzydła tak kładli

I tak włóczyli biédaczki za sobą
Jak płaczki ciężką okryte żałobą.

Lecz śmierć ptaszęcia taka była świéża,
Tak niespodziana, taką zda się zdradą
Niebios, że ojciec matce nie dowierza —
Oboje w dzióbek żér mu jeszcze kładą,
Dzióbkami ciałka próbują i piérza.
A ono z główką wyciągniętą, bladą,
Z początkiem tylko dziécięcych skrzydełek
Leży, jak srebrny na herbie orzełek.

Więc — o! niewiaro cudna, rodzicielska,
O! długie, piękne tych serc niepokoje,
O cudna myśli w ptaszkach, już anielska! —
Za skrzydła wzięli dzieciątko oboje,
I wyżéj niż tam brzoza, nimfa sielska,
Rozrzuca swoje girlandowe zwoje,
Podnieśli... myśląc że w niém lot roznieci
Życie, że z dzióbków puszczone... poleci!

Tak połączone przez biały dyjament
Stało nademną w niebie biédne stadło.
Potém je może zdjął rozpaczy zamęt,
Bo upuścili dziecko... a to spadło;
A oni siedli nad niém znów i lament
Taki podnieśli, że mi lice bladło,
Serce bolało, tak jak dzisiaj boli,
Bo coś tam dla mnie jest w téj paraboli...

O tak! nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak trup leżąc w grobie zbrzydła:
Potargam wprzódy ją pieśnią za piérze,
Położę wprzódy na pieśnianie skrzydła,
Porwę ją z ziemi, tak jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świéci,
Puszczę... jeżeli żywa, to poleci...

Dziecinna to myśl, duma to dziecinna!
  Jam się sam rozbił piersią o granity,
Ale głos ani też lutnia — niewinna...
  Cóż ty mi teraz pokazujesz świty,
Gdzie inna matka, ta królowa gminna,
  Dzieciątka swoje podnosi w błękity,
Tak lekko duchy podnosząca wolne,
Jakby z łąk brała piękne kwiaty polne.

Cóż ty mi wróżysz tym pięknym widokiem
  Tęcz i błękitów? za mną inna strona
I duchy, co się na pieśń zbiegły tłokiem,
  Od których była już ogniem czerwona,
Ich tchem trująca, tętniąca ich krokiem...
  Dobranoc! — harfiarz wasz posępnie kona!
Klnie wam i kona... precz straszydła stare!
O siostro! odpędź odemnie tę marę!

DUCH.

W powietrzu widzę trzy...

POETA.

Trzy przyszły razem?

DUCH.

Twój włos zjeżony operlił się potem!

POETA.

Patrz za cerkiewnym, o! tym — bohomazem
  Powietrze całe się wydaje złotem...
Zapewneś przyszedł od duchów z rozkazem?
  Albo mi lirą powstać — albo grzmotem!
Tak zwykle gadał — gdy mu się podoba,
To w jęku głosy te połączy oba.

Teraz nie mówi nic; lecz stoi srogi
  I zda się, twarz mi swoją w pamięć wraża.
A tamten — patrzaj, tak piękny, jak bogi —
  Który wygląda także na harfiarza,
Ale instrument ma bardzo ubogi,
  Sam widać był téj harfie za stolarza —

Dziwna!... rybie w niéj srebrzą się ościenie
I labradorskie Sybiru kamienie.

Struny, podobne do starych badylów,
Pod palcem tego ducha drżą spróchniałe.
A co? czy dobrze na niéj panna Nilów
Grała, wywiodłszy ciebie gdzieś na skałę
Kamczatki, kędy jasne roje gilów
Latały słuchać, gdy jéj rączki białe
W powietrze pełne mgieł, duchów i szronów
Lały z téj harfy girlandami tonów?

O powiédz, jakie ci sny o młodości
I o twéj miłéj ojczyźnie wyjęczał
Jęk téj źle z renów ostruganéj kości
I téj dziewczyny głos, który wyręczał
Anioła stróża, a ty — o litości!
W oczy jéj patrzał czyste, u nóg klęczał,
A drugą myśli połową pieśń mijał,
Palił dom, ojca w płomieniach zabijał...

Powiédz, czy w harfie téj dziś jest żałosny
Tego dziécięcia jęk i skarga cicha?
Czyś ty pomiędzy aniołami głośny
Tą harfą? Czy ci ręka nie usycha?...
Patrz... ten duch, niegdyś tak mało litosny
Temu dziewczyny sercu, teraz wzdycha
I lirnikowi palcem pokazuje,
Jakby chciał mówić: patrzaj, on to czuje!

Precz bladzi! — i ten trzeci, co nad głowy
Wyciąga ręce i nad wami trzyma
Swój wielki, bardzo ciężki krzyż cynowy,
Niech mię nie prosi łzawymi oczyma!
Stary świat skonał... nie zaczął się nowy.
Dla takich duchów, jak wy, miejsca nie ma!
Lećcie i w nową zorzę się rozpłyńcie
I bądźcie nowi duchem — albo gińcie!

DUCH.

Stój! oni wszyscy z wiarą i nadzieją.
  Pozwól im swojej duszy jak kościoła,
Gdzie teraz żadne lampy nie jaśnieją!
  Kto wié, przez ciebie jaki głos zawoła,
Gdy będą w tobie... Patrzaj, jak pięknieją!
  Ogień im tryska z nóg i z rąk i z czoła —
To wielkie duchy, i wydarte niebu!

POETA.

Czegoż odemnie oni chcą?

DUCH.

Pogrzebu...

POETA.

O tak! pogrzebanymi będą... Ten wid złoci
  Mgły méj pamięci, siostro, i twój wieniec
Z gwiazd, do ogromnych podobnych stokroci,
  Dziwny ci na twarz rzuca półrumieniec;
Ty jak konwalia na ziemskiéj wilgoci
  Łez, dobrze kwitniesz... a ja potępieniec
Dobrze w natchnienia żyję dzikim wichrze
I serce wtenczas mam lepsze i cichsze.

I ja to widzę, że wola Jehowy
  Jest, aby nowy świat stanął przed świtem.
Nie pożałuję ręki ani głowy,
  Gdy przyjdzie pora. Ale pod błękitem
Gdzie jest kto świéży i zupełnie nowy,
  By świat od razu jednym zbił granitem?
Duchy, co duchów oszukują, złe są.
Z błękitów do mnie, Atesso! Atesso!

Świadcz o mnie, czym ja kiedy Polski ducha
  W żywotną jego część i w serce ranił?
Czym gdzie ominął pleśń, szczątki łańcucha,
  Fałsz, co źrenice światłami tumanił?...
Nigdy na boży głos nie była sucha
  Źrenica moja, choć mnie Bóg oszklanił

W koło... jak ludzi oddziela fatalnych
Od ludzi — światłem rzeczy niewidzialnych.

Teraz już serce moje pełne śniegu,
Który tam zima uczuć napruszyła;
A przyjacioły moje już do biegu
Świat boży pędzą, jest w nich Bóg i siła.
Może też Bóg chciał, aby w tym szeregu
Z ludźmi żywymi niejedna mogiła
Raziła dziwem takiego sąsiedztwa
Nie dla pośpiechu, ale dla świadectwa

I dla przestrachu... I tak się do ruchu
Wiąże girlanda wiosennych żórawi.
W kraju tam jeszcze o tém ani słuchu
A tu już, ducha krwią naszego krwawi,
Serce przy sercu stoim, duch przy duchu;
Bóg rozkwitnieniu w nas serc błogosławi,
Złoci widzenia Janowe zapałem
Chrystus, krwią poi i nakarmia ciałem.

I już nam widać przez oczy proroka,
Jak Polska nowa na stolicy siada
Kopułą duchów swych świętych wysoka,
A niska, kiedy przed Panem upada;
A kiedy patrzy w świat, orlego oka;
A jako hymn harf, kiedy z Panem gada,
Oblana wdzięków dziewiczych szkarłatem;
A jako tysiąc grzmotów, gdy ze światem [1]).

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

---

[1]) Tu się poemat urywa. Jest w rękopisie jeszcze kilka strof dalszych, zaczętych a niedokończonych, ale te się w całość nie wiążą; dlatego je opuszczamy. Następujące dwa dłuższe ustępy, lubo także niepołączone z całością, zdają się więcéj zasługiwać na przytoczenie. *(Przyp. Wyd.)*.

A oto wyszedł; jakby Rafaela
  Tarcza okryta różném malowaniem,
Księżyc i (jéj?) zagrał pierwszą pieśń wesela,
  Wyszedłszy świécić przed samém zaraniem,
A z niego wielki miecz płomienny strzela,
  Nazwany w niebie niebieskiém nazwaniem,
Przed którym zadrżał i fałsz i pokusa,
Lecz nikt nie dźwignie miecza — prócz Chrystusa!

On na nim ręce skrwawione położy,
  Potém podniesie i trzy razy mieczem
Niebiosa całe rozetnie, otworzy;
  Wtenczas my duchy pod gwiazdy ucieczem,
Bo z nieba wyjdzie na ziemię duch boży;
  A my z téj ziemi mgły i chmury zwleczem,
By się spotkała jéj twarz z bożą twarzą.
Wtenczas się słońce i gwiazdy przerażą.

Świętych zobaczysz pańskich w jednéj stronie
  Podobnych chmurze słonecznéj, — Maryja
Stać będzie w słońcu, na złotém wrzecionie
  Kręcąc, jako ta, która tęczę zwija;
A po tych tęczach aniołowe konie
  Będą latały a szatan jak żmija
Będzie je straszył wielkim dymu kłębem
I językowym je zhuka trójzębem.

Potém to wszystko razem się zasunie
  Mgłą... i by lampa zgaszona zagaśnie;
I tam na ziemię po nocy coś runie
I echa niebios tak zajęczą właśnie,
Jak kiedy piorun idzie po piorunie
  A potém zagra po skałach i zaśnie;
I znów się zwali coś z odgłosem strzału
Smętniéj, jak echo piérwszego powału.

Wtenczas na niebie wyjdzie anioł blady
  Z lampą olejem napełnioną smolnym
I rzeknie: gdzie są ciał i kości składy,
  Abym je palił lampy ogniem wolnym?

To mówiąc, pójdzie i różne gromady
  Trupów oświetli, i ogniem okolnym
Lampy stosy ciał będzie oczerwieniał
A ciągle idąc, strach i miejsce zmieniał.

Miejsce, gdzie przejdzie, będzie zwane drogą
  Poszukiwania, nakształt czarnéj szramy.
A idąc anioł ów nadepce nogą
  Grób — i wykrzyknie: rola haludamy!
Tutaj się ludzie napaść duchem mogą,
  Ale zamknięte są już srebrne bramy
I dzień tu biały powróci nieskoro!
To mówiąc. lampę rzuci w krwi jezioro.

I znów się stanie noc i z końców obu
  Świata płacz wielki pójdzie, jak z bóżnicy.
Potém aniołki od świętego żłobu,
  Jak białe róże od Bogarodzicy,
Sypiąc się rzekną: czas ci wstawać z grobu!
  Wstań bez korony złotéj i zbroicy,
Płomieniem serca świécąca od łona,
Wstań, jakąś była w grobie położona

A wtenczas mgła się ze słońca usunie;
  I ta, co była w słońcu, znów odkryta
Rzeknie: wy słońce w jéj znajdziecie trunie
  I stratowany miesiąc przez koryta.
Niech tak na zorzy pokaże się łunie
  Piękna, jak piękna leżała zabita!
Albowiem szaty nie zdarła nikomu.
Nie okradajcież wy umarłych domu!

Lecz nim powstanie, niech z niéj będzie zdjęty
  Sąd, bo zaprawdę niewinnie sądzona!
To mówiąc, przyjdzie jeden anioł święty
  I poda księgę, i jedna czerwona
Karta téj księgi, jako liść pomięty,
  Mokra, wydarta będzie i rzucona
W czeluść, a duchy, co tam chór prowadzą,
Lecącéj, aby spadła, miejsce dadzą.

Potém umarłéj będzie podniesienie
  I salutacya; a ta w takiéj sile
Roześle pierwsze pośmiertne promienie,
  Że na ostatniéj aż smętnéj mogile
Końce położą. — Więc ducha nasienie
  Wszędzie się ruszy, śpiące w wieków pyle.
Zaprawdę! przyjdzie do niéj z wielką chwałą
Choć dziécię, co jéj jasełka oddało.

Potém się w piérwsze bicie serca wsłucha
  I rzeknie z świętym uśmiechem: o Panie!
Nie z ciała jestem wskrzeszona, lecz z ducha,
  Niech mi się jako służebnicy stanie!
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Tak nieraz stojąc stary majster cechu
  Z chorągwi jednéj sklepienia uczyni
Dla trzystu ludzi; albo gdy na blechu
  Rozciągnie płótno dobra gospodyni:
Tysiące kwiatów nie widzi uśmiechu
  Słońca i oczu Efeskiéj bogini,
Ale się muszą poddać — z tą nadzieją,
Że płótna wkrótce słońcem wysrebrnieją

I będą zdjęte. — Jestem z liczby kwiatów
  Podobrusowych: często słyszę ślepy
Nademną jakieś kruszenie się światów,
  Szczepienie duchów nowych w stare szczepy,
Pszczelny brzęk niby naszych antenatów,
  Idących pomóc. — Lecz że ja do rzepy
Płonacą świéczkę włożę, pisząc wiersze,
Nie widzę, abym widział światy szérsze.

DUCH.

Zawszeż ta bojaźń o nabyte skarby
  Pracami wieków? zawszeż nieugięcie
Twojéj tęczowéj myśli w żadne karby?
  Zawszeż ci błoto cielesne na wstręcie?

Gdybyś mógł stopić twoje wszystkie farby
W jednym miłości bożéj dyjamencie
I zostać chwilę w czystym bezkolorze,
Miałbyś zeń potém wszystkie ognie boże.

Przedlotem ducha światy tyś wyminął,
Wiedział o niebie, nim się inny dowié.
Mrówko! nie będziesz ty przezemnie słynął,
Ja ci się strzaskam jak piorun na głowie;
Ja, z którąś dawniéj ty jak łabędź płynął,
Kiedyś był nowy i sił nie miał w słowie.
Teraz, gdyś wylał ducha serca krzykiem,
Mam cię, niższego, moim niewolnikiem.

Nie drżyj mi jako struna, co chce pęknąć,
Bo mi nie pękniesz; lecz będziesz jak struna,
Która gdy rani, to krwią musi zmięknąć —
Lecz tobie strachu trzeba... Patrz, tam luna
I księżyc, co chce jak umarły jęknąć,
Jaki bolesny!... tam morze i truna,
Którą prowadzą fal czerwonych nogi —
Patrzaj!... w trumnie ten, co prostował drogi...

Czy widzisz żagli tych trumnianych bicie
W opiekielnione złymi duchy fale?
Bo się na siarkę wy bez fal palicie,
A piekło nie jest w niebie, ani w skale;
Lecz jest to duchów do ziemi przybicie,
I krzyż — i po ciał władzy gorzkie żale,
I czas powrotu do ciał niewiadomy,
I czyn, co w piersiach grzmi, jak puste gromy...

Czasem się zbiją i prą całą ścianą
Naturę — a ich oddech mniéj tu waży,
Niż tego dziecka, co bańkę mydlaną
Uczyni tchnieniem aniołkowéj twarzy.
Rozpacz im dano, a skargi nie dano!
W niejednym... wulkan się miłostek żarzy...
Gdyby im kształtów widnych i kolorów:
Wymarlibyście z widzenia upiorów!

Szczęściem, że każdy niby śmierć ponosi,
  Gdy wchodzi w ciało; i uczyć się musi
Siły — od ręki, co kamień podnosi,
  Bolu — od świécy, co rączkę mu skusi...
Więcéj się złego obraca na osi
  I siły, która iskrę bożą dusi,
Niźli ty myślisz. — Patrz, czy nie przeraża
W téj zorzy duchów ta trumna mocarza?..
. . . . . .

SPIS PRZEDMIOTÓW

w Tomie I^szym zawartych.

	Str.
Baranki moje	89
Chcesz wiedzieć, czém dziś byłby nasz kraj odzyskany	99
Chmury	28
Córka Cerery	100
Do Anieli M.	50
Do téjże	51
Do Autora *Skarg Jeremiego*	71
Do Autora *Trzech psalmów*	105
Do Franciszka Szemiotha	92
Do Ludwika Norwida	72
Do tegoż	73
Do Ludwiki Bobrówny	55
Do Matki	55
Do pastereczki	56
Do Teofila Januszewskiego	36
Duma ukraińska	3
Dusza się moja zamyśla głęboko	98
Fragment	189
Góry się ozłociły — szafiry mórz ciemnieją	68
Grób Agamemnona	177
Hymn o zachodzie słońca na morzu	34
Jak dawniéj — oto stoję na ruinach	101
Jeżeli ci Pan nie zbuduje domu	85
Jeżeli kiedy w téj mojéj krainie	86

Str.
Karty się wszystkie dają wytłómaczyć tuzem 100
Kiedy prawdziwie Polacy powstaną 83
Krzyczeli: «Polska, Polska» 83

Los mnie już żaden nie może zatrwożyć 66

Matecznik 81
Mój król, mój Pan — to nie mocarz żadny 86
Możnemu, który dzisiaj dom upięknia sobie 100

Na drzewie zawisł wąż 94
Narodzie mój 96
Na sprowadzenie zwłok Napoleona 51
Na szczycie Piramid 43
Niedawno jeszcze, kiedym spoczywał uśpiony 93
Niewysłuchany dotąd nigdy świecie 102

Oda do Wolności 21
Odwiedziny Piramid 40
Ostatnie Wspomnienie do Laury 29
Otrzymawszy wprzód na to jednomyślną zgodę 100

Panie! jeżeli zamkniesz słuch narodu 83
Parafraza pieśni: »Bogarodzica« 61
Patrz nad grotą 101
Pieśń na Nilu 45
Podróż do Ziemi Świętéj z Neapolu 119
Pieśń I Wyjazd z Neapolu 121
Pieśń III Statek parowy 132
Pieśń IV Grecya 141
Pieśń V Podróż konna 152
Pieśń VI Nocleg w Vostizy 161
Pieśń VII Megaspileon klasztor 169
Pieśń VIII (początek) Napoli di Romania 176
Grób Agamemnona 177
Pieśń VIII (koniec) 181
Pieśń IX 183
Poeta i natchnienie, fragment 253
Pogrzeb kapitana M..... 53
Pośród niesnasek Pan Bóg uderza 89
Prawo Mojżesza w globie wyryte głęboko 98
Proroctwo 66
Przekleństwo 26
Przy kościółku 88

Radujcie się! Pan wielki narodów nadchodzi! 65
Rozłączenie 25
Rozmowa z Matką Mokryną Mieczysławską 191
Rozmowa z Piramidami 47
Rzym 32

Str.
Sonety 9
Stokrótki 27
Sumienie 33
Szanfary, ułamki poematu arabskiego 11

Testament mój 60
Trzy Fragmenty z poematu »Pan Tadeusz« 221
Ty głos cierpiący podnieś — i niech w tobie. 91

Ułamki 33
Uspokojenie 79
Ustępy z przekładu Iliady Homera 225

Wielcyśmy byli i śmieszniśmy byli 96
Wierzę 67
W ostatni dzień, w ostatni dzień 94
W pamiętniku Zofii *** 57
Wschód słońca nad Salaminą 188
Wspomnienie pani de St. Marcel 58

Zakończył śpiewak, a my zasłuchani 87
Z listu do księgarza 49

KONIEC TOMU I^{go}.

BIBLIOTEKA

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
128616
T. 1
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001005088192